

**Biało-czerwona
w Festung Kolberg**

Józef Tejchma
Legenda budowy Nowej Huty

Mirosław Tryczyk
O sąsiedzkich pogromach Żydów

Marcin WyrósteK
Jak najwięcej grać

MIĘDZY STRACHEM A PANIKĄ



SIEDZISZ W DOMU. DO KIOSKU KAWAŁEK.

Epidemia wirusa nie zachęca do wędrówek po tygodnik.

Ale nie trzeba odmawiać sobie cotygodniowej lektury PRZEGLĄDU.

STUDIujesz? UCZYSZ SIĘ? A ZAJĘCIA ODWOŁANE.

Jak mądrze wykorzystać wolny czas? Jest na to sposób. Najlepszy.

Bo najciekawsza jest lektura PRZEGLĄDU.

**Nie ryzykuj,
czytaj E-PRZEGLĄD!**



E-wydanie jest odzwierciedleniem
wydania papierowego w formacie PDF,
które możesz pobrać na swoje
urządzenie mobilne (komputer, tablet, telefon).
Wystarczy, że masz dostęp do internetu.



Każde aktualne E-WYDANIE PRZEGLĄDU
kupisz do końca marca w promocyjnej cenie:

2,99 zł

~~3,50 zł~~

Więcej informacji: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

CYTATY

JÓZEF HEN, pisarz
*Powodów do śmiechu
i spokoju nie warto
tracić.*
„Uroda Życia”

LUDWIK KOTECKI,
były wiceminister
finansów
*Mówienie
o zrównoważonym
budżecie obraża
inteligencję każdego
logicznie myślącego
ekonomistę.*
„Dziennik Gazeta
Prawna”

PABLO IGLESIAS,
lider partii Podemos
*Do nieba nie
wchodzi się w drodze
konsensusu. Niebo
trzeba zdobyć
szturmem.*
„Forum”

**MONIKA
ZAMACHOWSKA,**
dziennikarka
*TVP ma niezwykłą
umiejętność
wyrządzania
człowiekowi podłości.*
„Gala”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Sztukmistrze od mycia rąk

Nawet ci, którzy wiedzą o sytuacji w Polsce czerpią z mediów rządowych, bardzo skromnie ufają władzy. Bo Polacy wiedzą swoje. I nawet jeśli ten rząd mówi im, że wszystko jest pod kontrolą, to oczywiste, że trzeba liczyć na siebie. Prezydent Duda na okrągło opowiada w mediach, jak dzielnie walczy z zarazą. I długo mówi o tym, co już i tak wiadomo. Jego pracownicy nie pojmują, że z internetem nawet tak niezłomny polityk jak Duda nie jest w stanie się ścigać. Ogłoszenia Dudy o sytuacji z koronawirusem mają urok ogłoszeń parafialnych. A szczegółowe pytania nie są przewidziane. Nie musi więc prezydent odpowiadać na denerwujące pytania o szpitale, które nie mają sprzętu, leków, respiratorów, kombinezonów, a nawet masek. Ani o liczbę lekarzy i pielęgniarek, których brakowało już przed zarazą, a teraz jest jeszcze gorzej.

Nawet tacy propagandowi sztukmistrze jak Duda, Morawiecki czy Szumowski nie są w stanie wmówić Polakom, że coś w służbie zdrowia za ich rządów działa jeszcze normalnie.

Nie jest nawet jako tako. Bo choć jest tam spora armia ludzi bardzo kompetentnych i ofiarnych, to nie pracują oni jak politycy gębą. Muszą mieć stworzone elementarne warunki do tego, by nas leczyć. Potrzebują do tego sprzętu i pieniędzy. Także tych, które poszły na propagandową telewizję.

Tam o realnych problemach, jakie mamy z zarazą, nie usłyszymy. Politycy PiS mówią do Polaków: myćcie ręce. Kiedyś mówiły o tym dzieciom higienistki w szkołach. Ale to było wtedy, kiedy, jak twierdzą Duda i Morawiecki, Polski jeszcze nie było. Teraz jest. Szkolne higienistki wyrzucono na śmietnik historii. Nadeszły czasy dyletantów. I to oni mają przeprowadzić Polskę przez zarazę i nieuchronny kryzys gospodarczy. Mało co jest przewidywalne. Ale pewne jest to, że władza wszystkie błędy, wpadki, zaniechania, spóźnienia i problemy będzie teraz tłumaczyła koronawirusem. Czy Polacy uwierzą w taką wersję?

BAKOWSKI



PROGRAM „PAMIĘĆ”

**Odchodzą, często w zapomnieniu,
ludzie bardzo zasłużeni dla Polski.**

Twórcy i świadkowie historii.

**Naukowcy, politycy, społecznicy,
literaci, artyści.**

**Czytelnicy apelują:
nagrywajcie**

rozmowy z nimi.

Filmujcie i zapisujcie.

Rejestrujcie je ku pamięci.

Zrobimy to!

**Ale sami
nie damy rady.**

**Potrzebujemy
Waszej pomocy.**

**Musimy kupić
sprzęt do filmowania
i nagrywania.**



Apelujemy o wsparcie i wpłaty na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

**Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7,
z dopiskiem „Pamięć”.**

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Wirus to test dla społeczeństwa**
– rozmowa z dr Magdaleną Nowicką
- 11 Czas kwarantanny dla wszystkich**
Nie wiadomo, ile to potrwa
- 22 Miasto na sprzedaż**
Reklamowa szpetota w pigułce
- 26 Pozew w szufladzie, entuzjazm zgasił**
Wracamy do sprawy historyka IPN
- 34 Oszukani przez internet**
– rozmowa z Jarosławem Bartnicukiem
- 38 Tatrzański (Luna)park Narodowy**
Taka ochrona przyrody to kpina
- 54 Menora już się nie pali**
Sąsiedzi zabijali sąsiadów

MEDIA

- 14 Wirus dezinformacji**
Odwracanie uwagi i podkopywanie autorytetu

SYLWETKI

- 18 Wyszło świetnie, Ludwiku...**
Ludwik Stomma 1950-2020
- 20 Bójcie się poprawiać waszego życia**
Na przekór tzw. prawdom oczywistym

ZAGRANICA

- 29 Trump zignorował wirusa z Wuhan**
– Korespondencja ze Stanów Zjednoczonych
- 32 Mieszkania zamrożone**
Władze Berlina wstrzymały wzrost czynszów

HISTORIA

- 40 Legenda wielkiej budowy**
– rozmowa z Józefem Tejchmą
- 44 Białoczerwona wbita w morze**
Walki o Wał Pomorski

OPINIE

- 43 Witold Modzelewski**
Rusofobia to (wielki) biznes robiony na Polakach

KULTURA

- 48 20 kilo muzyki**
– rozmowa z Marcinem Wyrostkiem
- 50 Jeleń muru nie przeskoczy**
Bez kultury nie ma ludzi
- 52 Kulturalia**
- 66 Dominik Jasiński. Heavy Metal**

EKOLOGIA

- 58 Wiosenne migracje ptaków**
Strojnisi i indywidualści

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Sztukmistrze od mycia rąk
- 17 Jan Widacki**
„Silni, zwarci, gotowi” i „jakoś to będzie”
- 21 Roman Kurkiewicz**
Jak nie napisać o...
- 37 Tomasz Jastrun**
Spotkania w czasie
- 53 Wojciech Kuczok**
Jak przespać zarazę



22

KRAJ

MIASTO NA SPRZEDAŻ

Reklamowa szpetota w pigułce



20 KIL MUZYKI

– rozmowa
z Marcinem
Wyrostkiem

48

KULTURA



58

EKOLOGIA

WIOSENNE MIGRACJE PTAKÓW

Strojnisi i indywidualści

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR MAŁECKI/NAPOIMAGES/FORUM
BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Współczesny indeks
ksiąg zakazanych

Arkady Fiedler
– miłość na Madagaskarze

Piotr Pustelnik
– himalajski ratownik

✉ Jak tu żyć bez „Sherry Brandy”?

Zmarł prof. Ludwik Stomma. Jak tu żyć bez „Sherry Brandy”, bez mądrego objaśniania tego świata? Zawsze zaczynałam lekturę PRZEGŁĄDU od Jego felietonów. Trudno sobie wyobrazić, że już ich nie będzie. Żal, wielki żal.

Dorota Barthel



Wstrząśnięci wiadomością o śmierci pana Ludwika Stommy wyrażamy wielki smutek i współczucie dla wszystkich pracowników PRZEGŁĄDU. Odszedł jeden z najlepszych felietonistów, erudyta, o dowcipnym i ciętym języku, zawsze mądrze, samodzielnie i obiektywnie myślący. Doskonale znał problemy i paradoksy naszego kraju oraz charakter Polaków, świetnie potrafił je wyluskać i opisać w sposób niezwykle błyskotliwy, kąśliwy, a zarazem refleksyjny. Kultura polska poniosła kolejną wielką stratę.

Wspaniały publicysta, jakim był Ludwik Stomma, dołączył do grona wybitnych felietonistów PRZEGŁĄDU, panów Krzysztofa Teodora Toeplitza i Aleksandra Małachowskiego, którego Redakcja niedawno wspominała. Z wyrazami szacunku.

Basia i Jacek

Wspomnienie o prof. Ludwiku Stommie na s. 18

✉ Adopcyjny węzeł gordyjski

Pani Anna Krawczak mówi o adopcyjnym węźle gordyjskim (PRZEGŁĄD nr 8). Może nie byłby on gordyjski, gdyby ktokolwiek troszczył się o dobro dziecka. Od kilku lat jesteśmy rodzicami adopcyjnymi. Trafiły do nas dzieci w wieku jednego roku i pięciu lat. Pierwsze od początku jest pogodne, spokojne, nie sprawia trudności wychowawczych. Drugie – agresywne, skryte, uparte. Dlaczego? Bo wielokrotnie zaznało bicia, głodu, szarpania, kopania i wyzwisk. Młodsze jest chorowite, konieczna była nawet operacja. Starsze potrzebuje opieki psychologa, logopedy, zajęć ruchowych. Wszystko prywatnie, bo rząd troszczy się głównie o dzieci nienarodzone, a żyjące mało go obchodzą.

Na adopcję czeka się trzy-cztery lata. Przez ten czas przechodzi się piekło. Ustawiczne wizyty, kursy, pouczenia, badanie warunków mieszkaniowych, zarobków, testy psychologiczne. Trzeba sprawdzać, komu powierza się dziecko, ale czy aż tak szczegółowo? Biologicznej rodziny nikt nie sprawdza. Tam dziecko może spać w barłogu, pośród walających się butelek i śmieci.

Bardzo kochamy nasze dzieci. Widzimy, jak się zmieniają. Są radosne, ufne, otwarte. W imię dobra dzieci należy wcześniej zabierać je z rodzin patologicznych i oddawać do adopcji. Nie czekać, aż się staną dziećmi poranionymi, zdradzonymi przez dorosłych, wściekłymi.

Grażyna z Wieliczki



ZDJĘCIE TYGODNIA

Słoniątko albinos w Parku Narodowym Krugera, uratowane z siatek kłusowników. Jego obrażenia przypominają Jokera, przeciwnika Batmana.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy lekceważą zagrożenie epidemią?

DR JERZY GRYGLEWICZ,
*Instytut Zarządzania w Ochronie
Zdrowia Uczelni Łazarskiego*

Procedury, które mają zapobiec rozprzestrzenianiu się koronawirusa, zostały wprowadzone niedawno, dlatego musi jeszcze upłynąć trochę czasu, abyśmy mogli przeanalizować, w jakim stopniu są one przestrzegane. Pewne wnioski możemy jednak wyciągnąć z danych udostępnianych przez policję, mówią one, że spośród przeszło tysiąca osób, które obecnie poddane są kwarantannie, jak dotąd jedynie 16 złamało jej zasady, czyli oddaliło się z miejsca stałego pobytu. Może to świadczyć o poddaniu się przez Polaków, przynajmniej na razie, najostrzejszym restrykcjom antywirusowym.

DR N. MED. IRINA NIECWIETAJEWA,
*mikrobiolożka,
Warszawski Uniwersytet Medyczny*

W skali makro ludzie wręcz przesadzają z ostrożnością, co jednak łatwo zrozumieć. Po pierwsze, mamy do czynienia z nowym wirusem, a nasza psychika funkcjonuje w taki sposób, że boimy się wszystkiego, co nieznane. Po drugie, ludzie otrzymują sprzeczne infor-

macje. Jesteśmy przekonywani, że państwo kontroluje sytuację, a jednocześnie krążą doniesienia o tym, że w szpitalach brakuje podstawowych środków ochrony personelu, a stan gotowości systemu ochrony zdrowia wcale nie jest idealny. Wreszcie, epidemia koronawirusa pozostaje podstawowym tematem serwisów informacyjnych. Wszystko to sprawia, że nie dziwią takie zjawiska jak puste półki w sklepach. Oczywiście nie można wykluczyć, że są jednostki, które lekceważą zagrożenie, nie stosując się do zaleceń przeciwepidemicznych, np. mimo objęcia kwarantanną wychodzą z domu.

DR HAB. PIOTR STANKIEWICZ,
socjolog, Uniwersytet Mikołaja Kopernika

Generalnie ludzie, nie tylko Polacy, przeszacowują ryzyko epidemii lub niedoszacowują go. W obliczu takiego zagrożenia stają się po prostu jeszcze bardziej podatni na różnego typu informacje. Należy więc się spodziewać, że będzie to wykorzystywane jako element wojny informacyjnej, by poprzez fake newsy i celowe sianie paniki (np. informacje o ryzyku zamknięcia sklepów) próbować destabilizować nastroje społeczeństwa i nastawiać je wrogo wobec działań

prewencyjnych państwa. Dziś szczególnie ważna staje się kwestia zaufania do instytucji publicznych. Potrzebne są rzetelne, oficjalne kanały dostarczające aktualnych informacji, wykorzystujących fakty naukowe i wiedzę ekspercką. Jednocześnie należy szczególnie ostrożnie podchodzić do wszelkich informacji pochodzących z nieznanego źródła internetowych.

ANNA CHOMIUK,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Nie, nie lekceważą. Nie zachowują się też tak głupio odważnie jak Włosi. Ale pojedyncze przypadki się zdarzają: ucieczka z kwarantanny, nieinformowanie o źródle zakażenia – synu, który wrócił z Włoch. Zdarzają się też buce szukające zaczepki, bo bez bijatyki żyć nie mogą. A bijatyka to kontakt bezpośredni, może z nosicielem. Pozytywnych przykładów, np. troski o starszych i osłabionych, jest jednak więcej. Brak środków do życia wynikający z braku możliwości zarobkowania jest bardzo demobilizujący, ale w obliczu zagrożenia Polacy zawsze się jednoczą. Mam nadzieję, że teraz też tak będzie.

Not. Michał Sobczyk

Wirus to test dla społeczeństwa

Żeby się przejąć, Polacy powinni poczuć zagrożenie wobec siebie, pojedynczej osoby. Pomyśleć: mnie to naprawdę może dotyczyć

Rozmawia Jakub Dymek

Czy gdy w styczniu pojawiły się pierwsze doniesienia o nowym i tajemniczym, śmiertelnośnym wirusie z Chin, wiedziała już pani – jako ktoś, kto zawodowo zajmuje się emocjami – że strach przed wirusem będzie ważniejszy niż kampania prezydencka, inflacja czy zawirowania w globalnej polityce?

– Przewidywałam to. Zwykle wszystkie tego typu zagrożenia wprost odbijają się na kondycji psychicznej Polaków. Podobne informacje i pewien stan wyjątkowy czy pojawienie się nowych zjawisk uruchamiają w bardzo wielu osobach, nawet jeśli coś się dzieje bardzo daleko, kryzys emocjonalny. Ludzie popadają w kryzys niezależnie od tego, czy coś się dzieje wielokrotnie, czy raz; czy doświadczamy tego sami, czy słyszymy o tym w doniesieniach medialnych. Informacje o globalnym zagrożeniu nową chorobą wpływają zresztą na nas wszystkich, nie tylko tych, którzy są bardziej podatni na lęk.

Im bardziej globalne jest zagrożenie, tym większy lęk.

Obiegowa wiedza podpowiada, że boimy się bardziej tego, co nieznane, i tego, co może dotknąć nas i naszych bliskich. Koronawirus chyba spełnia oba te kryteria?

– Tak. A każde zagrożenie związane ze zdrowiem i życiem uruchamia pewien bardzo podstawowy lęk – przed śmiercią. To jest wpisane w nas, rodzi się z tym i żyjemy, więc tworzymy wiele mechanizmów pozwalających poradzić sobie na co dzień – mówimy sobie np., że choroby albo wypadki nas nie dotyczą. W związku ze zbliżaniem się zagrożenia i natężeniem informacji o nim, pojawieniem się poczucia jego realności, filary bezpieczeństwa zaczynają się kruszyć.

DR MAGDALENA NOWICKA

– adiunkt na Wydziale Psychologii Uniwersytetu SWPS w Warszawie, badaczka emocji, psycholog, psychoterapeuta



Proszę wybaczyć górnolotność, ale chodzi o to, że zdajemy sobie sprawę z własnej śmiertelności?

– Dokładnie tak. Zdajemy sobie sprawę, że coś jest realnym zagrożeniem dla naszego życia i że niekoniecznie nam uda się tego zagrożenia uniknąć. Każda konfrontacja ze śmiercią powoduje obalenie tych filarów, które chronią nas przed lękiem przed śmiercią. Im bardziej globalne jest to zagrożenie – i skoro zbliża się też do nas, nie jesteśmy od niego wolni – tym ten lęk większy.

Wiem, że z medycznego czy terapeutycznego punktu widzenia to może zły sposób na zadanie tego pytania, ale czy lęk jest w tej sytuacji normalny?

– Tak. I dobrze, że się boimy. Gdybyśmy się nie bali, to nie byliśmy ostrożni. Ludzie, którzy się nie boją, nie podejmują zachowań, które uchronią ich przed zagrożeniem. Gdyby ktoś nie bał się ognia, to wiadomo, na jakie naraża się konsekwencje. Gdybyśmy teraz się nie bali, nie zachowywalibyśmy ostrożności.

Lęk jest jedną z najbardziej podstawowych emocji, jeśli chodzi o nasz rozwój. Emocja ta pojawia się najprawdopodobniej najwcześniej

i jest najbardziej „prymitywna”, w tym sensie, że występuje również u wielu innych organizmów. W wielu aspektach jest to więc emocja najważniejsza – dla przeżycia i dla przetrwania. Oczywiście czym innym jest lęk paniczny czy lęk, który nabiera charakteru paniki.

Na czym polega różnica?

– Każda emocja, którą przeżywamy z nadmiernym natężeniem i która trwa zbyt długo, jest w pewnym sensie dysfunkcyjna. Emocja ma wywołać działanie – jeśli się boję, to uciekam lub staram się przeciwdziałać zagrożeniu. Natomiast zbyt silna emocja powoduje, że to się nie dzieje.

Dlatego mówi się o paraliżującym strachu?

– Tak. Choć i tu trzeba wprowadzić pewne rozróżnienie między lękiem a strachem. Strach oznacza, że boimy się czegoś, co znamy. Lęk zaś obejmuje sytuacje nieznane. Koronawirus to przyczyna lęku – nie znamy go, nie chorowaliśmy jeszcze z jego powodu, nie występował w naszym kraju itd.

W mediach pojawia się takie oto retoryczne pytanie: „Dlaczego ludzie nie boją się grypy, skoro i ona jest śmiertelnym zagrożeniem, a boją się koronawirusa?”. Właśnie dlatego! Grypę znamy, praktycznie każdy w życiu na grypę chorował, mamy to przeżycie za sobą. Możemy wciąż się jej bać – w sensie odczuwania



Oddział Zakaźny Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 1 w Lublinie. Karetki dowożą kolejnych zakażonych.

strachu przed jej objawami i przebiegiem, ale zagrożenie jest znajome. A nowego wirusa nie znamy i dlatego wzbudza taki lęk.

Czyli pani zdaniem inna z widocznych dziś postaw, ironiczna lub dystansująca się, jest niebezpieczna?

– Powinniśmy słuchać ekspertów, niezależnie od poziomu zagrożenia, i stosować się do ich zaleceń. Postawa ironiczna jest jednak, zaznaczymy, pewnym sposobem radzenia sobie z lękiem. Nie wszyscy radzą sobie z lękiem. Niektórzy popadną w panikę, a lęk przybierze u nich postać paraliżującą, inni zaś będą sytuację bagatelizować. To jednak forma ucieczki, bo nie pozwala z lękiem się zmierzyć. Jedno i drugie – i panika, i bagatelizowanie – nie są dobre, bo nie prowadzą do działań zaradczych, tylko przedłużają *status quo*.

Często na lęku próbują zbić interes oszuści i naciągacze. Internet pełen jest dezinformujących ogłoszeń o terapiach i rzekomo niezwykle skutecznych, choć nijak niespraw-

dzonych, środków zaradczych. Inni zaś sprzedają zwykłe artykuły higieniczne, windując w niebywały sposób ich ceny.

– Oczywiście. Lęk odbiera nam rozsądek. To jest taka emocja, która przy pewnym umiarkowanym natężeniu uruchamia racjonalne,

Dobrze, że się boimy. Gdybyśmy się nie bali, nie byłibyśmy ostrożni.

wyważone myślenie – słowem, zastanowimy się dwa razy, zanim coś zrobimy. Działa samokontrola. Natomiast jeśli lęk jest za duży, odbiera nam racjonalność. W tej drugiej sytuacji chwytny się wszystkich sposobów, które są dostępne. To niestety obszar do manipulacji drugim człowiekiem. Niedobrze, kiedy lęk jest za mały, i niedobrze, kiedy jest zbyt silny. Szczególnie w przypadku paniki dotyczącej społeczeństwo otwiera się duże pole do manipulacji.

To oznacza, że państwo i administracja publiczna powinny odpowiadać nie tylko na poczucie zagroż-

żenia i lęk, ale i na działania tych, którzy próbują na sytuacji zagrożenia skorzystać?

– Rzetelna informacja jest podstawą. Najlepszym sposobem radzenia sobie z lękiem jest poszukiwanie prawdziwych i adekwatnych informacji.

Temu, czy jest to możliwe w dobie mediów społecznościowych i dezinformacji w sieci, musielibyśmy pewnie poświęcić osobną rozmowę.

– To trudne, szczególnie przy ogromie informacji, z jakim mamy do czynienia. Nie zawsze udaje się od razu dotrzeć do informacji najważniejszych. Ja sama sięgam tylko po informacje dostępne na stronach WHO (Światowej Organizacji Zdrowia).

Ale ktoś z ograniczonym dostępem do internetu albo nieznający języków obcych od razu będzie w takiej sytuacji na gorszej pozycji.

– Tak, i tu odpowiedzialność, żeby informować odbiorców o faktach, leży po stronie mediów. Ale dotychczas [rozmawiamy w środę, 11 marca] jestem pozytywnie zaskoczona: „fejków” czy informacji niepotrzebnie wznecających panikę jest stosunkowo niedużo.

Chciałbym zapytać o jeszcze jedną konsekwencję wzmożonego lęku – zamykanie się na to, co obce, ksenofobię, skłonność do zachowań bardziej egoistycznych. Gdy jesteśmy pełni lęku, jesteśmy

sposobem działań służb specjalnych – w prosty sposób pomagają wyjaśnić, co się dzieje. Teoria spiskowa pozwala też szybko zbudować sobie prywatną „barierę ochronną”. Bo jeśli uwierzmy, że to np. działania Rosjan czy Putina przeciwko Europie, będzie nam się wydawało, że wszystko już rozumiemy, nie damy się zaskoczyć i jesteśmy bezpieczniejsi! Teorie spiskowe pozwalają w chaotyczny świat wpisać pewien porządek przyczynowo-skutkowy, nawet tam, gdzie go nie ma.

Strach oznacza, że boimy się czegoś, co znamy. Lęk zaś obejmuje sytuacje nieznane.

również bardziej zamknięci i autorytarni?

– Zdecydowanie. Lęk uruchamia myślenie stereotypowe, czyli na skróty. I z jednej strony jest to bardzo dobre, bo w niebezpieczeństwie nie ma czasu na zastanawianie się i wielowątkowe analizy. Z drugiej natomiast, gdy lęku jest bardzo dużo, myślenie na skróty staje się zagrożeniem. Z uczelni, na której pracuję, SWPS, napływają do mnie sygnały, że nasi chińscy studenci, których jest całkiem sporo, w ostatnich dniach są atakowani na ulicach Warszawy albo słyszą nieprzychylnie słowa, obelgi pod swoim adresem. Jak gdyby to oni sami byli źródłem tej epidemii.

Niestety, lęk ma i tę cechę. W sytuacji lęku potrzebujemy szybkich wyjaśnień, prostych recept, czasami wręcz na siłę musimy coś sobie objaśnić.

I stąd także teorie spiskowe?

– Pojawiają się momentalnie! Dlaczego? Bo teorie spiskowe – jakoby wirus był np. bronią biologiczną czy

Czy obecna sytuacja i poziom lęku, jaki obserwujemy, przypomina pani jakieś wydarzenia z najnowszej historii?

– Coś podobnego działo się przy ptasiej grypie, ale wtedy nie było pandemii, więc dzisiejsza sytuacja jest bez precedensu. Mieszkam w małej miejscowości i dobrze widzę lokalny wymiar tego kryzysu emocjonalnego. W mojej poradni psychologicznej spada liczba zgłoszeń, ludzie rzeczywiście wykupują produkty w sklepach, a mniej się spotykają w miejscach publicznych. W mniejszym mieście widać to wyraźniej, a zagrożenie może nawet bardziej

działność za innych. W kulturze indywidualistycznej ważniejsze są komunikaty akcentujące zagrożenie dla jednostki. Polacy, żeby się przejąć, powinni poczuć zagrożenie wobec siebie, pojedynczej osoby. Pomyśleć: mnie to naprawdę może dotyczyć.

Mnie i najbliższych?

– Tak. Bezpieczeństwo moje i rodziny to hasło, które z pewnością jest w stanie bardziej niż inne komunikaty przemówić do Polaków i obudzić w nas odpowiedzialność.

Nie namawiam pani do komentowania słów premiera i ministra zdrowia, ale w skrócie: język nawołujący do odpowiedzialności i mobilizacji całego społeczeństwa w walce z zagrożeniem, retoryka narodu „zwartego i gotowego”, słowa adresowane do kolektywnego działania i szerokokich grup to nie jest coś, co pani zdaniem dobrze się kojarzy i ma szansę się sprawdzić?

– Fakt, to nie kojarzy się najlepiej. Uświadamianie Polaków o zagrożeniu masowym jest również o tyle mylące, że 80% ludzi przejdzie chorobę bezobjawowo, śmiertelność jest duża tylko w grupach podwyższonego ryzyka. Dużo bardziej przemawiają do wyobraźni indywidualne konsekwencje – choćby to, że nawet jeśli ja nie zachoruję, choroba innych będzie miała realny wpływ na moje życie. Na przykład gospodarcze – związane

Najlepszym sposobem radzenia sobie z lękiem jest poszukiwanie rzetelnych i prawdziwych informacji.

przemawia tu do wyobraźni.

Wiemy, że polskie społeczeństwo nie należy do najbardziej zdyscyplinowanych i karnych na świecie. Nie będę oczywiście próbował stosować tu porównania do Chin...

– ...nie miałyby to sensu. My jesteśmy kulturą indywidualistyczną, Chiny to kolektywizm. Tam każdy czuje się odpowiedzialny za innych i podporządkowuje się pewnej zbiorowości.

A my nie jesteśmy skłonni podporządkować się władzy i przez to częściej ignorujemy nawet wskazania epidemiologów i służb medycznych?

– Ważne jest to, jak formułuje się komunikaty. W kulturze kolektywistycznej ogromne znaczenie ma komunikat, który wzbudza odpowie-

z dostępnością różnych produktów, z pensjami i zatrudnieniem, z życiem codziennym.

To jak bać się rozsądnie?

– Słuchać zaleceń ekspertów i podporządkowywać się im. Nie dyskutować z opinią, radą i postanowieniem tych, którzy wiedzą lepiej i zawodowo troszczą się o nasze zdrowie i bezpieczeństwo. Gdy słyszymy, że coś należy robić, róbmy to niezależnie od tego, jaki jest nasz stosunek do tych rekomendacji i poleceń. Szukajmy rzetelnych informacji i korzystajmy z pomocy, jeśli jej rzeczywiście potrzebujemy. Trzeba pytać ludzi, którzy się znają na tym, o czym mówią. Nie poddawać się skrajnościom, choć to ostatnie, wiem z praktyki, jest trudne.

Jakub Dymek



Czas kwarantanny dla wszystkich

Najgorsze, że nikt nie potrafi powiedzieć, jak długo to potrwa

Trójmiasto: maski skończyły się miesiąc temu

Helena Leman

W Trójmieście na pozór panuje spokój, choć jakby mniej ludzi na ulicach, w maskach nikt jeszcze nie chodzi. Lecz to spokój pozorny. W toalecie dworcowej w Sopocie, zadbanej, z mydłami w płynie do rąk, pracownica opowiada, że kobieta z Wrocławia zrobiła jej awanturę. Powód? Automat nie otworzył jej drzwi, nie miała więcej bilonu, więc musiała u niej rozmienić pieniądze. – Bała się, że ją zarażę, a ja po każdej osobie odkażam ręce – skarży się, wyciągając na dowód pojemnik z żelą antybakteryjnym.

Zdobyc taki żel to dziś sztuka. W dużej aptece przy sopockim Monciaku nie mają ani żelu, ani masek. – Masek nie ma pani co szukać, skończyły się miesiąc temu, co drugi klient o nie pyta – wzdycha aptekarz. Żel za 11 zł udaje mi się jednak kupić w innej aptece. – Ma pani szczęście, bo właśnie nam się kończy, zwykłych maseczek nie mamy, tylko te z wymiennym filtrem za 140 zł – mówi sprzedawczyni. – Ale panika, co? – dodaje. Do rozmowy włączają się inni klienci. – Jęku! – denerwuje się jakaś kobieta – ja już wyłączam telewizor, nie mogę tego słuchać. A swoją drogą ktoś na tej panice zarabia, maseczki zwykłe kosztowały 20 gr, dziś 4 zł, a te z wymiennymi filtrami to i po 200 i więcej złotych chodzą w internecie.

– W tym wszystkim jest chyba jednak trochę hysterii. Nie dajmy się ogłupić – tonuje drobna staruszka spacerująca po pustawym sopockim molo. – Jestem emerytowaną lekarzką, pediatrą. Wirusy były zawsze jak świat światem, gdy pracowałam, notorycznie zarażałam się nimi od dzieci, ten koronawirus jest trochę groźniejszy, gdyż atakuje płuca, a nie oskrzela. Ale żeby od razu zamykać szkoły? Ta młodzież i tak w domu nie usiedzi, a teraz nie będzie nad nią żadnej kontroli. Lepszy byłby chyba



Zamknięty Zespół Szkół im. Ignacego Łukasiewicza w Policach.

reżim sanitarny w szkołach. Ja tam koronawirusa się nie boję, myję ręce, unikam większych skupisk ludzkich, nie jeżdżę autobusami ani pociągami, chodzę piechotą, dwa razy dziennie wybieram się na samotne spacer, organizm dotleniony jest silniejszy, bardziej odporny. A powietrze nad morzem, zwłaszcza przy tak przenikliwym wietrze jak dzisiaj, jest czyste.

Przeciwko zamknięciu szkół jest też taksówkarz, z którym jadę: – Powinni zamknąć galerie handlowe, bo dzieciaki z nudów tam popędzą. We Włoszech zrobiono im ferie i zaczęły balować, czym to się skończyło, każdy widzi. Mam kolegę we Włoszech, oni tam wciąż się obściskują, mój kolega trzy razy dziennie cmoka ekspedientkę w lokalnym sklepie, taka kultura, nic się nie poradzi. A potem się dziwią, że mają epidemię.

– Co pracujący rodzice mają teraz z większymi dziećmi zrobić? Będą się teraz włóczyć bez żadnego nadzoru – zastanawiają się kobiety w sklepie z ciuchami przy Monciaku. – Lepiej dmuchać na zimne – wtrąca klientka. – Dobrze, że szkoły są zamykane. – Najgorsze, że nikt nie potrafi powiedzieć, jak długo to potrwa, nawet nie wiemy, czy w tym roku „sezon się zacznie” – wzdychają sprzedawczynie.

Ruch w mieście, jak na Sopot, rzeczywiście niewielki, pojedyncze

osoby siedzą w barach i knajpkach, nie widać seniorów na ulicach. Tylko grupa studentów przy papierosie zastanawia się, czy sesja zostanie przesunięta, czy odbędzie się gdyński Open'er, bo spotkania podróżników Kolosy nie będzie w planowanym terminie. Jeden z chłopaków opowiada, że na ich uczelnię miała przyjechać grupa zagranicznych studentów. – Po cichu zaklinaliśmy los, żeby tylko nie przyjeżdżali, na szczęście zawieszono zajęcia. Świat już nie będzie taki sam po koronawirusie – podsumowuje.

W pociągu regionalnym z Gdańska do Elbląga na ekranach w każdym przedziale wyświetlają się bez przerwy komunikaty, jak zapobiec zarażeniu, jak się zachować na wypadek złego samopoczucia, gdzie zadzwonić, co zrobić.

Bydgoszcz: po bułkę tylko w rękawiczkach

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

– O, fajnie, że macie żel antybakteryjny – komplementuję dozownik ustawiony przy kasie na potrzeby klientów u Grycana w bydgoskiej galerii handlowej Focus. – Inni też tak mają? – Nie wiem, czy inni mają – przewraca oczami dziewczyna pra-

► cująca w kawiarni. Gdy podaje desery do stolików, ma na prawej ręce niebieską rękawiczkę jednorazowego użytku. – My mamy żel, ale po co to? – pyta zirytowana. – Niepotrzebna panika. Przecież lekarstwo na tego koronawirusa ma być już w kwietniu.

– Czuje się u nas panikę – potwierdza Sławomir Bar, proboszcz bazyliki mniejszej pw. św. Wincentego à Paulo. – Wczoraj byłem w Warszawie i tam cisza, spokój. Podchodzą inaczej. Co ma być, to będzie. To nie pierwsza epidemia w dziejach – studzi emocje ksiądz. Pod wpływem nastrojów i nacisku wiernych przy wejściu do świątyni wyłożył święconą wodę w butelkach i żel antybakteryjny do rąk.

W hipermarkecie Auchan w centrum handlowym Rondo dziesiątki czerwonych tablic: „Szanowni Klienci! W trosce o zdrowie i bezpieczeństwo prosimy o używanie rękawiczek jednorazowych lub szczypców (łopatek). Dziękujemy”. I rzeczywiście – przy pieczywie, ciastkach, ale i tam, gdzie towar jest sprzedawany luzem, wiszą pęki jednorazowych, foliowych rękawiczek. A u wejścia do sklepu wyłożono same mydła. W płynie i w kostkach. W dozwolnikach i w większych opakowaniach uzupełniających. Na półkach pustawo. Tych specjalnych, antybakteryjnych preparatów nie ma w ogóle.

W markecie Netto na osiedlu Błonie tablic wzywających do używania rękawiczek nie ma, ale czujne oko personelu od razu wyłapuje klientkę, która po pieczywo sięga gołą ręką: – Pani kochana, ale u nas są rękawiczki do bułek! – strofuje głośno ekspedientka.

Taksówkarz, który w mercedesie czeka na klientów przed galerią handlową przy rondzie Grunwaldzkim, widzi, że ludzie kupują dużo więcej. Ale też słyszy, że tracą pracę: – Choćby w mojej branży. Mam wielu kolegów w transporcie. Kierowcy autokarów stoją, zamiast jeździć, kolega marynarz zjechał do domu, bo rejsy odwołują. Nie pracują, nie zarobią. Cokolwiek dalej będzie, zaczął się trudny czas – nie ma wątpliwości.

Opole: książek nie dezynfekujemy
Beata Dżon-Ozimek

– Umawiamy się na godzinę, więc klienci się nie spotykają – mówi szef

opolskiego salonu piękności Yasoda. – Prosimy klientów tuż po wejściu o umycie rąk, wytarcie ich w jednorazowe ręczniki, po czym jeszcze dwa razy dezynfekują dłonie specjalnym preparatem. Poza tym wszelkie powierzchnie, których dotykają, są bardzo często, na bieżąco dezynfekowane. Klienci na razie przełożyli wizyty nie z powodu choroby, ale ze względu na zmiany w ich grafikach wywołane koronawirusem.

Podobnie w klinikach stomatologicznych – pacjenci proszeni są poprzez internet i przy rejestracji, by w przypadku objawów przekładali wizytę, by pojawiali się zdrowi i dokładnie na godziny wizyt, aby w poczekalniach było jak najmniej osób. Obserwuje się zwiększone zużycie mydła i papierowych ręczników, pacjenci zatem częściej myją ręce, mają także w poczekalniach pojemniki z płynem do dezynfekcji i sięgają po nie.

Agentka PZU Magdalena Broniek mówi, że nie wystawia się polis na tereny dotknięte koronawirusem, ku rozczarowaniu klientów nie można „ubezpieczyć się od koronawirusa”. Powitanie uściskiem dłoni z klientami chwilowo jest mniej praktykowane, ale agentka nie unika spotkań.

– Wymogi sanepidu są bardzo wyśrubowane, a koronawirus powoduje, że kliniki spełniają je podwójnie – zaznacza właścicielka jednej z klinik na Śląsku. – Dbamy o pacjentów, ale i o naszych lekarzy, którzy zawsze pracują w maseczkach, rękawiczkach, okularach, bo każdy pacjent może być potencjalnym nosicielem różnych chorób.

W pewnej przychodni namalowano linię – metr od biurka lekarki, zakaz przekraczania! Pracownicy w maskach i okularach ochronnych pytają przy wejściu, czy pacjent był za granicą, jeśli tak, nie przyjmują. A w Drogomyślu (powiat cieszyński) ksiądz luterański Tomasz Bujok prosi wiernych, by starsi, schorowani ludzie czy dzieci nie przychodzili na nabożeństwa. Minęła właśnie trzecia niedziela, kiedy zamiast przyjmować wino ze wspólnego kielicha, obok opłatka, bo tak wygląda komunია u protestantów, podaje się każdemu jednorazowy mały kieliszek z winem albo moczy się opłatek w winie i podaje na rękę.

W maleńkim Obrowcu (opolskie) Patryk Blania, softys i organista w ka-

tolickim kościele, mówi, że mieszkańcy wiedzą, co robić, częściej myją ręce, a komunია udzielana jest na rękę. W lokalnym sklepie jeszcze pełne półki. Ludzie powtarzają, że bez paniki, bo może nas ogarnąć „koronawirus”.

Na czas wolny, również od imprez, czy na ewentualną (coraz częstszą) kwarantannę polecane są książki z biblioteki. Czytelnicy pytają o ich dezynfekcję i o dostarczenie do domu, pomagają w tym wolontariusze. – Chińczycy nauczyli Polaków mycia rąk. Mydło i woda są u nas zawsze dostępne, dezynfekujemy biurka, klawiatury komputerów, klamki itd. Nie możemy dezynfekować książek, trzeba tylko liczyć na zachowanie higieny przez czytelników – mówi bibliotekarka z osiedlowej placówki w Opolu.

Bytom: koncertu szkoda
Beata Znamirska-Soczawa

– Dzisiaj (11 marca) otrzymałam ze szkoły SMS-a, że jest zamknięta w trybie natychmiastowym i od jutra dziecko zostaje w domu – mówi Wioletta Wesołowska, 41 lat, matka ośmiolatka, pracująca w Bytomiu. – W ciągu dnia może się nim opiekować tylko dziadek, który sam jest schorowany. Ja pracuję zawodowo i nie bardzo mam pomysł, jak sytuację rozwiązać. Poprosiłam szefową o dwa dni urlopu od ręki, zgodziła się, ale mamy dużo pracy i nie wiem, jak będzie dalej. Część pracy na szczęście można wykonywać w domu, ale czasami trzeba podjechać do klienta po podpisy na umowach. Mimo wszystko uważam, że panika jest na wyrost, trzeba samemu o siebie zadbać. Od ponad dwóch tygodni cała moja rodzina przyjmuje zwiększone dawki witaminy C i leki na uodpornienie. Dziadek niewiele wychodzi z domu, więc o niego się tak nie martwię. Za to o partnera tak. Jest taksówkarzem. Nigdy nie wiadomo, kto wsiądzie do taksówki.

Mieszkanka Świętochłowic Malwina Włoka, która też pracuje w Bytomiu, dodaje: – Mieszkam z chłopakiem, podwozi mnie do pracy, więc nie muszę korzystać z transportu publicznego. Najbardziej przykro mi jest z powodu koncertu w Poznaniu. Najprawdopodobniej będzie odwołany. Pracuję w firmie szkoleniowej, zespół

jest mały, na razie nie podejmujemy żadnych kroków. Sporo pracy wykonujemy na komputerach, więc w razie czego możemy 80% zadań wykonać w domu. Nie robię zapasów, nie wpadamy w panikę. Uważam, że trzeba do tego podejść spokojnie. Jedyne, czego się obawiam, to inna choroba wymagająca wizyty u lekarza. Z tym może być problem, ale na razie mnie nie dotyczy.

– O tym, że przedszkole będzie zamknięte, dowiedziałam się z informacji wysłanej SMS-em. Do odwołania – Aleksandra Pabian, mama czteroletniej Agatki, mieszka w Rudzie Śląskiej i pracuje zawodowo. – Moja córka często ma infekcje i to trochę dezorganizuje mi życie zawodowe. Na szczęście jakiś czas temu dostałam zgodę na pracę w domu. Tylko raz, czasami dwa razy w tygodniu muszę jechać do biura. Wtedy korzystam z komunikacji miejskiej. Staram się nie dotykać twarzy, oczu – wcześniej nie zwracałam na to uwagi. Mam też przy sobie płyn dezynfekujący. W domu również go używamy. Dziś do naszego biura przyszła klientka i odruchowo podałam jej rękę. Nie odwzajemniła gestu, co uświadomiło mi, że jednak ludzie panikują.

Barbara Kulikowska, prezes PSS Społem w Bytomiu: – Mamy dziewięć placówek handlowych. Niektóre, te mniejsze, mają stałą klientelę. W większych jest wiele osób. Boję się o zdrowie pracowników, więc wprowadziliśmy różne zabezpieczenia. Informacje, żeby przestrzegać kupowania pieczywa tylko w rękawiczkach, prośba o płatność kartami, każdy kasjer ma dozownik z płynem dezynfekującym dla siebie i dla klientów, którzy o to poproszą. Rozwieszamy ogłoszenia i zalecenia, które otrzymujemy z sanepidu. Zauważyłam, że wszyscy stali się bardziej odważni w zwracaniu uwagi osobom, które kichają czy kaszlą i nie zachowują należytej ostrożności. A przecież każdy z nas powinien zachowywać się z troską o innych. Zrobiliśmy troszkę większe zamówienia i na razie niczego w naszych magazynach i sklepach nie brakuje. Mamy odpowiednie zapasy zarówno artykułów typu kasze, makarony, mąki, cukier, jak i środków czystości. Nie mamy problemów z dostawcami. W środę nie



Jeśli wjeżdżamy z Niemiec, Czech i Słowacji, zajmują się nami odpowiednio przeszkoleni funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei, w maseczkach i lateksowych rękawiczkach. Zmierzam nam temperaturę elektronicznymi termometrami. Działają zgodnie z zaleceniami Głównego Inspektora Sanitarnego we współpracy z przewoźnikami, jak informuje insp. Marcin Żywiótek, rzecznik prasowy Biura Komendy Głównej SOK.

zauważyliśmy jeszcze nadmiernego wzrostu zakupów. Ale już w czwartek (12 marca), po zarządzeniach dotyczących zamknięcia szkół i innych obiektów, około godz. 10 rano rozpoczął się szal zakupowy. Oczywiście przede wszystkim schodzą wszystkie artykuły sypkie i suche, ale także ogromne kolejki ustawiają

się przy stoiskach z mięsem i wędlinami. Brakuje nam tylko dozowników i płynów dezynfekujących. Uważam, że powinno się podchodzić do tematu spokojnie, z wrażliwością i wyczuciem na innych, ale bez paniki. Mimo że jestem w grupie podwyższonego ryzyka – jak to się teraz określa. Zaobserwowaliśmy też w mieście młodzież, która tłumnie oblega McDonalda.

Bielsko-Biała: Będziemy razem

Beata Znamirska-Soczawa

Jolanta Reisch-Klose, po pięćdziesiątce, pisarka, autorka książek dla dzieci, mieszka w Bielsku-Białej. W czwartek (12 marca) spotykamy się w kawiarni w centrum handlowym – to może na jakiś czas ostatnie takie nasze spotkanie. Centrum rano jest opustoszałe, więcej osób wchodzi w maseczkach. Wczoraj jeszcze tego nie było widać.

– Zawodowo jestem zdruzgotana – przyznaje Jolanta – bo właśnie w tych dwóch nadchodzących tygodniach miałam zaplanowane siedem spotkań autorskich w bibliotekach w centralnej i północ-

nej Polsce i w ciągu jednego dnia wszystkie odwołano. Czyli zaliczam się do tych drobnych przedsiębiorców, którzy muszą wziąć na klatę skutki koronawirusa i którym strat finansowych nikt nigdy nie zrekomensuje. Z drugiej strony być może powinnam się cieszyć. Skoro ja nie jadę, córka nie idzie do szkoły, a mąż do pracy, to zamykamy się w domu i robimy sobie kwarantannę od innych, czas tylko dla siebie. Mam nadzieję, że będziemy wspólnie gotować, grać w planszówki, uprządkujemy ogród, będziemy razem. Może właśnie potrzeba było wirusa, żeby znaleźć *s/ow* czas dla siebie, rodzinie. Na pewno nie popadłam w szal zakupów, aczkolwiek w sklepie istnie szaleństwo. Ludzie rzucili się kupować, wymiatają z półek jak leci i obawiam się, że te spożywcze zapasy wylądują potem na śmietniku. ■



Wirus dezinformacji

W czasie pandemii jesteśmy bardziej podatni na teorie spiskowe i pseudonaukowe brednie, które szerzą się w internecie

Jakub Dymek

„Droży państwo, nie walczymy dziś wyłącznie z epidemią, walczymy z infodemią. Fałszywe wiadomości szerzą się nawet szybciej i łatwiej niż wirus, a są równie groźne”, ogłosił w połowie lutego na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa dr Tedros Adhanom Ghebreyesus, dyrektor generalny WHO. Rozwój wydarzeń dowiódł prawdziwości jego słów – tam, gdzie docierał koronawirus, wraz z nim docierały plotki, teorie spiskowe, fake newsy i antynaukowe brednie. Im gwałtowniej rozwijała się choroba, tym bardziej przybierała na sile plaga dezinformacji. Zjawisko zyskało globalny charakter, a mapa ośrodków epidemii nakłada się na mapę zakażenia dezinformacją.

W historii było tak już wielokrotnie – zaraza i plotka, strach i kłamstwo, panika i manipulacja pojawiają się razem przy każdej większej destabilizacji, czy będzie to klęska naturalna, zamach terrorystyczny, czy epidemia. Tylko że dziś po raz pierwszy doświadczamy tego na światową skalę dzięki internetowi i sieciowym narzędziom komunikacji, a przede wszystkim mediom społecznościowym,

w których informacja naprawdę rozprzestrzenia się jak wirus.

Zasilana paliwem strachu, oburzenia i złości dyskusja na karmiących się przede wszystkim naszymi emocjami platformach społecznościowych, atmosfera nieufności wobec autorytetów nauki i wiedzy, populistyczne odrzucenie ekspertów i „specjalnych kast” – to dla dezinformacyjnej epidemii i rozsiewanego przez nią wirusa paniki warunki cieplarniane. Aż dziw, że jeszcze zachowujemy pewien umiar i rozsądek.

Rozbijające mitów

Światowa Organizacja Zdrowia już w lutym na swojej stronie internetowej i we współpracy z krajowymi organizacjami zajmującymi się ochroną zdrowia zaczęła publikować sprostowania lub demistyfikacje – krócej debunki – najpopularniejszych fałszywych poglądów i plotek. Ich charakter pokazuje, że choć technologia idzie do przodu, myślenie magiczne i ludowa paramedycyna mają się dobrze. Wśród pytań, na które odpowiada WHO, pojawiają się i takie, czy wirusa zabije ciepła kąpiel lub wytarcie się w śniegu albo opryskiwanie ciała alkoholem. Inny mit, który obala-

ją eksperci, to ten o skuteczności czosnku w walce z wirusem. „Czosnek jest zdrowym pokarmem, który ma właściwości przeciwbakteryjne, nie ma jednak dowodów, że jedzenie czosnku chroni przed zarażeniem się nowym koronawirusem”, piszą.

Ten pozornie tylko niegroźny rodzaj dezinformacji rozprzestrzenia się za pomocą łańcusków, przesyłanych do bliskich i znajomych. Niepokój skłania do wierzenia nawet, a może przede wszystkim, w „zaufaną”, przekazywaną z ust do ust wiedzę – z czego korzystają twórcy mitów. O przykłady rzekomo skutecznych terapii, które „w trosce o innych” krążą po Polsce i świecie, nietrudno. Oto fragmenty: „Garść informacji, które otrzymałem ze środowiska akademickiego od znajomej profesor i profesora. Może komuś się przyda. (...) Spaceruj więcej na słońcu. Picie gorącej wody jest koniecznością. Chociaż nie jest to lekarstwo, będzie korzystne dla twojego ciała. Picie gorącej wody jest skuteczne w walce ze wszystkimi wirusami. Wirus z Wuhan nie jest odporny na ciepło i zostanie zabity w temperaturze 26-27 st. C. Dlatego pij więcej gorącej wody, aby zapobiec tej chorobie. Trzeba wypłukać nos w nozdrzach. Wyślij to do jak największej liczby osób – to twoje

osobiste zbawienie od tego wirusa, który nie pojawił się w wyniku jego naturalnej mutacji”.

Właściwie każde zdanie jest bzdurą lub banałem, któremu nadane zostało ponadnaturalne znaczenie medyczne. Spacerować na słońcu są z pewnością zdrowe, ale nie w sytuacji, gdy rekomendowana jest kwarcantyna i unikanie miejsc publicznych! Picie wody nigdy chyba nie szkodzi, ale nie ma dowodów (i można się założyć, że ich nie będzie), że powstrzymuje zakażenie. Gdyby wirus ginął w temperaturze powyżej 26 st., to powinien też zostać zneutralizowany w kontakcie z naszą jamą ustną czy nosem, bo temperatura ciała jest sporo wyższa, prawda? A pogłoskę o rzekomej skuteczności płukania nosa zdementowała WHO na wspomnianej stronie.

Co ciekawe, nawet zdanie, że recepty te polecają znajomi profesorowie, którzy pomagają Chińczykom, to kłaska z innego kłamstwa. Cytowany łańcuszek – jak się okazuje – jest bliźniaczo podobny do tego, który powstał najprawdopodobniej w języku angielskim i powoływał się na „pracownika szpitala uniwersyteckiego na Stanfordzie”. Uniwersytet Stanforda w Kalifornii w rozmowie z dziennikarką portalu The Verge zdementował i potępił tę fałszywkę w czwartek 12 marca – gdy, jak wiadać po jej karierze w Polsce, zdążyła już zainfekować dwa kontynenty.

Odwracanie uwagi i podkopywanie autorytetu

Ktoś powie, że zalecenia, by jeść czosnek i pukać gardło wodą są nieszkodliwe. Same w sobie może rzeczywiście. W normalnych okolicznościach byłoby przesadą twierdzić, że mylna informacja jest równie zabójcza jak śmiertelna choroba. Ale czasy pandemii do normalnych nie należą. I choć nie każda głupia plotka albo teoria spiskowa ma równie drastyczne konsekwencje i zasięg, to eksperci są zgodni – społeczeństwo, które jest dobrze poinformowane i ma ciągły dostęp do rzetelnej, sprawdzonej i aktualnej wiedzy, sprawniej sobie poradzi z ograniczeniem pandemii.

Ograniczeniem, podkreślmy to słowo, nie pokonaniem czy wyeliminowaniem wirusa w ogóle. Tak,

niestety, higiena informacyjna nie działa. Ale już jej brak z pewnością pomoże rozprzestrzenianiu się wirusa i w efekcie doprowadzi do zakażenia, choroby i śmierci większej liczby osób. Stawka jest jednoznaczna.

Łańcuszki z ludowymi receptami są szkodliwe, bo odwracają uwagę od skutecznych sposobów ograniczania zasięgu pandemii, wprowadzają zamęt, żerują na niewiedzy i naiwności – często pogłębiając jedną i drugą. Wiadomości, które odwołują się do „tajemnej”, „zaufanej” wiedzy albo informacji pochodzących „od znajomych” – a to bardzo popularny motyw dezinformacji – mogą prowadzić do osłabienia autorytetu lekarzy

W Polsce infodemia objawia się w lokalnym języku i gramatyce teorii spiskowych.

i ekspertów zdrowia publicznego, którzy rzekomo ową wiedzę ukrywają. W niektórych zaś przypadkach skutkują fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, którego następstwem jest ryzykowne zachowanie i większe narażenie się na kontakt z wirusem.

Ale obok tych, którzy dezinformują naiwnie, są też dziwaczne próby zarobku czy (auto)promocji na wirusie.

Strongman i witamina C

Gdy w Polsce odnotowano już pierwsze przypadki zakażenia koronawirusem, na oficjalnym koncie strongmana Mariusza Pudzianowskiego w serwisie Instagram można było przeczytać, że siłacz poleca na koronawirusa witaminę C, powołując się na „komunikat prasowy zespołu medycznego ze szpitala Uniwersytetu Xi'an Jiaotong w Chinach”. Konkretnie poleca jeden produkt, którego opakowanie ścisnął pod umięśnionym ramieniem – witaminę C firmy Olimp Nutrition, z którą współpracuje.

We wpisie można było przeczytać, że chiński szpital i inne instytucje medyczne z Chin, po badaniach i testach, rekomendują witaminę C w dużych dawkach. „Pacjenci cierpiący na ciężkie wirusowe zapalenie płuc (potencjalnie śmiertelne powikłanie nowego koronawirusa COVID-19) wyzdrowieli po leczeniu dużymi dawkami witaminy C”.

Od razu zaznaczmy, że witamina C nie leczy koronawirusa – nawet jeśli (o czym nie wiemy) niektórym chińskim pacjentom ją podawano. Organizm jest jednak w stanie przyswoić określoną dawkę witaminy C i jej nadwyżki pozbywa się z moczem. W związku z czym jej suplementowanie i zażywanie dużych dawek nie jest kuracją zalecaną przez lekarzy. Szczególnie na chorobę, o której wiemy tak mało i na którą nie ma jeszcze skutecznego lekarstwa.

Pseudonaukowy język i powoływanie się na autorytety oraz instytucje, których wiarygodność trudno przeciętnemu odbiorcy sprawdzić, to typowe w takich przypadkach

narzędzia. W sytuacji zagrożenia nikt nie będzie weryfikował, czym są szpital Xi'an i Shanghai Medical Association, które pojawiają się w poście Pudziana w roli naukowej podkładki, i co faktycznie w tej sprawie mówi konsensus naukowy.

Co gorsza, pojawiające się tam fragmenty o rzekomym konsensusie chińskich naukowców są żywcem przetłumaczone ze strony internetowej dr. Matthiasa Ratha, którego brytyjski „The Guardian” opisywał jako przeciwnika nowoczesnej medycyny. Rath wiele lat temu, gdy gazeta skrytykowała jego metody i opisała zarzucane mu nadużycia w pracy z pacjentami chorującymi na HIV/AIDS w Afryce Południowej, pozwał gazetę i wielu dziennikarzy, po czym z pozwu się wycofał. Strona Ratha na Wikipedii informuje, że wierzy on w możliwość wyleczenia witaminami m.in. raka i HIV/AIDS i promuje tę teorię. Rath owe witaminy sprzedaje na swoich stronach internetowych – podobnie jak Pudzianowski reklamuje witaminy na Instagramie.

Na wpis Pudzianowskiego zareagował pracownik Centrum Nauki Kopernik, który skrytykował szczerzenie nienaukowej wiedzy i zgłosił wpis do usunięcia przez platformę. Nic z tego – Pudzianowski (lub osoby zarządzające jego kontem) usunął odniesienia do koronawirusa w reklamie, być może po krytyce, ale wpis z Instagrama (platforma należy do Facebooka) nie zniknął. Zniknął za ▶

► to krytyczny komentarz pracownika CNK. To ważny szczegół w dyskusji o tym, na ile chwalone dziś za walkę z dezinformacją korporacje internetowe w rodzaju FB i Instagrama faktycznie wywiązują się z tego zadania.

Strach rodzi strach

Jest i trzeci rodzaj dezinformacji, który wypełnia obecnie internet. Teorie spiskowe, zastyszcane „z dobrego źródła” informacje od „wojskowych” i „znajomych w ministerstwie”. Katalog tych obaw jest równie szeroki, jak powtarzalny. Według jednej z najpopularniejszych teorii koronawirus był produktem inżynierii genetycznej lub bronią biologiczną, która „wydostała się spod kontroli” w laboratorium w Wuhan. Jeśli komuś ten pomysł wydaje się niepoważny czy śmieszny, trzeba powiedzieć, że – jak ustaliły portal medyczny Stat i strona sprawdzająca fakty NewsGuard – artykuł opisujący koronawirusa jako skutek chińskiej manipulacji genetycznej w Wuhan dotarł do 15 mln osób w USA.

Infodemia jest prawdziwa, a porównanie dezinformacji do wirusa ma sens. Jest wręcz przerażająco trafne.

W Polsce jednak infodemia – im większa robi się liczba potwierdzonych przypadków – objawia się w lokalnym języku i gramatyce teorii spiskowych. Te mniej mają wspólnego z filmowymi thrillerami o broni biologicznej, a więcej z traumami z czasów stanu wojennego czy rytualną niewiarą w jakąkolwiek sprawczość rządu i panikę w kręgach władzy (zauważmy, że wykluczające się teorie mogą w myśleniu spiskowym funkcjonować obok siebie bez problemów).

Stąd biorą się wiadomości, że władza ukrywa faktyczną liczbę zakażonych lub ją zaniża, by ukryć rozmiary epidemii. Lub na odwrót, że wykorzystuje epidemię koronawirusa, który sam w sobie nie jest aż tak groźny, aby za chwilę rozjechać czołgami opozycję i internować zwykłych obywateli. Jeszcze jeden nurt teorii spiskowych, szczególnie spektakularny, pokazuje zaś rząd jako marionetki w rękach światowych koncernów, które potrzebują wirusa, żeby ukryć ekspansję sieci komórkowej

5G. Mnożą się tajemnicze „SMS-y od znajomych”, którzy mają jakąś zakulisową wiedzę o ruchach wojsk i planach przymusowego ograniczenia możliwości poruszania się nawet w granicach pojedynczych miast. A Zbigniew Stonoga, znany internetowy prowokator, donosi, że PiS kupiło po zawyżonej cenie 15 mln maseczek, żeby kosztem naszego zdrowia zarobiła sobie firma krewnych kogoś z MSW.

Tak na marginesie – to arcyciekawie, co kostiumy, w które ubierają się te lęki, mówią o nas jako o społeczeństwie i zbiorowości. Jednak ten rodzaj dezinformacji niesie jeszcze inne zagrożenia – samospełniającej się przepowiedni. Bombardowani informacjami o niedoborach żywności czy artykułów higienicznych będziemy bardziej skłonni robić niepotrzebne zapasy, czym wyłącznie przyczynimy się do ewentualnego prawdziwego deficytu podstawowych produktów. Ludzie straszeni stanem wyjątkowym i przymusową kwarantanną będą się zachowywać mniej racjonalnie i mniej będą ufać

skiego MIT. Omawiałem je szeroko dla portalu Reo.pl: „Aral, Roy i Vosoughi zaczęli pracę z materiałem źródłowym, na który składało się ponad 120 tys. doniesień medialnych – zbadanych przez sześć odrębnych stron fact-checkingowych – które przez ostatnią dekadę udostępnili, komentowali i podawali dalej użytkownicy Twittera. Dzięki analizie słów kluczy, emotikonów i odnośników do materiałów źródłowych badacze przyporządkowali do tych 120 tys. newsów 4,5 mln reakcji na Twitterze z 3 mln różnych kont. Ponieważ każdy materiał źródłowy – news, plotka, doniesienie czy wypowiedź polityka – były już uprzednio zaklasyfikowane przez niezależne od badaczy zespoły fact-checkerów jako prawdziwe, częściowo prawdziwe lub fałszywe, naukowcy prześledzili wyłącznie, co dzieje się z materiałami z każdej z tych trzech kategorii, jakie wywołują reakcje i jakie są ich dalsze losy w odmętach platformy społecznościowej. A potem porównali wyniki i – jak sami przyznają – wpadli w osłupienie”.

Naukowcy z MIT doszli do wniosku, że „fałsz rozchodzi się szybciej, dalej, głębiej i szerzej niż prawda we wszystkich kategoriach informacji, a wskazania są wyraźniejsze w przypadku fałszywych wiadomości z dziedziny polityki niż informacji dotyczących terroryzmu, katastrof naturalnych, legend miejskich czy wiadomości finansowych”. Fałszywe wiadomości miały w niektórych kategoriach aż sześciokrotnie krótszy czas dotarcia do 1,5 tys. osób niż wiadomości prawdziwe. „Fejki” miały o 70% większą szansę na udostępnienie na Twitterze. Fałszywkami dzielono się szerzej wśród użytkowników niezależnie od tego, czy były to arcypopularne historie, czy pogłoski, które cieszyły się dużo mniejszym zainteresowaniem.

Infodemia jest prawdziwa, a porównanie dezinformacji do wirusa ma sens. Jest wręcz przerażająco trafne. Media społecznościowe zaś zostały stworzone do tego rodzaju sytuacji i na nich zarabiają. Niebawem przekonamy się też, czy i jak skutecznie są w stanie ograniczyć największe nadużycia. Pewnie nie będzie wielką przesadą powiedzieć, że to sprawa życia i śmierci.

Jakub Dymek

Infodemia to fakt

Należy więc zapytać, dlaczego teraz i czy rzeczywiście internet oraz media społecznościowe pogarszają sytuację. Stowem, czy infodemia jest prawdziwa. Najkrótsza odpowiedź brzmi: tak.

Media społecznościowe sprzyjają szerzeniu się informacji wywołujących najbardziej emocjonalne reakcje, a wśród tych najsilniejszy efekt wywierają najbardziej podstawowe emocje: strach, wstręt, oburzenie, szok, agresja. I są badania naukowe, które potwierdzają istnienie tego mechanizmu – im bardziej coś nas oburza lub szokuje, tym bardziej jesteśmy skłonni właśnie tym (a nie czymś, co rozczula lub koi) dzielić się w internecie.

W 2018 r. badania na ten temat przeprowadzili uczeni z amerykań-

Z Galicji



Jan Widacki

To pierwsze hasło już raz Polacy słyszeli. Nie baliśmy się Niemców. Bolszewików pogoniliśmy już w 1920 r., więc tym bardziej ich się nie baliśmy. Wedle rządowej propagandy byliśmy „silni, zvarci, gotowi!”. Nawet przez myśl nikomu, chyba łącznie z Rydzem-Śmigłym, nie przeszło, że jednak trzeba się bać i Niemców, i bolszewików równocześnie. Naród był przekonany, że „nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz”. 1 września 1939 r. nawet poważni, mogłoby się zdawać, ludzie zakładali się w lwowskiej kawiarni, czy w Berlinie nasze zwycięskie wojska będą już za tydzień, czy trochę dłużej im zejdzie. No i zeszło. Pięć lat, w dodatku wkroczyli do Berlina w bardzo złym towarzystwie żołnierzy Armii Czerwonej. W szybki sukces wierzyli najmocniej młodzi porucznicy, wychowani w kulcie zwycięskiej armii w 1920 r. Żegnali się z narzeczonymi na tydzień lub dwa... Tylko starsi i doświadczeni dowódcy dobrze wiedzieli, że nie damy rady. I jeśli coś sami obronimy, to zaledwie „przedmoście rumuńskie”, kawaleczek górzyściej ziemi między Sanem, Dniestrem, Zbruczem i grzbietem Karpat. Optymistycznie nastawieni sądzili, że na tym kawałku ziemi, zasilani przez aliantów poprzez Rumunię w sprzęt

Niezależnie od realnego zagrożenia koronawirusem rośnie zagrożenie psychologiczne. Uzasadnione lub nie, jest zjawiskiem realnym, kto wie, czy nie groźniejszym w skutkach społecznych i gospodarczych (a nawet politycznych!) od samej epidemii. Co więcej, nad rozprzestrzenianiem się wirusa można jeszcze, lepiej czy gorzej, zapanować. Nad paniką znacznie trudniej. W Krakowie wykupiono papier toaletowy, jakby wirus nie atakował dróg oddechowych, ale miał wywoływać biegunki. Tu i ówdzie brakuje mydła, także niektórych produktów spożywczych. Ludzie przygotowują się do kwarantanny. Ktoś rozpuścił plotkę, że większość lekarstw, zwłaszcza produkowanych w Niemczech, jest robiona na komponentach sprowadzanych z Chin. Ludzie czują się już całkiem zagubieni: kupować leki w aptekach czy nie kupować? Bo a nuż jakiś chiński koronawirus utajony wewnątrz pastylki aspiryny Bayera zostanie polknięty...

Odwołano zajęcia w szkołach i na uczelniach, odwołano imprezy masowe: sportowe, naukowe, kulturalne. Zamknięto żłobki i przedszkola. To rozumiałe. Ale dlaczego np. sądy odwołały rozprawy? Tak jakby gromadziły się tam tłumy. Zamykają także

„Silni, zvarci, gotowi” i „jakoś to będzie”

i amunicję przetrwamy zimą, dotrwamy do wiosny, kiedy ofensywa Francuzów i Anglików rozbije Hitlera. Nie zdążyliśmy nawet wycofać się na to „przedmoście rumuńskie”. Sowietci wkroczyli tam 17 września, Rumunia wycofała się z sojusznicznych zobowiązań (mówiąc przewrotnie, że dotyczyły one wojny z ZSRR, a nie z Niemcami), transportowiec aliancki, który nieśpiesznie płynął ze sprzętem wojskowym, nie dopłynął nawet do Konstancy i zawrócił.

Teraz sytuacja jest o tyle inna, że nikt nas nie napada. Ani ze wschodu, ani z zachodu. Zaatakował nas koronawirus, który do Europy został przywieziony z Chin. Do nas przyszedł chyba z Włoch, bo na dobrą sprawę nikt nie wie, skąd dokładnie. Rząd zapewnia nas, że wszystko jest pod kontrolą. Służba zdrowia jest przygotowana, rząd myśli i czuwa. Bój się, wirusie! Jesteśmy silni, zvarci i gotowi. W roli Rydza-Śmigłego obsadono ministra zdrowia Szumowskiego. Po kilka razy dziennie na konferencjach prasowych i briefingach, czasem w towarzystwie innych ministrów, z ekranów telewizorów zapewnia nieodmiennie, że jesteśmy „silni, zvarci i gotowi”.

W kontraście do optymizmu ministra różni lekarze prywatnie mówią, że nasza służba zdrowia na epidemię kompletnie przygotowana nie jest. W szpitalach i przychodniach już brakuje środków ochrony, masek, rękawiczek... za mało jest respiratorów, nawet testów na koronawirusa, izolatek, a przede wszystkim miejsc na oddziałach zakaźnych i lekarzy specjalistów: anestezjologów i specjalistów chorób zakaźnych. Jak jest naprawdę, nie wiadomo, to dopiero się okaże. Obawy wzmacniane są informacjami, że szpitale ograniczają przyjęcia. Zrobił to nawet największy w Małopolsce Szpital Uniwersytecki w Krakowie. Ograniczył przyjęcia, z powodu braku środków higieny. Chyba więc ludzie nie bardzo ministrowi wierzą. W panice wykupują medykamenty, środki czystości, żywność.

biblioteki. No, tam, jak wynika ze statystyk, tłumów nie bywa. Koronawirus miałby się czaić między kartkami książek? Nie ma jasnego stanowiska Kościoła. Jedni hierarchowie ogłaszają dyspensę od obecności na niedzielnych mszach, drudzy – przeciwnie, chcą zwiększyć liczbę mszy, by trochę zdekoncentrować wiernych, a jeszcze inni chcą organizować tłumne pielgrzymki na Jasną Górę, by ubłagały Najświętszą Panienkę, aby powstrzymała epidemię. No i pytanie, czy koronawirus jest gorszy od gender, czy jednak gender nadal straszniejszy. Spór z medycznego stał się teologiczny i aksjologiczny.

Epidemię chcą też wszyscy wykorzystać politycznie. Szczególnie rząd (pod hasłem: „silni, zvarci, gotowi”). Próbuje, choć nieśmiało opozycja, bardzo delikatnie punktując niedociągnięcia administracji rządowej.

W tym wszystkim ginie rzecz najważniejsza. Zdrowy rozsądek. Nie ginie jednak rażone wirusem poczucie humoru. Pojawiły się memy, że w związku z epidemią majowe wybory prezydenckie odbędą się bez udziału wyborców.

Epidemia się skończy. Jej skutki i skutki lęku przed nią pozostaną. Na ogół negatywne. Rozregulowane będzie życie społeczne i gospodarcze. Kto i z czego pokryje straty?

Ale spróbujmy się dopatrzeć możliwych skutków pozytywnych. Może poprawi się poziom higieny? Może Polacy będą częściej myć ręce (w zależności od opcji politycznej metodą demonstrowaną przez marszałka Grodzkiego lub przez wicemarszałka Karczewskiego). Może w szkolnych toaletach na stałe pojawi się mydło? Może odejdzie do lamusa staropolski zwyczaj całowania rąk (brudnych czasem, niestety!) przez (czasem zamaskanych) dżentelmenów?

Nie traćmy nadziei. „Jakoś to będzie” – to najstarsza polska filozofia. No, „jakoś to będzie”. Ale jak, dopiero się okaże.

Ludwik Stomma. Antropolog kultury, historyk, autor książek, felietonista. Także PRZEGLĄDU. Wielka postać, wielki erudyta. Niełatwo pogodzić się z tym, że już nigdy niczego nie napisze i nigdy już nie będzie okazji z nim pogadać.

Bo był to KTOŚ, choć nosił się zwyczajnie.

Po pierwsze, znał wszystkich. A jak nie znał, a chciał poznać – to poznawał. Miał niebywałą umiejętność zawierania znajomości, skracania dystansu, wczucia się w duszę rozmówcy. I naturalną ciekawość drugiego człowieka.

Po drugie, nadzwyczaj skutecznie zaprzeczał tzw. prawdom oczywistym. Z zapałem niszczył stereotypy i zastane przekonania. Udawało mu się to, bo miał wyćwiczony umysł, bo był wielkim erudyta, zachwycającym wiedzą, i wreszcie – bo chciał.

Erudyta... Z tym trzeba się urodzić, by wyłapać te wszystkie ciekawe historie, z reguły pokrywane w nudnych relacjach, potem przetworzyć je w barwne opowieści, zapamiętać i w odpowiednim momencie taką anegdotę odpalić.

Oto Ludwik Stomma, człowiek mądry i barwny. Skąd takim się wziął? Stanowił przecież, przynajmniej na pierwszy rzut oka, absolutne przeciwieństwo ojca, Stanisława Stommy, pośła Katolicko-Społecznego Koła Poselskiego Znak. Stomma senior był wzorem akurtności, człowiekiem wyważonym, do przesady grzecznym. Wydawałoby się, że on i syn to ogień i woda. A jednak...

W wydanym przez Iskry „Stommowisku” Ludwik Stomma tak pisał o ojcu: „Czy był dla mnie autorytetem? Strasznie skomplikowana sprawa. Na pewno tak, a jednocześnie większość decyzji życiowych podejmowałem wbrew jego radom, o trybie życia nawet nie wspominając. Zresztą, czy ja w ogóle uznawałem w życiu jakiegokolwiek autorytetu? Ułankowo byli nimi Aleksander Gieysztor, Marian Przełęcki, Claude Lévi-Strauss, Konstanty Jeleński, Antoni Gołubiew. Przy wrodzonej krnąbrności i *esprit de contradiction* o wiele łatwiej byłoby mi wyliczyć takich, którzy nieświadomie kształtowali mnie pośrednio przez

Wyszło świetnie, Ludwiku...

Ludwik Stomma 1950-2020



co do decyzji o wybuchu powstania warszawskiego, coś, co określało jego sposób myślenia i skłaniało do tego, by z reżimem, który mu nie odpowiadał, jednak próbować koabitować, robić swoje. Mówię o tym dlatego, że – wydaje mi się – miało to wpływ na wychowanie Ludwika. Gdy chodziłem do nich, to był uczeń, taki chłopak. Więcej o nim dowiedziałem się w okresie Marca 1968. Chodził wtedy do liceum. I wiem o tym, że zachował się niesłychanie przyzwoicie, buntowniczo, patriotycznie. Myślę, że te wartości, jakie Ludwik wyniósł z domu, potem zaowocowały”.

Ja również odnosiłem wrażenie, że Ludwik był w sprawach zasadniczych bardzo podobny do ojca. Miałem okazję kilka razy gościć u Stanisława Stommy, on nawet to odnotował w swoich zapiskach, o czym

mój sprzeciw wobec ich poglądów i postawy. W polityce była to PZPR, polska kołtuńska prawica ze swoimi antysemitkami, antyrosyjskimi, antyniemieckimi i innymi fobiami oraz narodowy klerykalizm. W zasadzie nie byłoby między mną a tatą większych rozbieżności, gdyby nie fakt, że jego zaprzętały przede wszystkim idee, ja zaś byłem nieskończenie bardziej pragmatyczny”.

Podobnie ocenia Marian Turski. „Przychodziłem do Stanisława Stommy i do Elwiry na Kanoninę. Stomma? Bardzo poważny. Przed wojną był taki termin – myśleć państwowo. To był on, dla niego wartością najwyższą było państwo polskie. I stąd między innymi, jak sądzę, jego akces do grupy pozytywistów warszawskich, do »Tygodnika Warszawskiego«, jeszcze przed wojną, potem oczywiście do »Tygodnika Powszechnego«. To było myślenie, które owocowało niesłychanie krytycznym stosunkiem

Ludwik mi później powiedział. Jak mówił, to dlatego chciał mnie poznać, był mnie ciekaw, i od razu zaproponował, byśmy przeszli na ty. A tamte wizyty u seniora Stommy to były długie rozmowy, przeważnie o polityce, tej bieżącej i tej minionej. I z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że owo przeciwstawienie: po jednej stronie stateczny mąż, ojciec, poseł, a po drugiej hulaka, nie jest do końca prawdziwe. Trzeba sięgać głębiej. Wtedy widać, jak wiele ich łączyło. Mówi się o realizmie politycznym Stanisława Stommy. To fakt. Ale trzeba dodać, że ten realizm był możliwy jedynie wówczas, kiedy jego fundamentem były twarde zasady i wyznaczone cele. Bo gdy tego nie ma, realizm okazuje się zwykłym kupczeniem. A oni obaj zasady mieli. Na przykład tę, że „warto być przyzwoitym”. Bo polityka pozbawiona przyzwoitości przestaje być polityką, staje się kuglarstwem.

I jeszcze słowo o celach – najkrócej można je określić jako przyciągnięcie Polski do zachodniej Europy, do jej cywilizacji. Syn dostał na chrzcie imię Ludwik, bo ojciec chciał podkreślić swoje frankofońskie sympatie. Potem wzorem była Stanisławowi europejska chadecja i porządek europejski przez nią zbudowany. A Ludwik? Mieszkał i wykładał w Paryżu. Francja – to było to! I republikańizm, i sposób myślenia, i sposób życia. Błyskotliwe formułowanie myśli, efektowna ich forma, no i wino, dobre jedzenie, piękne kobiety, podróże, rozmowy z ludźmi.

I zero kompleksów. Bo Ludwik, antropolog kultury, z taką samą swobodą rozmawiał z hiszpańskimi rybakami, jak i z profesorami Sorbony. Jest jego cudowna opowieść o rozmowach z rektorem uczelni, na której wykładał. Rektor się martwił, że Ludwik jest samotny, studentki go lubią, więc mogą być kłopoty. No i jak to wygląda, żeby szacowny profesor mieszkał w X Dzielnicy, zamieszkałej głównie przez Arabów i Pakistańczyków. „Bo ją lubię”, tłumaczył nieszczerze Ludwik (a chodziło o to, że było tam tanio), rektor zaś odpowiadał: „Skoro pan lubi, to niech pan tam chodzi na spacer, ale zamieszka gdzie indziej”. Od tej rozmowy minęły dwa lata, Ludwik zakochał się, ożenił, przeprowadził do „dobrej” XI Dzielnicy. Gdy więc spotkał rektora, natychmiast się tym pochwalił. „A, gratuluję – odparł rektor. – Jaka dzielnica, XI? Dobrze, dobrze. A żona? Gdzie pracuje?”. Na co Ludwik z dumą: „Jest tancerką w Folies Bergère”. I oddajmy mu głos: „Gdyby Basia była robotnicą w zakładach Renault, nie zachwyciłoby go to na pewno, gdyby była arystokratką, ubodłoby jego republikańskie serce. To było jednak

coś, co kojarzyło mu się z bohemą, Montmartre’em, szaleństwem. Biegł, a właściwie płynął korytarzem, zawiadamiając wszystkich po drodze o moim szczęściu”.

Takich opowieści, anegdot miał w zanadrzu setki. „Z tym że u niego jest to anegdota na ogół historyczna. Pod tym względem dorównywał Tazbirowi – mówi Marian Turski. – Ta lekkość, analiza, głębia... A jednocześnie próba, wiele dała tu Ludwikowi etnografia, rozumienia podmiotu, jakim są ludzie. I to jest właśnie to, czego będzie brakować”.

„Ludwik był nieskończonym źródłem wiedzy albo umiejętności jej odszukiwania – to już Wiesław Uchański, jego wydawca z Iskier. – Słynął z gigantycznej pamięci. Poza kwestiami zawodowymi, poza antropologią kultury, łącznie z kulturą chłopską, pisał o skandalach z dworów królewskich, polskich, francuskich, popularyzował historię, czytelnikowi dawał poczucie, że uczestniczy w lepszym dyskursie. Trzeba mieć wiedzę i trzeba mieć umiejętność pisanja, by tworzyć takie książki. One były jak duże felietony. Błyskotliwe, poruszające tematy uderzające w czułe struny. Jedną z nich, »Polskie złudzenia narodowe«, rzeczywiście pokazuje polskie mity, ma wielu zwolenników i do tej pory cieszy się powodzeniem. Zresztą prawie wszystkie jego książki, a wydaliśmy ich osiem, dobrze się sprzedają”.

Można powiedzieć, mamy oto pochwałę buntu, nonkonformizmu, bo Ludwik jak mało kto zderzał się z banalną myślą, z klepaniem poprawnych politycznie formułek.

„Od dziecka (*sic!*) przyjmowałem z przymrużeniem oka wszystkie »oczywistości«, »prawa naturalne« i uogólniające sądy – pisał o sobie. – Nie mogło być inaczej, skoro od za-

rania przyszło mi konfrontować zasady i poglądy naszych mieszczańskich sąsiadów i chłopców z Wisły Kraków, potem poglądy zastyszczane od rodziców i obowiązujące w szkole, wreszcie przekonania tych samych ludzi deklarowane prywatnie i publicznie. (...) Miało to dobre skutki w tej mierze, że nie ulegałem stereotypom i »izmom«, i nie najlepsze, gdyż siłą rzeczy byłem zawsze uczniem krnąbrnym i intelektualnie konfliktowym. Już szkołę podstawową musiałem zmieniać cztery razy, potem było jeszcze gorzej. Nie ogłupiała mnie nigdy propaganda PRL-u, ale równie nieufny byłem wobec zjadłych antykomunistów. Zniechęcały mnie nauki Kościoła, ale bardziej jeszcze płaski racjonalizm i pogarda dla metafizyki”.

W sumie – wyszło świetnie. Dziękujemy Ci, Ludwiku.

Robert Walenciak

•

A mnie będzie żal, że już nie dostanę tak ciepłych słów: „Wie Pani doskonale, że pisanie do PRZEGŁĄDU jest swoistym honorowym krwiodawstwem. Miło jest jednak nawet za groźsze współpracować, gdy się uważa, że to może jednak czemuś służyć. Ja mam jeszcze dodatkową satysfakcję, że oddaję swoją pisaninę w ręce i pod oko tak wyjątkowego, znakomitego redaktora jak Pani!“. I nikt nie prześle „wirtualnego, niestety, wielkiego bukietu najwspanialszych tulipanów“. Dziś te tulipany są dla Pana, Panie Profesorze.

Joanna Wielgat

Żegnając

prof. Ludwika Stommę

składamy serdeczne
wyrazy współczucia
Jego ukochanej
Żonie Barbarze
synom Stanisławowi,
Olafowi i Rolandowi
oraz wszystkim bliskim

Joanna Wielgat,
Jerzy Domański,
Robert Walenciak
i zespół „Przeglądu”

Żegnamy

LUDWIKA STOMME

długoletniego autora i przyjaciela Wydawnictwa Iskry,
wybitnego erudyty i pisarza, m.in. autora legendarnych
„Polskich złudzeń narodowych”.

Prezes Iskier – Wiesław Uchański i współpracownicy

Bójcie się poprawiaczy waszego życia!

Ludwik Stomma na przekór tzw. prawdom oczywistym

Jako felietonista prof. Ludwik Stomma pojawił się na łamach PRZEGLĄDU w lutym 2013 r. Ostatni Jego tekst wydrukowaliśmy cztery tygodnie temu. Przez ponad sześć lat ukazało się przeszło 150 felietonów. **Najczęściej pisał o Polsce i Polakach**, wiele razy krytycznie, ale zawsze z troską, mając dystans, jaki daje spojrzenie znad Sekwany: „Doszliśmy do takiego poziomu zakłamania, że każde stwierdzenie najoczywistszej oczywistości sprowadzi na nas gromy jak nie z tej, to z tamtej strony, a najczęściej ze wszystkich jednocześnie. Rzeczy oczywistych już dawno u nas nie ma” (8 kwietnia 2019 r.), „Nie umrzemy z braku wody czy na pylicę płuc. Nie umrzemy pod maczugą złowrogiego

»Nie wiem« po prostu nie istnieje albo złośliwie nie chce przechodzić przez zęby. Kto »nie wie«, jest albo burakiem, albo się uchyla od odpowiedzi, zataja, usiłuje nas przechrzyć, czyli knuje. Prawdziwy Polak to wie i jakiegokolwiek fakty tylko go w jego wiedzeniu utwierdzą” (31 grudnia 2018 r.).

Bolało go, jak prawica i IPN zakłamują polską historię, zwłaszcza tę z okresu PRL: „To, co dzisiaj się dzieje, co wmawiane jest niestety coraz skuteczniej, (...) jest celowym plugawieniem dorobku tamtych pokoleń, dokonań, bez których skądinąd nas by nie było. Gdzie niby kształcili się bracia Kaczyńscy, podobnie zresztą jak Schetyna – w tym samym Morawieckim niebycie. (...) Doszczętnym zakłamaniem

ny« i »Przekrój«, były polskie teatry i polska matura. Oczywiście, że to wszystko było cenzurowane. Ale było! Kształtowało świadomość, przemyślało, co tylko mogło. (...) Oczywiście nie była to sielanka. Działy się też rzeczy straszne i zbrodnicze. Ale o odrobinę proporcji warto się upomnieć. Jeżeli IPN brzydzi się słowem wyzwolenie, niech uzna przynajmniej termin ocalenie, gdyż po upadku powstania warszawskiego trwała już Polska ostatnim wysiłkiem” (15 września 2014 r.).

Zależało Mu na tym, jak o Polsce mówią w Europie. „Czytam oto, że premier Bułgarii zarzucił Polsce ksenofobiczną nielojalność wobec Unii Europejskiej w kwestii przyjmowania uchodźców z Bliższego Wschodu, brak solidarności wobec unijnych partnerów, czyli, *summa summarum*, (...) rozbijactwo i działanie na szkodę Wspólnoty. (...) Naszego rządu to oczywiście nie obchodzi. (...) Nie będzie Europa płuć nam w twarz i nami komenderować. PiS jest silne piastowskim duchem, dlatego nawet brata się z miecznikami Chrobrego. I to jest właśnie najśmieszniejsze. Stabilna i silna Polska to bowiem Polska w Unii Europejskiej, wytrwale umacniająca swoją w niej pozycję i autorytet. Rzeczpospolita

Plugawienie czasów i biografii nie uchodzi bezkarnie.

uchodźcy. Zadusimy się najprościej w świecie własnym egoizmem” (14 czerwca 2019 r.), „Kochani! Zamiast lękać się wolności, bójcie się poprawiaczy waszego życia!” (25 marca 2019 r.), „Można, choćby w imię świętego spokoju, tolerować głupotę, kłamstwo, nikczemność nawet. Jak długo jednak? (...) Zastanawiam się nad tym, wystuchując teorii Antoniego Macierewicza i jego pseudoekspertów o katastrofie smoleńskiej czy wypowiedzi abp. Józefa Michalika o pedofilii. Okazuje się, że w Polsce niektóre prawa natury zostają unieważnione, a przynajmniej zawieszone. Najlepszą diagnozę tej sytuacji sformułował Tadeusz Różewicz, pisząc, że ongiś istniało u nas solidne, mieszczańskie dno. Można było na nie spaść, osiągnąć je itd. Dzisiaj – przestrzega poeta – dna już nie ma. Można się staczać w nieskończoność” (4 listopada 2013 r.). Wydawać by się mogło, że w Rzeczypospolitej to najprostsze, dość łatwe do zapamiętania zdanko

historii może się pochwalić IPN, a z nim władze PiS, przedtem PO, jak również lewicy, która tchórzliwie nie starała się przywrócić choćby minimum proporcji. Tyle że plugawienie czasów i biografii koniec końców nie uchodzi bezkarnie. Wchodzi w krew i zatrzuwa coraz to nowe obszary. Dziwicie się narastającej agresji i nienawiści? Kłamcie dalej!” (28 stycznia

Zadusimy się najprościej w świecie własnym egoizmem.

2019 r.). „W wersji IPN były dwie równorzędne okupacje: niemiecka i sowiecka. Tutaj nie ma już tezy historycznej, a zaczyna się jawne kłamstwo, do polemiki z którym nie warto się właściwie zniżać. Odpowiedź jest bowiem najprostsza: kominy Majdanka i Oświęcimia przestały dymić, otwarto polskie szkoły i uniwersytety, można było w nocy wyjść na ulicę, w dzień nie bać się łapanek, w Krakowie zaczęły ukazywać się »Tygodnik Powszech-

w wersji naszych, pożałujcie Boże, narodowców to kruchy i niepewny twór między niechętnymi sąsiadami, do którego i reszta Europy straci powoli cierpliwość. Nie zgadzam się też z tezą, że im dalej od Unii, tym bliżej do Putina. Dla Rosji również Polska liczy się tylko jako istotny (jeszcze) członek Wspólnoty. Ze zdaniem zmarginalizowanych na własne życzenie nie liczy się nikt” (30 maja 2016 r.).

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Jak nie napisać o...

Żeby nie użyć tego słowa, żeby nie nawiązać, nie skomentować, żeby nie poradzić (dobrze i słusznie), żeby nie podpowiedzieć, żeby nie uświadomić, żeby nie pogrozić, nie postraszyć, żeby nie edukować, żeby nie ujawnić, żeby nie zaoferować pomocy, żeby się nie poradzić, żeby nie dopytać, żeby nie wyjaśnić, dookreślić, żeby nie podważyć lub nie rozwiać, żeby przestać, szerować, żeby porozmawiać, żeby doprecyzować, żeby opisać, nagrać, zauważyć.

opuszczają, nie uciekają, czy respektują, czy przestrzegają, czy rozumieją, dlaczego tak, a nie inaczej, czy to do nich dociera, czy stawiają opór i to głupie pytanie, czy mogą nie kontestować, czy mogą się buntować, czy zdają sobie sprawę, co z tego wynika, o co tu w ogóle chodzi, czy przypadkiem nie idą tam, dokąd chodzić nie wolno, niewskazane, zabronione, groźne, niepotrzebne, niepożądane – czy z pożądaniem wszystkiego jest wszystko OK, czyichś żon, mężów,

raczej rodzi przerażenie; czy raczej racjonalnie, czy na oślep, czy rozsądek, czy furia nieokiełznana, jak bez recepty, a jak bez objawów, jak bez skutków, a jak bez przyczyn.

Kiedy wiemy, a kiedy tylko przypuszczamy, kiedy wyprzedzamy, a kiedy przepuszczamy, kiedy wyciągamy rękę, a kiedy ją cofamy, czy milczymy, czy gadamy, czy śpiewamy, czy mamroczymy, kiedy podnosimy wzrok, a kiedy opuszczamy głowę; jak się dowiemy, że to koniec, że to już, że po wszystkim, że teraz czas na żałobę i na nowe ułożenie życia, ciała, świata, że stare nawyki nie mają racji bytu, a nowe jeszcze się nie pojawiły. Jak to przez siebie przepuścić, przefiltrować, kiedy odpuścić, usiąść. Nie zapaliwszy papierosa, odetchnąć głęboko i całkowicie niewinnie, bez konsekwencji. Kiedy poczuć, że to już, skąd wiedzieć, że dalej, znowu, że się udało nie wiadomo dlaczego – albo że nie i nie ma co zbierać.

Nie wiem.

Jak się dowiemy, że to koniec, że to już, że po wszystkim, że teraz czas na żałobę i na nowe ułożenie życia, ciała, świata.

Żeby nie dotknąć, żeby nie przesadzić, żeby nie zlekceważyć, żeby nie podać w wątpliwość, żeby zasnąć, żeby odpocząć, żeby zarobić, żeby nie stracić, żeby kontrolować, żeby nie musieć wyjść, żeby nie musieć wyjechać, żeby nie musieć wylecieć, żeby nie musieć wymaszerować, żeby nie trzeba było się tłumaczyć, żeby nie trzeba było przeproszać, żeby nie trzeba wycierać, żeby nie trzeba zmywać, czyścić, dezynfekować, żeby nie pracować, rozwieszać, suszyć, żeby nie używać kłamek, spinaczy, linek, sznurków, żeby nie chodzić tak często do spiżarni, kuchni, żeby nie chodzić tak często do toalety, żeby mieć czym wytrzeć i czym umyć ręce.

Żeby wyglądać przez okno i patrzeć, czy inni tylko wyglądają, czy przypadkiem nie wychodzą, nie

partnerów, majątków, dóbr, posiłków, środków czystości i myśli nieczystych.

A co z płynami? Które przyjmować, a od których przyjmowania się powstrzymywać, jak to dozować i właściwie dlaczego akurat tak, a nie inaczej; skąd wiedzieć, że tak dobrze, tak źle, a tak nie wiadomo jak, jak weryfikować i sprawdzać, jak przesiewać, jak ograniczać, jak nie nadużyć, jak przyzwyczaić się do niewyobrażalnego i niewidzialnego, jak nie oszaleć, nie zmarnieć, jak nie posmutnieć albo histerycznie się nie śmiać.

Dlaczego ja albo nie-ja, skąd, po co i dlaczego, czy można zaakceptować niezrozumiałe, dziwne, niepokojące, groźne, ulotne, pojawiające się i znikające, trwające i demolujące, czy akceptacja współistnienia przeciwności pomaga czy

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeгляд.pl

Miasto na sprzedaż

Polacy mają dość wolnoamerykanki i ustawiania reklam, gdzie popadnie

Dorota Bartosewicz

– Działanie wojewody ewidentnie wygląda na wtykanie kija w szprychy. Wojewoda nie podaje żadnych konkretnych niezgodności przepisów uchwały z prawem – mówi bez ogródek Andrzej Porawski, dyrektor biura Związku Miast Polskich. – Ustawa nie wymaga ponownego wyłożenia projektu tej uchwały, a wprowadzone zmiany były przecież właśnie wynikiem konsultacji.

Wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł 26 lutego zablokował uchwałę krajobrazową Rady m.st. Warszawy, przyjętą 16 stycznia 2020 r. Powód? Jego zdaniem istotne naruszenie trybu sporządzenia uchwały. W tym „brak ponownych uzgodnień z Mazowieckim Konserwatorem Zabytków i ponownego wyłożenia projektu do publicznego wglądu po wprowadzeniu licznych zmian. (...) Owe zmiany skutkowały radykalną zmianą sytuacji wielu podmiotów – zarówno właścicieli, jak i użytkowników nieruchomości, podmiotów gospodarczych, a także innych adresatów uchwały, zaś nowe zmiany nie byłyby akceptowalne przez organ uzgadniający”, można przeczytać w rozstrzygnięciu nadzorczym. Wojewoda uważa też, że uchwała wykraczała poza zakres upoważnień ustawowych.

Na początku lutego postępowanie wyjaśniające w sprawie uchwały wszczął Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Obawy UOKiK wzbudziła możliwość stworzenia przez spółkę AMS (Agora) monopolu i wyeliminowania z rynku innych firm z branży reklamowej. „W praktyce jedną z nielicznych dozwolonych form reklamy na obszarze Miasta Stołecznego Warszawy będą nośniki na przystankach komunikacji miejskiej, kontrolowane obecnie przez jednego dostawcę treści”, napisał urząd w komunikacie.

Łukasz Wiśła ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze: – Uważamy de-

czyżę wojewody za bezzasadną – nie wskazał żadnej podstawy prawnej, która zobowiązywałaby miasto do ponownego przeprowadzenia całego procesu konsultacji po naniesieniu poprawek. Przytoczył jedynie kilka wyroków nakazujących ponowne przeprowadzenie konsultacji w przypadku wyłożenia planów miejscowych i studium kierunków zagospodarowania, czyli zupełnie innych dokumentów. Poza tym wojewoda zwraca uwagę na detale, które nie niosą przesłanek do całkowitego unieważnienia uchwały. Mógł uchylić tylko niektóre jej zapisy. Jego decyzja wydaje się częścią wojny PO-PiS; niestety, cierpią na tym warszawiacy.

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski już zapowiedział, że zaskarży decyzję wojewody do sądu administracyjnego. Podkreślił, że w uchwale jest jasno napisane, jak powinna wyglądać procedura („I ta procedura nie przewidywała ponownego wyłożenia do konsultacji. Prawnicy twierdzili nawet, że gdyby ponownie ją wyłożono, to właśnie mogłoby być podstawą do kwestionowania uchwały”). A zmiany w uchwale były niewielkie. Na koniec przywołał przykład z Gdańska, gdzie sąd administracyjny oddalił zastrzeżenia wojewody pomorskiego wobec uchwały krajobrazowej przyjętej przez Radę Miasta Gdańska.

– Nadzór prawny u wojewody mazowieckiego ma złą opinię, dlatego mam nadzieję, że odwołanie do sądu administracyjnego będzie skuteczne – dopowiada dyrektor biura Związku Miast Polskich.

Kolorowa jazda-schiza

Tego samego 26 lutego uchwałę krajobrazową przyjęła Rada Miasta Krakowa. Przepisy mają zacząć obowiązywać od 1 lipca br. Ustalono, że w Krakowie dopuszczalne będzie umieszczanie billboardów o wielkości 12 lub 18 m kw. Wielkopowierzchniowe banery reklamowe przesłaniające całe elewacje frontowe budynków



będą mogły wisieć podczas robót budowlanych, ale nie dłużej niż przez 12 miesięcy i nie częściej niż co siedem lat. Na dostosowanie istniejących tablic i urządzeń reklamowych do nowych wymogów firmy będą miały dwa lata. Z analiz przeprowadzonych na najważniejszych trasach komunikacyjnych i ulicach wynika, że ok. 70% reklam nie spełnia standardów zaproponowanych w uchwale.

Problem reklamowego chaosu dotyczy nie tylko dużych miast, ale całego kraju, o czym zresztą Polacy chętnie piszą w sieci: „Przy drogach jest to samo g... W wielu miejscach przez długi czas jedzie się w jakimś kolorowym psychiatrycznym tunelu, nie sposób powiedzieć, gdzie znak, gdzie reklama”, „Do tego to przekrzykiwanie się, kto bardziej kolorowo i kto większą albo bliżej oczu, jazda-schiza w jakiejś kolorowej paplaninie będącej wesołym wytworem inteligencji tego, który akurat był blisko, bo odpowiedzialności finalnie nie dojdzie się od nikogo. Polska *welcome to*”, „Polacy to BADZIEWIAKI, nie mogą znieść, gdy jest czysto, estetycznie i przejrzyste. Dopiero w syfie czujemy się jak ryby w wodzie”.

Niektórzy internauci sugerują, żeby urzędy w miastach i gminach zafundowały osobom odpowiedzialnym



za estetykę kilkudniową wycieczkę do Niemiec, Austrii czy nawet Czech. „Żeby obaczył jeden z drugim, jak powinna wyglądać miejscowość np. w górach”.

Szpetota w pigułce

Reklamoza, chaos wizualny, samowola reklamowa – eksperci zajmujący się przestrzenią miejską pytani o nazwę zjawiska są bardziej precyzyjni. Choć nieoficjalnie w branży mówią też: szpetota w pigułce. Zwracają jednak uwagę, że wiele miast ma już uchwały porządkujące przestrzeń. Wliczają: Gdańsk, Leszno, Łódź, Opole, Nowy Sącz, Sopot, Słupsk, Sosnowiec, Świnoujście, Tarnów, Warszawa i Kraków. 34 inne miasta ten proces zapoczątkowały, tzn. przystąpiły do sporządzania uchwały krajobrazowej. Aleksandra Stępień-Dąbrowska, prezes stowarzyszenia Miasto Moje a w Nim wyjaśnia: – 25 miast ma już projekt, choć na różnych etapach uzgodnień. Niektóre miasta tkwią w konsultacjach wewnętrznych – między urzędnikami – inne skonsultowały już projekt społecznie, ale wprowadzają do dokumentu poprawki i jeszcze nie pokazano go na radzie miasta.

Dokumentem bazowym dla samorządów jest ustawa krajobrazowa

przyjęta przez Sejm jeszcze w 2013 r. Obowiązuje w Polsce od roku 2015 i precyzuje zasady umieszczania na danym terenie m.in. tablic i urządzeń reklamowych oraz grodzeń osiedli mieszkaniowych. Daje samorządom możliwość tworzenia tzw. uchwał reklamowych, które w praktyce określają m.in., gdzie i jak umieszczać reklamy i szyldy – w historycznym śródmieściu, na osiedlu mieszkaniowym czy na terenach zielonych. Co do zasady: szyldy jedynie w strefie parteru budynków (z nielicznymi wyjątkami),

82% Polaków jest zainteresowanych tym, by miejscowość, w której żyją, dobrze wyglądała.

a nośniki reklamowe np. wzdłuż konkretnie wyznaczonych ciągów komunikacyjnych. Dokument może przy tym regulować ich wielkość (siatki wielkoformatowe – w centrach miast głównie jako elementy siatek remontowych) i materiały (chodzi o wyeliminowanie banerów na płotach lub reklam niskiej jakości), a nawet odległość od skrzyżowań (bez reklam pulsujących, migających i rozpraszających wszędzie tam, gdzie jest duże natężenie ruchu). Ustawa krajobrazowa uprawnia również samorządy do wprowadzania kar za niestosowanie

się do ich przepisów. Tym, co różni dokumenty miejscowe – poza przepisami wynikającymi z lokalnych uwarunkowań – są daty wejścia uchwały w życie. Minimum rok, z reguły dwa-trzy lata, choć może to być i pięć lat. Ewenementem jest Leszno, w którym okres ten wynosi... 25 lat.

Ale uchwała reklamowa nie jest obowiązkiem – to od gminy zależy, czy ją przyjmie. Dlatego nierzadko takie próby podejmowały mniejsze miejscowości. – Do tej pory były to Cieszyn, Piaseczno, Szczawno-Zdrój, Baranów, Kobylnica – wymienia Łukasz Wizła. – Z różnym zresztą skutkiem. Czy np. Ciechanów, który jako pierwsze w Polsce miasto, jeszcze w 2016 r., miał uchwałę porządkującą reklamy i wprowadził opłatę reklamową.

Badanie dla Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki z grudnia 2019 r. pokazywało, że dokument przyjęło 1,3% gmin, a w 8% zapoczątkowano prace nad ustanowieniem takich standardów.

Przemielone doświadczenia

Czym tłumaczyć rosnącą chęć uporządkowania przestrzeni miejskiej? – Chciałbym wierzyć, że polscy samorządowcy nagle dojrzelili i zrozumieli potrzebę estetyzacji naszych miast i wsi. Ale nie oszukujmy się, powodem nagłego przyspieszenia jest głównie poszukiwanie dodatkowych źródeł dochodów po przeprowadzonych przez rząd PiS zmianach podatkowych, które mocno uszczupliły finanse samorządów – uważa

Łukasz Wizła. Aleksandra Stępień-Dąbrowska: – Doświadczenie Gdańska, gdzie udało się wygrać w sądzie batalię o zaskarżoną uchwałę, pomogło „odczarować” ustawę krajobrazową i zmniejszyło dystans do tak poważnego narzędzia. – Poza tym przydatne okazały się lekcje Łodzi i Ciechanowa.

W Łodzi uchwała krajobrazowa – przyjęta w 2016 r. – została zaskarżona m.in. przez wojewodę łódzkiego. A w sierpniu 2017 r. wojewódzki sąd administracyjny unieważnił jej zapisy („uchwała ingerowała we własność prywatną, ograniczała wolność go- ▶

► spodarczą przedsiębiorców i mogła prowadzić do naruszenia ich praw”). Teraz miasto konsultuje nową uchwałę – Łódzki Kodeks Krajobrazowy.

Z kolei w Ciechanowie wojewoda zakwestionował znaczną część zapisów, głównie ze względu na błędy formalne („z zapisów wynikało, że reklama o powierzchni 1 m kw. jest zarówno reklamą małą, średnią jak i dużą”). Nową uchwałę przyjęto w 2019 r., a ostateczny termin dostosowania już istniejących reklam upłynął 2 marca 2020 r.

– Ale swoje zrobili też presja społeczna, ciągłe dopominanie się o uchwałę krajobrazową przez aktywistów, a także nastawienie społeczeństwa – dodaje Aleksandra Stępień-Dąbrowska. Sondaż TNS Polska z 2013 r. pokazał, że 82% Polaków jest zainteresowanych tym, by miejscowość, w której żyją, dobrze wyglądała. A według raportu Kantar Public z 2018 r. przestrzeń przy drogach za uporządkowaną uważa 36% badanych, na wsi – 46%, w miastach – 65%.

Jak sobie radzą za granicą

– W Europie Zachodniej nośników w przestrzeni jest mniej, a reklamowanie się na nich kosztuje (i branża reklamowa nie narzeka) – mówi Łukasz Wizła z Miasto Jest Nasze. Benjamin Łuczyński, też z Miasto Jest Nasze: – Paryż w 2011 r. ograniczył liczbę bilbordów o jedną trzecią, mimo że miasto już miało ich ok. 10 razy mniej niż Warszawa (w Warszawie 21 tys. bilbordów, w Paryżu ok. 2 tys. – stan na 2011 r.). Brazylijskie São Paulo wyeliminowało większość reklam w 2007 r., a Ćennaj w Indiach w 2011 r.

Za wzorcowe uznawane jest jednak francuskie Grenoble. Zaczęto tam od badań, a ich uczestnicy wymieniali reklamy jako jeden z miejskich problemów. Potem przeprowadzono audyt przestrzeni, policzono nośniki, sprawdzono, gdzie się znajdują i jakie problemy stwarzają. Na bazie tych analiz przygotowano propozycje zmian. Jedną z nich było nieprzedłużanie umowy na prawie 326 nośników reklamowych. W zamian zasadzono drzewa i ustawiono tablice ogłoszeniowe dla mieszkańców. W ogóle we Francji przepisy dla rynku reklamy zewnętrznej są ostrzejsze niż w Polsce; reguluje je prawo Grenelle II z 2010 r. Mówi o tzw. regule gęstości, czyli minimalnej odległości między pojedynczymi nośnikami na elewacjach budynków, a także o maksymalnej powierzchni reklamy (12 m kw., choć wcześniej dopuszczano nośniki 16 m kw.).

W Niemczech nie ma ujednoliconego zbioru przepisów regulujących rynek reklamowy – szczegółowe przepisy leżą w gestii poszczególnych landów. Nadrzędne są dla nich m.in. Akt przeciwko niesprawiedliwej konkurencji, Akt o rozpowszechnianiu oraz Akt o telemediach. Zabrania się instalacji reklam: w miejscach z widokiem na tereny zielone, przeszkadzających na drogach, psujących krajobraz, ogólnie przeszkadzających swoją obecnością, w prestiżowych miejscach i budynkach, na drzewach, ławkach, masztach i mostach.

W Wielkiej Brytanii, dokładnie w Londynie, także nie ma przepisów, które całościowo regulowałyby sytuację prawną nośników reklamy zewnętrznej. Podstawą jest Town and Country Planning Act z 1990 r. (w 2007 r. rozszerzony o regulację kontroli reklam Control of Advertisements). W największym skrócie opisuje on procedurę pozyskiwania nośników, nakłada obowiązek konsultacji, ale też daje możliwość odwołania się od decyzji planistów. Aby łatwiej było się poruszać w procedurach, wydano przewodnik „Outdoor advertisements and signs: a guide for advertisers” (opisuje, jakie reklamy i oznaczenia sklepów wymagają zgody urzędu).

Dużo bardziej szczegółowe zapisy obowiązują w Hiszpanii, np. w Madrycie. Najwięcej uwagi poświęcono w nich ekranom. Dopuszczono tylko obrazy statyczne (zmiana obrazów nie częściej niż co 7 sek.). I wyłącznie takie, które ani nie oślepiają, ani nie przypominają znaków drogowych. Sklepy mają tylko jeden taki ekran na parterze budynku (jeśli działają na wyższym piętrze, to na obu kondygnacjach). Co ważne, od godz. 22 ekrany muszą być wyłączane. Pozostałe reklamy wyłączają się o północy – zimą lub o godz. 1 w nocy – latem. Nie dotyczy to oznakowania aptek.

Powiew Zachodu

Skoro ustawa krajobrazowa obowiązuje już od pięciu już lat, to dlaczego polskie miasta toną w reklamie? Co poszło nie tak? – Wciąż jesteśmy na etapie wyrabiania w sobie nawyku dbania o przestrzeń publiczną. W latach 90. reklamy na ulicach były postrzegane jako paszport do nowoczesnego, zachodniego świata, a my chcieliśmy czuć się zachodnio i trochę bardziej kolorowo. To wtedy pozwoliliśmy na poluzowanie granic dotyczących obecności outdooru w przestrzeni miast – tłumaczy prezeska Miasto Moje a w Nim. – Dopiero od niedawna staramy się ten proces spowolnić albo go odwrócić, ale ingerencja w stan zastany zwykle jest postrzegana jako coś podejrzanego.

– Niestety, polska klasa polityczna nadal widzi w reklamach symbol rozwoju gospodarczego i uważa je za naturalną, wręcz pożądaną część kapitalistycznego państwa – potwierdza Łukasz Wizła. – Poza tym brakuje u nas odpowiedniej edukacji estetycznej. W społeczeństwie nieczułym na kwestie estetyki nawet najlepsza ustawa nie pomoże.

– O ile na początku podobały się nam chaos i deregulacja przestrzeni miejskiej, bo byliśmy spragnieni powiewu Zachodu i reklam, które wprowadziłyby trochę koloru w otaczającą nas szarżyznę, o tyle teraz pstrokaczna zaczęła nam już przeszkadzać. Oczywiście tej części społeczeństwa bardziej świadomej, wykształconej. Ale i zasobniejszej ekonomicznie. Na co nakłada się fakt, że coraz więcej Polaków zaczęło wyjeżdżać za granicę i przywozić stamtąd inne doświadczenia – uważa dr hab. Paweł Moźdzynski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Z drugiej strony dochodzą do głosu różne grupy interesów, którym nie na rękę jest uporządkowanie chaosu reklamowego. Mam tu na myśli głównie firmy, które zarabiają na reklamach zewnętrznych i które będą stopować wszelkie zmiany.

Argumenty tych ostatnich? Ograniczenie swobody prowadzenia działalności gospodarczej i prawa własności („nie powinno się nikomu mówić, ile nośników ma mieć i z jakiego materiału”). Narażenie inwestorów na straty w związku z likwidacją nośników, i to bez możliwości odszkodowania.

Poza tym „wzrost podatków i biurokracji podatkowej, eliminacja wysoko-jakościowych nośników z przestrzeni miejskiej kosztem banerów, oklejania budynków (...). W konsekwencji doprowadzi to do upadku wielu firm, szczególnie lokalnych, oraz wzrostu bezrobocia”.

Wyobraźnia rządu

Sam fakt, że samorządy nie mają uchwał krajobrazowych, nie zawsze oznacza, że nie chcą rozwiązać problemu. – Jeśli mają dobre, spójne przepisy w miejskich programach zagospodarowania przestrzennego, jeśli angażują się w tzw. miękkie działania, to też może być w porządku – zapewnia Aleksandra Stępień-Dąbrowska. Takim działaniem może być wydawanie przewodników sztyldowych, uruchamianie stron www czy projektów łączących przedsiębiorców, projektantów i organizacje pozarządowe (np. Gdańska Szkoła Sztyldu).

Są jeszcze inne narzędzia ochrony lokalnego krajobrazu, w tym wprowadzone na gruncie ustawy o ochro-

nie zabytków i opiece nad zabytkami parki kulturowe. Inna sprawa, że sama ustawa krajobrazowa to zdaniem ekspertów dokument bardzo skomplikowany. Procedura zbliżona jest do przygotowywania planów zagospodarowania przestrzennego (wymaga m.in. wielu uzgodnień). Dotyczy całego terenu. Potrzebne jest rozeznanie, co się chce uporządkować i jak, zrobienie bilansu zysków i strat, wykonanie wcześniej audytu. Na to trzeba czasu i pieniędzy. Trudności sygnalizowane przez władze lokalne były na tyle duże, że swego czasu Narodowy Instytut Dziedzictwa przygotował dwa e-poradniki: „Schemat prac nad uchwałą reklamową” i „Uchwała reklamowa. Przewodnik dla gmin”.

Mimo to specjaliści nadal zwracają uwagę na brak wsparcia eksperckiego i finansowego od władz centralnych. – Szkoda, że ustawa nie zobowiązała samorządowców do przyjęcia uchwały, byłibyśmy dzisiaj w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o estetykę przestrzeni – podkreślają przedstawiciele Miasto Jest Nasze. – Zdecy-

dowanie na plus jest za to szerokie potraktowanie tematu estetyki przestrzeni: uchwały mogą regulować reklamy, szyldy, meble miejskie... Ustalanie wysokości kar co roku przez Ministerstwo Finansów również wydaje się sensowne, powinno zapobiec lobbowaniu w samorządach przez branżę reklamową. Same kary mogłyby być trochę wyższe.

Przyjęcie uchwały to jednak nie koniec prac. – Uchwały powinny być często aktualizowane, by uwzględniać nowoczesne nośniki. Jak np. zakwalifikować reklamę elektroniczną na stołecznym wieżowcu Warsaw Spire – gdy wyświetla logo firmy mającej siedzibę w wieżowcu jest szyldem, gdy firmy spoza wieżowca – staje się reklamą? – pyta retorycznie Łukasz Wizła. To dlatego, jego zdaniem, nadal jesteśmy na wczesnym etapie wprowadzania tego typu legislacji i dopiero zobaczymy, jak uchwały sprawdzą się w praktyce. – A jak wiadomo, wyobraźnia branży reklamowej w Polsce jest nieograniczona.

Dorota Bartosewicz

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOŁA more than just music



Basia
butterflies

21.05 ŁÓDŹ, WYTWÓRNIĄ

22.05 WARSZAWA, STODOŁA



BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

Helena Leman

Choć 7 kwietnia miną dwa lata od spotkania w Czarnem z historykiem Instytutu Pamięci Narodowej Piotrem Szubarczykiem, który naubliżał zebranym za to, że byli przeciwni powstaniu pomnika „żołnierzy wyklętych”, pozew przeciwko niemu wciąż leży w gminnej szufladzie.

– Ja od moich dziadków na temat „Łupaszk” nie słyszałem nic innego jak tylko, że był bandytą. Jedź pan do Kościerzyny, skąd pochodzę, i zapytaj, czy to był bohater, czy bandzior – mówił do pracownika IPN jeden z mężczyzn na zebraniu 7 kwietnia 2018 r.

Gdy emerytowany nauczyciel Benedykt Lipski powiedział, że z ostatniego rozkazu komendanta AK Leopolda Okulickiego o rozwiązaniu tej formacji wynika, że nie należy już przelewać krwi bratniej, Piotr Szubarczyk nie wytrzymał: – Pan łże jak pies! Gen. Okulicki tak nie powiedział, 50% UB to byli Żydzi. To była bratnia, polska krew? – pytał, zagłuszając wystąpienie nauczyciela nuceniem radzieckiej pieśni „Święta wojna”. – Śpiewał pan? Śpiewał? – naciskał Lipskiego, dodając, „że chciałby go uszanować, ale się nie da”. „Wy gawaricie po rosyjski, ja nie ponimam”, kpił, choć Lipski mówił spokojnie, powołując się na opracowania historyczne, które przytębiały, i lokalną pamięć.

Nie można bezkarnie upokarzać i wyzywać ludzi, którzy mają swoje racje, często poparte rodzinnymi doświadczeniami.

Zebranie przerwano, a następnego dnia w konsultacjach społecznych większość głosujących mieszkańców gminy Czarne opowiedziała się przeciw pomnikowi, na 990 głosów ważnych 812 było przeciw. Wynik głosowania Piotr Szubarczyk skomentował na portalu społecznościowym, podobno odpowiadając hejterowi: „Okulary sobie kupię, choćby po to, by łatwiej identyfikować sowieckich agentów, zielonych ludzików, których widziałem w Czarnem. To wyjątkowa *swofoz*. Wyniki plebiscytu to efekt manipulacji tych agentów. Te tchórzliwe kanale ogłosiły w całej gminie, że Biroszowie chcą budować pomnik »bandytów« (...). Ja to mogę tylko skomentować cytatem z Marszałka »Jebał was

Pozew w szufladzie, entuzjazm zgaś

Historyk IPN Piotr Szubarczyk naubliżał mieszkańcom Czarnego. Pozew przeciw niemu wciąż nie trafił do sądu

pies». I tak Polska wygra tę batalię. A na was naplują kiedyś wnuki”.

Historykowi wtórował jego syn Ta-deusz, pisząc m.in.: „Czarne! To banda czerwonych klawiszy! Uczciwi są więźniowie w ZK niż ta konserwa PRL”.

Przeprosiny nieszczerze, potrzebny pozew

Film ze spotkania i późniejsze wpiśy oglądała i czytała cała Polska. Kilka dni po spotkaniu skargę w tej sprawie złożył do IPN Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, a 17 kwietnia władze miasta Czarne. W komunikacie ośrodka czytamy: „To niewiarygodny pokaz arogancji urzędnika państwowego, który przyjeżdżając do niewielkiej miejscowości, uznał siebie za kogoś lepszego, za »władzę« na wzór szlachetki spoglądającego z wyższością na niepiśmiennych chłopów. Tymczasem

podczas spotkania konsultacyjnego w Czarnem, stwierdzam, że były one wysoce niewłaściwe w ustach urzędnika administracji państwowej specjalnej, którym jestem jako pracownik IPN. Przepraszam wszystkie osoby, które poczuły się urażone tymi wypowiedziami i formą mojego wystąpienia, nie tylko z miasta Czarne, ale także moje Koleżanki i Kolegów z IPN. Bronie wartości patriotycznych, broniłem dobrej stawy Żołnierzy Wyklętych, zwłaszcza atakowanego bez pardonu majora Łupaszk, ale forma tej obrony była wysoce niewłaściwa”.

Mariusz Birosz, prezes Stowarzyszenia „Brygada Inki”, organizator spotkania, wyjaśniał w oświadczeniu, że czuje się odpowiedzialny za dopuszczenie do emocjonalnych i nieprzyjemnych wypowiedzi, które zapewne wiele osób dotknęły. Podkreślił jednak, że zgody na fałszowanie historii XX w. nie będzie, a „Piotr Szubarczyk jako osoba niezwykle wrażliwa nie mógł się pogodzić z nieprawdziwymi atakami na ostatnich Rycerzy Rzeczypospolitej”.

Te tłumaczenia, zamiast uspokoić mieszkańców Czarnego, tylko podgrzały nastroje. Gdy w kwietniu 2018 r. zbierałam materiały do tekstu „W Czarnem »Łupaszcze« pamiętają”, ludzie mówili, że właśnie widzą, „jak »Inka« czyni dobro”, ironicznie nawiązując do nazwy grudniowego sympozjum stowarzyszenia. Podkreślali, że Birosz wspierany jest z zewnątrz, że manipuluje dziećmi, rozdając im maskotki po szkołach, a pomniki, które dzielą, nie powinny powstawać. Kara nagany dla Szubarczyka zaś jest po prostu śmieszna, a jego przeprosiny nieszczerze.

O tym, że były one nieszczerze, świadczy list historyka do przyjaciół z 21 kwietnia 2018 r., zatytułowany „Skandal w gdańskim IPN” i umieszczony na www.polishclub.org. Pisał

w nim, że na „spotkanie przybyła grupa pięciu prowokatorów”, których od razu zidentyfikował. Przewodził jej Benedykt Lipski, emerytowany „specjalista do spraw szkoleń” ZK w Czarnem i dyrektor Szkoły Podstawowej w Czarnem, w czasach gdy nosiła ona imię sowieckiego marszałka Rokossowskiego. Burmistrzowi Piotrowi Zabrockiemu Szubarczyk zarzucił w liście, że powinien sam prowadzić spotkania konsultacyjne i dementować kłamstwa, a stając po stronie mieszkańców, ma następną kadencję w kieszeni. Gazety piszące o sprawie nazwał szmatławcami, podkreślając, „że pod ich presją dyrektor gdańskiego IPN ukarał go karą nagany, od której się odwołał”. „Przyjąłbym upomnienie, bo rze-

Piotrowi Szubarczykowi i jego synowi. Obecny na sesji Mariusz Birosz zarzucił włodarzom Czarnego utrudnianie działalności stowarzyszenia. Mówił też, że ktoś poluzował wszystkie śruby w przednich kołach jego samochodu, co zgłosił na policji. Część radnych poczuła się urażona tymi słowami.

– Myślałem, że przyszedł pan przeprosić, tymczasem nadal miesza pan z błotem mieszkańców i radnych – skomentował jego wystąpienie Adam Breska, nie dopuszczając Birosza ponownie do głosu, wobec czego mężczyzna wyszedł z sali.

Pod koniec czerwca pojawiła się informacja, że pozwu zbiorowego mieszkańców jednak nie będzie. – Po konsultacjach z przewodniczącym

mógł zostać skierowany do sądu, konieczna będzie uchwała rady.

10 września 2018 r. rada miasta przegłosowała uchwałę. Za wystąpieniem z pozwem głosowało 9 z 12 obecnych na sesji radnych. Nikt nie był przeciwny, od głosu wstrzymali się trzej radni. Rada w uchwale upoważniła burmistrza do złożenia pozwu w Sądzie Okręgowym w Gdańsku w imieniu gminy Czarne.

Uchwała niezrealizowana

W pozwie przyjętym przez radę, dostępnym na stronie gminy, wymieniony jest tylko Piotr Szubarczyk, choć prawnik w czerwcu 2018 r. wyjaśniał, że pozw będzie skierowany przeciwko „osobom”. Publicznie mówiło się, że pozwanym będzie również syn historyka. Powód, czyli gmina Czarne reprezentowana przez burmistrza, domaga się od pozwanego przeprosin według zaproponowanej treści w lokalnej telewizji kablowej oraz w dodatku regionalnym „Dzienniku Bałtyckiego”, a także wpłatę za doświadczenia na cel społeczny.

„Strony nie prowadziły mediacji, albowiem pozwany swoją postawą manifestowaną po dokonaniu naruszeniu dóbr osobistych, dotychczas wykluczał zrozumienie zła, jakiego dopuścił się względem powoda, i nigdy nie okazał przejawów potrzeby złożenia przeprosin”, czytamy w pozwie.

Po jesiennych wyborach samorządowych 2018 r. burmistrzem został znowu Piotr Zabrocki, a nowym przewodniczącym rady miasta Tadeusz Żyła. Przewodniczący 30 listopada złożył interpelację, w której pytał o stan zaawansowania prac nad pozwem. W odpowiedzi burmistrz napisał, że oczekuje potwierdzenia „tego kierunku działania” przez nową radę.



Piotr Szubarczyk (w środku) na spotkaniu w Czarnem w 2018 r.

czywiście poniosły mnie emocje i to było nieroztropne, ale nie naganę. Ta nagana oznacza, że kłamcy i manipulatorzy z Czarnego oraz ich medialni pomocnicy odniosą „moralne» zwycięstwo”, podsumowywał.

– Może pozw zbiorowy dałby temu człowiekowi trochę do myślenia – zastanawiał się jeden z mieszkańców. – Przecież nie można bezkarnie upokarzać i wyzywać ludzi, którzy mają swoje racje, często poparte rodzinnymi doświadczeniami. I na dodatek te uwagi wnoszą kulturalnie. A w ogóle nie rozumiem, dlaczego ktoś chciał na siłę stawiać pomnik „wyklętym” w miejscu, w którym nie walczyli.

Gmina przejmuje inicjatywę

25 kwietnia na sesji rady miasta jej przewodniczący Adam Breska zapowiedział złożenie pozwu zbiorowego mieszkańców Czarnego przeciwko

rady uznaliśmy, że w sprawie pomówień nie skierujemy pozwu zbiorowego, gdyż nie ma ku temu przesłanek – tłumaczył 28 czerwca podczas sesji Rady Miejskiej w Czarnem Władysław Rzepczyński, radca prawny tegoż urzędu. – Nie ulega jednak wątpliwości, że autorzy wypowiedzi przypisali pewne zachowania i cechy

Dlaczego ktoś chciał na siłę stawiać pomnik „wyklętym” w miejscu, w którym nie walczyli?

mieszkańcom Czarnego, które nie licują z rzeczywistością i dotyczą ich dóbr osobistych mieszkańców jako wspólnoty, a nie poszczególnych osób. W konsekwencji pozw będzie miał charakter wystąpienia o ochronę dóbr osobistych podmiotu prawnego, czyli gminy, jako wspólnoty mieszkańców, przeciwko imiennie wskazanym osobom. Aby pozw

– Uchwała z września nadal obowiązuje – mówił pod koniec 2018 r. dziennikarzem Tadeusz Żyła. – To nie jest normalne, wszyscy czekaliśmy na efekt złożonego pozwu. Przegłosowaliśmy uchwałę, tym bardziej że tego oczekiwali od nas mieszkańcy, tymczasem uchwała nie została zrealizowana. Nie mówię o tym, żeby już sprawa odbyła się w sądzie, bo tam

wszystko trochę trwa, ale chodzi o to, żeby nadać jej jakiś tok.

30 października 2019 r. przewodniczący złożył kolejną interpelację dotyczącą pozwu. Tym razem burmistrz tłumaczył, że aby złożyć pozew w sądzie, konieczne są oświadczenia osób, które potwierdzą, że poczuły się dotknięte, fałszywie pomówione lub naruszono ich dobre imię.

„Dotychczas zgłosiła się jedna osoba, a zatem trudno uznać, że wytoczenie powództwa nastąpiłoby w interesie wspólnoty samorządowej, o ile nawet radni – za wyjątkiem tej jednej osoby – nie czują się dotknięci wypowiedzią mającą być podstawą złożenia pozwu”, czytamy w odpowiedzi burmistrza (dokument dostępny na stronie gminy, w zakładce „system rada”).

We wrześniu 2018 r. po uchwale rady Piotr Zabrocki oznajmiał: – Mam ponad 50 lat, ale w całym swoim życiu nie słyszałem jeszcze takich słów. Cała Polska usłyszała obelgi pod naszym adresem, niech teraz cała Polska usłyszy przeprosiny.

Gdy pytam dziś burmistrza, czy wciąż podpisuje się pod tą wypowiedzią, potwierdza: – Cały czas czuję się dotknięty słowami Piotra Szubarczyka. Uważam, że taka forma publicznej debaty była niedopuszczalna, że wszelkie granice zostały przekroczone. Lecz żeby złożyć pozew i wygrać w sądzie, muszę mieć społeczne poparcie. Wciąż czekamy

na oświadczenia radnych i mieszkańców. Myślę, że wszystko się wyjaśni po majowych wyborach. Będę jeszcze rzecz nagłaśniał. Może nie teraz, gdyż czas jest wyborczy, a nie chciałbym, aby ta sprawa stała się elementem gry politycznej.

Burmistrz na razie oświadczenia nie złożył. Za to jako jedyny złożył je Tadeusz Żyła. Przewodniczący rady miejskiej na mój mejl nie odpowiedział.

Sprawa przyschnie

Entuzjazm mieszkańców z 2018 r. gdzieś się ulotnił. Ludzie są ostrożni, ważą słowa. – Wymyślono składanie oświadczeń, żeby nas zniechęcić, gdyż wiadomo, że nikt nie chce po sądach się włożyć – słyszę. – Straciliśmy już nadzieję, nawet sprawy na bieżąco nie śledzimy. Burmistrz był kiedyś asystentem posła PiS, więc po jakiej może być stronie, jak pani myśli? – pyta jedna z kobiet.

Benedykt Lipski też nie chce wracać do wydarzeń sprzed dwóch lat. Twierdzi, że się wyciszył, a oświadczenia nie złożył, gdyż uważa, że uchwała rady miasta z 10 września 2018 r. jest wystarczająca. Została podjęta w imieniu mieszkańców i upoważnia burmistrza do złożenia pozwu, co nie zostało wykonane.

– Myślę, że ta sprawa przyschnie, ludzie już nią nie żyją – mówi Piotr Hulisz, prezes Stowarzyszenia Osób Nie-

pełnosprawnych i Integracji Środowiskowej „Szansa”, do którego miałyby trafić 10 tys. zł zadośćuczynienia przewidzianego w pozwie. – Oczywiście ta kwota dla nas byłaby dużym wsparciem i mielibyśmy ją dla kogo przeznaczyć, są w stowarzyszeniu dwie osoby zmagające się z chorobą nowotworową, której leczenie kosztuje. Lecz będzie, co będzie, jesteśmy organizacją pozarządową, szukamy przyjaciół i dobrego klimatu do działania, nie chcemy naciskać.

W czerwcu 2016 r. Szkole Podstawowej w Czarnem nadano imię Danuty Siedzikówny „Inki”. Pomysłodawcą było małżeństwo Biroszów, z którego inicjatywy powstał komitet organizacyjny. Na uroczystości nadania imienia IPN reprezentował Piotr Szubarczyk, honorowy członek Stowarzyszenia „Brygada Inki”. Część mieszkańców chciała, by patronem został hetman Stanisław Koniecpolski, który w 1627 r. pokonał Szwedów w bitwie pod Czarnem. – Mnie tam hetman bardziej się podobał, ale dzieciaki na „Inkę” głosowały, bo zrobiono im pranie mózgu. Zresztą jako nastolatka może im bardziej odpowiadała – mówiła dwa lata temu jedna z mieszkanki Czarnego.

Po szkole przyszła kolej na pomnik. Jego lokalizację tak wyjaśniał Szubarczyk w liście z 21 kwietnia: „Wybór Czarnego jako miejsca czci wynika z tego, że jest tam od niedawna szkoła im. Danuty Siedzikówny »Inki«. Nasi kombatanzi z Nowogródzczyzny uznali, że to jest przyjazne im miejsce. Jak bardzo się pomylili. Płakać mi się chce, kiedy o tym myślę. Trafili z postsowieckiej Białorusi na postsowiecki kawałek Polski. Postsowieckiej za sprawą dawnych aparatczyków PZPR i kłamców, a nie wspaniałej młodzieży czarneńskiej, w której oczach widziałem tży, gdy nadawano ich szkole imię »Inki«”.

Piotr Szubarczyk od burzliwego spotkania w 2018 r. w Czarnem nie był. Jak informuje mnie Artur Chomicz z gdańskiego IPN, historyk od lipca zeszłego roku jest na emeryturze.

Na stronie Szkoły Podstawowej nr 2 w Łomiankach znajdują informacje, że 31 października 2019 r. dr Piotr Szubarczyk wygłosił wykład dla uczniów klas ósmych poświęcony „Ince”. Oprócz wykładu uczniowie mogli obejrzeć wystawę dotyczącą jej życia, przygotowaną przez IPN.

Helena Leman

Sukces w niepewnych czasach? TAK, TO MOŻLIWE!

**Odkryj sprawdzone
rozwiązania biznesowe
z prenumeratą
ICAN Business Insight!**



Wejdź na [ICAN.PL/PRENUMERATA](https://ican.pl/prenumerata)

Trump zignorował wirusa z Wuhan

Ameryka siedzi po uszy nie tylko w pandemii, ale i w środku jednego z większych skandali politycznych ostatnich czasów

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja ze Stanów
Zjednoczonych

W niedzielne popołudnie na wizytę u lekarza w przychodni Urgent Care przy szpitalu w Fort Collins czeka osiem osób. To tylko trochę więcej niż zwykle w ten dzień o tej porze. Większość z kaszlem, jedna osoba ze skrzywoną nogą.

Dla mojej córki to już druga wizyta w ciągu sześciu dni. We wtorek zaległa z objawami grypopodobnymi. W środę rano wynik testu na grypę był jednak negatywny. Moje pytanie o test na koronawirusa lekarz zbył śmiechem, bo 3 marca w stanie Kolorado żadnego koronawirusa jeszcze rzekomo nie mieliśmy. W każdym razie nie oficjalnie. Pierwszy przypadek ogłoszono dopiero następnego dnia.

W niedzielę stan córki się pogorszył, kolejny test na grypę i znów wynik negatywny. Badanie krwi potwierdza jednocześnie, że dziecko na pewno walczy z jakimś rodzajem infekcji wirusowej. Tym razem pani doktor z mojego pytania o test na COVID-19 już się nie śmieje, ale mówi wprost, że nie ma na to żadnych szans. Widzę, że jest zdenerwowana. Zanim wyjdzie z gabinetu, wyjaśnia:

I ja, i mąż dzielimy się naszym doświadczeniem z przychodni w mediach społecznościowych. Spływa lawina emocjonalnych reakcji, oczywiście bardzo różnych. Od zarzutów, że celowo kłamiemy, bo chcemy „ściąć panikę”, po dobre rady, do którego szpitala się udać, żeby przeprowadzić test. Najwięcej jest jednak szczerzego zdumienia i niedowierzania. Gubernator stanu, Jared Polis, obiecał przecież przed kamerami, że każdy,

ków transportu publicznego i hoteli. Do tej pory zamknięto jedną szkołę w Denver, choć potwierdzone przypadki zachorowania rozsiane są po kilku hrabstwach. Więcej – gazeta „Aspen Times” doniosła w niedzielę wieczorem, że Australijka, która odwiedziła tamtejsze stoki i wróciła do Sydney, przywiozła do domu COVID-19. Koleżanka, która jeździła z córką w weekend do Denver na międzyszkolne rozgrywki siatkówki,



6 marca Donald Trump odwiedził oddziały Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (CDC).

kto chce, będzie mógł bez problemu się przebadać. Na dodatek jako gubernator prowadzi rozmowy z ubezpieczalnikami, by nie pobierały za ten test opłat.

opowiada z kolei, że widownia wygwizdała organizatorów za komunikat, że zawodniczki po meczu nie będą ścisnąć sobie dłoni. W stanie nie odwołano do tej pory żadnej imprezy masowej, a największe środki ostrożności zdaje się podejmować nie sektor publiczny, ale prywatny. Niektóre korporacje, takie jak Intel, gdzie pracuje mój mąż, wstrzymały wysyłanie pracowników na konferencje.

Gdy kupuję w aptece izotoniki i theaflu dla córki, kasjerka obrzuca mnie współczującym spojrzeniem. – Z tego, co widzę, to już chyba połowa miasta chora. Niech się pani jednak cieszy, że to nie ten nowy wirus. Na szczęście nasz prezydent, dzielny chłopak, ma wszystko pod kontrolą. A u nas żadnych nowych

Pierwsze, i to śmiertelne ognisko COVID-19 pojawiło się już 20 stycznia w Seattle.

– Kilka godzin temu miałam chorego z kompletem objawów. Do tego wrócił kilka dni temu z Korei Południowej i powiedział, że najpewniej miał styczność z osobami zarażonymi. Także u niego test wykluczył grypę. CDC (Center for Disease Control – przyp. ESM) nie dało nam autoryzacji, by go przetestować. Proszę mnie nie pytać, co o tym wszystkim myślę.

Poniedziałek rano, 9 marca. Liczba chorych w Kolorado podskoczyła w piątek do ośmiu, ale przez weekend, jak informują media, nie pojawił się ani jeden nowy przypadek. Wiemy, że dwoje pierwszych chorych przybyło z Włoch pod koniec lutego, po czym przez kilka dni jeździło na nartach, parę razy zmieniając ośrodki. Zwiedzali Denver, korzystali ze środ-

► przypadków od dwóch dni, to pewnie epidemia się zatrzymała! – dodała zadowolona.

Kobieta ma przypięty do bluzki znaczek MAGA (*Make America Great Again*), sygnał, komu kibicuje politycznie. Stacja telewizyjna MSNBC emitowała w weekend reportaż o przygotowaniach Amerykanów do ewentualnej pandemii i tam fanka prezydenta Trumpa wyjaśniła reporterce, że nie ma żadnego wirusa. – Wszystkie informacje pochodzą od demokratów, a ja nie wierzę w ani jedno słowo, które wypływa z ich ust – wyjawiała przed całą Ameryką.

Wychodzę z apteki, rzucając tylko grzeczne *good-bye*. Czy kasjerka z kółka adoracyjnego MAGA uwierzyła, gdybym jej powiedziała, że siedzimy po uszy nie tylko w samym środku pandemii, ale i jednego z większych skandali politycznych ostatnich czasów? Do wczoraj wieczorem, a są to dane potwierdzone przez samego szefa FDA (Food and Drug Administration, Agencja Żywności i Leków), dr. Stephena Hahna, laboratorium w Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (Center for Disease Control, CDC) przebadano mniej niż 6 tys. próbek od osób podejrzanych o zarażenie chińskim koronawirusem. Dobrze państwo przeczytali: niecałe 6 tys. Przypomnę, że populacja USA to w chwili obecnej prawie 330 mln ludzi. Przypomnę

Telefon był od szefa CDC Roberta Redfielda, a przekaz krótki: sytuacja jest bardzo poważna, należy powiadomić Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Azar usiłował się targować, że to niepotrzebne, poza tym sytuacja była niezręczna. Trump niedawno zlikwidował działający w jej ramach wydział ds. globalnego zdrowia, argumentując, że to fanaberie. Grupa specjalistów zaczęła jednak spotykać się po godzinach pracy w podziemiach Białego Domu, a jednocześnie nakłaniać Chińczyków, by wpuścili do Wuhan grupę amerykańskich ekspertów. Chińczycy odmówili.

Pierwszy telefon do prezydenta USA Azar wykonał 18 stycznia, dzień po tym, jak CDC oddelegowało setkę kontrolerów na lotniska w Nowym Jorku, Los Angeles i San Francisco, by badali pasażerów wracających z Wuhan. Trump nie chciał mówić o wirusie, wołał o e-papierosach. Cztery dni później podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Szwajcarii zapewniał, że ma wszystko pod kontrolą, Amerykanie są bezpieczni i nic im nie grozi, poza tym, jak to bywa z wirusami, i ten zniknie najdalej w kwietniu. Trudno zapomnieć, że usiłował również insynuować, jako-by informacje o zagrożeniu ze strony nowej choroby były przesadzone – były wręcz *hoax*, zagrywką ze strony demokratów, którzy w tak paskudny sposób usiłują zepsuć mu reputację

pracować inne niż CDC ośrodki naukowe, w tym prywatne, które w razie potrzeby mogłyby zasilić rynek ofertą diagnostyczną. Kto wydał te brzemienne w skutki decyzje, na razie pozostaje jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic Białego Domu.

CDC udostępniło swój test 6 lutego. Był tylko jeden problem – test nie działał. Przeciętny zjadacz chleba w USA długo jednak miał się o tym nie dowiedzieć. Priorytetem Białego Domu było nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń ani emocji, zwłaszcza że Chińczycy mogliby sobie jeszcze pomyśleć, że są sprawniejsi intelektualnie od Amerykanów. Pod dyktando Białego Domu CDC produkowało więc taśmowo raporty, z których wynikało, że prócz niefortunnego ogniska choroby w domu seniora w stanie Waszyngton oraz pojedynczych przypadków zachorowania na terenie Kalifornii, Florydy i Nowego Jorku, wreszcie grona chorych Amerykanów na kilku wycieczkowcach, chiński patogen po prostu Amerykę omija. Jak skuteczny był to PR, najlepiej świadczy fakt, że gdy w drugiej połowie lutego zaczęłam publikować w mediach społecznościowych posty z pytaniami, czy to nie dziwne, że chiński wirus zachowuje się w Ameryce zupełnie inaczej niż wszędzie indziej, z miejsca dostałam etykietkę panikary, i to od skądinąd bardzo mądrych i zrównoważonych osób.

Co życzliwsi odsyłali mnie do... stron z raportami CDC, bym uzupełniła braki wiedzy i przestała tworzyć teorie spiskowe. Prezydent

Trump nie przestaje dostarczać dowodów na to, że bardziej od zdrowia i bezpieczeństwa Amerykanów liczy się gra polityczna.

też, że pierwsze, i to śmiertelne (do dzisiaj 19 zgonów) ognisko COVID-19 pojawiło się już 20 stycznia w Seattle, prawie czteromilionowej metropolii. Mój sąsiad Eric Hess, lekarz kliniczny, zapytany, co sądzi o kryteriach testowania, odpowiedział wprost: – Wciąż mamy dość mało tych testów i obowiązuje nas reglamentacja. Oczywiście to skandal i skrajna nieodpowiedzialność. To nam nie wyjdzie na dobre.

Żeby zrozumieć, jak lider cywilizowanego świata znalazł się w takim położeniu, musimy zajrzeć do Białego Domu z początku stycznia tego roku.

Alex Azar, sekretarz zdrowia i usług społecznych w administracji Trumpa, po raz pierwszy usłyszał o problemach w mieście Wuhan 3 stycznia.

i namieszać w planach reelekcyjnych.

Chiny, choć nie zgodziły się na współpracę z amerykańskimi laborantami, 11 stycznia udostępniły światu kompletny genom nowego wirusa. Niemieccy naukowcy już tydzień później byli gotowi ze swoją wersją zestawu do testowania, w innych krajach prace szły równie szybko. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) potwierdziła, że test jest skuteczny, i dała światu zielone światło do jego stosowania. Ameryka jako jedyna odrzuciła ten test, argumentując, że opracuje własny system diagnostyczny. Odmówiła współpracy z Chinami nawet na okres, zanim test autorstwa CDC będzie gotowy do użytku. Wreszcie FDA nie zezwoliła, by nad nowym testem mogły

zydent Trump kąpał się tymczasem w samouwielbieniu i nie mógł się nacieszyć, że podczas gdy inne państwa wariują ze strachu, w Ameryce wystarczyło zamknąć kilka połączeń lotniczych. – Biały Dom całkowicie zafiksował się na strategii powstrzymywania, kosztem wszystkiego innego, w tym lokalizacji nowych ognisk choroby. Zważywszy, że nasze testy nie działały, możliwe, że Trump nawet wierzył, że jest to odpowiedź wystarczająca – wyjaśnia dziś tę postawę były komisarz FDA David Kessler.

Wszystko zmieniło się 25 lutego. Nancy Messonnier, szefowa Centrum Szczepień i Chorób Dróg Oddechowych przy CDC, oświadczyła na konferencji prasowej, że Amerykanie powinni liczyć się z tym, że ich

codzienne życie zostanie wkrótce wywrócone do góry nogami. Zalecała przygotować się na zamykanie szkół i miejsc pracy oraz brak łóżek w szpitalach. Wtajemniczeni twierdzą, że celowo wybrała ten moment, bo Trump właśnie odlatywał do Indii z czterodniową wizytą. Ten i tak podobno wpadł w szał, a prawnicze media z Rushem Limbaugh na czele natychmiast zrobiły z Messonnier wroga publicznego. Przypomniaty, że to przecież siostra Roda Rosensteina, byłego wiceprokuratora generalnego, który też wystąpił przeciwko swojemu szefowi. Maczał palce w akcji oskarżenia i uwięzienia byłego adwokata prezydenta Trumpa Michaela Cohena.

Rok 2020 przejdzie do historii jako ten, gdy Amerykanie w końcu zaczęli myć ręce!

Jednak mleko już się rozlało, a trzy dni później wykpięło, na dobre strącając Amerykanom z nosa ich różowe okulary. ProPublica, internetowy organ niezależnych dziennikarzy śledczych, opublikował raport, w którym Peter Kyriacopoulos, dyrektor ds. polityki publicznej w Zrzeszeniu Publicznych Laboratoriów (Association of Public Health Laboratories), nie pozostawił Amerykanom wątpliwości, jak naprawdę wygląda plan „ochrony” ich zdrowia w wydaniu Białego Domu. – W tej chwili mamy w USA tylko CDC i sześć jego oddziałów: w Illinois, Idaho, Tennessee, Kalifornii, Nevadzie i Nebrasce, gdzie przeprowadza się testy na COVID-19. I nigdzie indziej. Pacjentów zaś poddaje się testowi tylko wtedy, jeśli mają objawy i wrócili niedawno z Chin. W żadnym innym przypadku. Efekt takich rozporządzeń? Do końca lutego w Ameryce przebadano... tylko ok. 2 tys. osób.

Nie mniej miażdżące było doniesienie Associated Press, że gdy pod koniec lutego CDC przekazało Białemu Domowi do zatwierdzenia listę zaleceń, jak postępować, by zminimalizować ryzyko zarażenia się koronawirusem, przed publikacją wykreślono z niej zapis, by osoby starsze unikały podróżowania samolotami. Amerykanie, zwłaszcza dysponujący czasem seniorzy, dużo i chętnie przemieszczają się po kraju. Ilu po telefonie na infolinię i otrzymaniu in-

formacji, że mogą bez obaw ruszać w podróż, poszło za tą radą?

W piątek 6 marca Trump podpisał ustawę kierującą ponad 8 mld dol. na walkę z COVID-19. Priorytetem jest produkcja zestawów diagnostycznych – pozwolenie w końcu otrzymały także podmioty prywatne, w tym fundacja Billa Gatesa pracująca nad szybkim, 30-minutowym testem – by jak najszybciej dziesiątki tysięcy były gotowe do użytku w większości szpitali i klinik. A jednak, choć trudno w to uwierzyć, Donald Trump nie przestaje dostarczać dowodów na to, że bardziej od zdrowia i bezpieczeństwa Amerykanów liczy się dla niego gra polityczna. Perspektywa turbulencji ekonomicz-

nych z powodu rozprzestrzeniania się choroby po kraju jest w tej grze bardzo niepożądanym elementem. Przed wizytą w CDC 6 marca Trump bez ogródek powiedział, że gdyby pozwolono mu zadecydować, nie wpuściłby do Ameryki dwudziestki chorych pasażerów z wycieczkowca „Grand Princess” oczekującego u wybrzeży Kalifornii: „Wolałbym, by statystyki zostały takie, jakie są”.

Lekceważąc nie tylko fakty na temat grypy, ale i to, co już wiemy o nowym wirusie, w ubiegły poniedziałek zatweetował: „W ubiegłym roku 37 tys. Amerykanów zmarło z powodu grypy. (...) Niczego się nie zamyka, życie i ekonomia toczą się jak zawsze. Obecnie mamy 546 przypadków koronawirusa i 22 zgony. Pomyślcie o tym!”.

Amerykańscy naukowcy myślą już od dłuższego czasu. I są, niestety, zatrzważająco zgodni, że za polityczne wyrachowanie połączone z tragiczną nieodpowiedzialnością prezydenta i jego rządu Ameryka może zapłacić straszliwą cenę. Podczas niedawnej konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Szpitali dr James Lawler z Centrum Medycznego przy Uniwersytecie Nebraski przestrzegł, że skoro pozwolono wirusowi rozprzestrzeniać się bez wiedzy i kontroli tak długo, w tym w grupach najwyższego ryzyka, liczba zgonów w USA może sięgnąć nawet pół miliona, a zachorować do 100 mln osób.

Poniedziałek, 9 marca, wczesne popołudnie. Mamy pierwszy potwierdzony przypadek COVID-19 w moim mieście. Sąsiadka z chorym synem pisze, że w Urgent Care dzięki tłumy i dostaną się do lekarza za kilka godzin. Panika też na Kapitolu. Republikańscy kongresmeni w strachu, bo jeden z uczestników ich konwencji partyjnej z ubiegłego tygodnia zachorował. National Geographic donosi, że z 300 mln respiratorów i masek na twarz, które będą za chwilę potrzebne w USA, w magazynach znajduje się tylko 15%.

Znajoma pracująca na uniwersytecie nie wie, co ma robić. Jej wydział organizuje bankiet na 200 osób. Większość zaproszonych to emeryci, bo spotkanie dotyczy zdrowia w podeszłym wieku. – Zapytałam szefową, czy nie powinniśmy tej imprezy odwołać. Powiedziała, że bym się nie martwiła. Uczelnia monitoruje sytuację, poza tym będą chusteczki dezynfekujące. Trudno. Powiem im, że boli mnie głowa i gardło, ja tam nie idę! – decyduje.

Inna znajoma, polska pisarka z Nowego Jorku, usiłuje zachować choć odrobinę humoru. To nic, że czarnego. – Jedno jest pewne – mówię. – Rok 2020 przejdzie do historii jako ten, gdy Amerykanie w końcu zaczęli myć ręce!

Eliza Sarnacka-Mahoney





Mateusz Mazzini

Mieszkania zamrożone

Władze Berlina
wstrzymały
wzrost czynszów
na najbliższe pięć lat

Stolica Niemiec od dobrych kilku lat cieszy się reputacją zdrowej alternatywy dla innych europejskich i światowych metropolii, zwłaszcza pod względem kosztów życia i możliwości rozwoju zawodowego młodych ludzi. Idąc tropem Londynu, Nowego Jorku, San Francisco czy Hongkongu, Berlin zaczął przyciągać programistów, startupowców, grafików czy innych przedstawicieli wolnych zawodów. Jednak w przeciwieństwie do amerykańskich i azjatyckich miast jego kartą przetargową nie były siedziby wielkich korporacji ani doskonale skomunikowane z drugim końcem świata porty lotnicze, on nęcił dużą dostępnością tanich mieszkań. Podczas gdy kolejne młode talenty w Dolinie Krzemowej wydają na czynsz średnio 2-2,5 tys. dol. miesięcznie, w Berlinie pokój można wynająć już od 300 euro, a kawalerkę od nieco ponad 500 euro. Rachunek ekonomiczny w tym przypadku nie mógłby być bardziej wyrazisty.

Niskie ceny wynajmu lokali, podobnie jak wszystkie inne elementy kapitalistycznej gospodarki, nie są jednak dane raz na zawsze. Łatwo więc się domyślić, że im więcej w stolicy Niemiec zaczęło się pojawiać hipsterów i naśladowców Mar-

ka Zuckerberga, tym większe stało się ryzyko, że czynsze pójdą w górę. Zwłaszcza że na horyzoncie pojawiło się nowe zagrożenie dla rynku nieruchomości – skupowanie ich przez korporacyjnych właścicieli, często poukrywanych pod wielopiętrową holdingową strukturą gdzieś w rajach podatkowych. Prywatne firmy zaczęły przejmować kolejne kamienice w Berlinie, przede wszystkim te z lokalami użytkowymi, stawiając pod znakiem zapytania przyszłość tkanki usługowej i rozrywkowej w mieście.

Jednym z najbardziej znanych przypadków walki świata kultury z międzynarodowym biznesem była sprawa baru Syndikat w dzielnicy Schillerkiez, ikonicznego miejsca na mapie berlińskiej kontrkultury. Ściany Syndikatu pokryte były od podłogi

do sufitu antyfaszystowskimi naklejkami, a na scenie klubu regularnie pojawiały się największe nazwiska niemieckiego i europejskiego punku. Lokalowi groziła jednak likwidacja, bo budynek, w którym się znajduje, przejęła firma zarejestrowana pod zbiorczym wirtualnym adresem w Luksemburgu. Prowadząc partyzanckimi metodami śledztwo, właściciele Syndikatu doszli, kim są ich przeciwnicy. Okazało się, że podmiot ten należy do rodziny brytyjskich przedsiębiorców, których łączny majątek wyceniany jest na 4 mld funtów. Chcieli wyrzucić klub z budynku i zamienić go w przestrzeń biurową, ale przynajmniej na razie im się nie udało (również z powodu protestów aktywistów oraz skandalu Panama Papers, w którym pojawiło się nazwisko właścicieli spółki). Korporacyjna prywatyzacja rynku nieruchomości w Berlinie jest jednak realnym zagrożeniem.

Dziennikarskie śledztwo reporterów gazety „Der Tagesspiegel” ujawniło, że w ciągu ostatnich trzech lat zaledwie 12 prywatnych podmiotów wykupiło w Berlinie aż 3 tys. mieszkań i lokali użytkowych. W ten sposób z mapy miasta zniknęły nie tylko kluby techno i punkowe, ale też przedszkola i żłobki. Co gorsza, długo nie było widać żadnej bariery dla tego procederu. A w mieście, gdzie zaledwie 18% z 3 mln mieszkańców

Berlin zaczął przyciągać przedstawicieli wolnych zawodów, nęcąc dużą dostępnością tanich mieszkań.

posiada na własność mieszkania, w których żyje, korporacyjne drapieżniki mogłyby się spustoszenie.

Między innymi dlatego berliński parlament zdecydował się zamrozić czynsze w całym mieście na najbliższe pięć lat. Na mocy uchwalonego pod koniec stycznia prawa w zdecydowanej większości miejsc w Berlinie lokatorzy będą przez najbliższe pół dekady płacić maksymalne stawki równe tym z 2019 r. Właściciele będą z kolei zmuszeni pokazać ewentualnym nowym najemcom umowy obowiązujące w poprzednim roku, żeby udowodnić, że nie zawyżają cen. Spora część miasta została też objęta nowymi limitami czynszowymi, zależnymi od lokalizacji, rodzaju budynku i podmiotu lub rodziny, która wynajmuje dany lokal. Jak donosi serwis internetowy Bloomberg Businessweek, w wielu przypadkach oznacza to obniżenie realnego czynszu nawet o 40%. Ci właściciele, którzy nie będą się stosować do nowych regulacji, ryzykują nawet pół miliona euro kary za pojedyncze naruszenie limitów czynszowych.

Ręczne sterowanie wysokością opłat za mieszkania nie jest tylko rzeczywistością Berlina. Podobne kroki w ubiegłym roku podjął burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio. Różnica pomiędzy największą metropolią

Tysiące żołnierzy wracało wówczas z Europy i Azji, chcąc natychmiast znaleźć nowe mieszkania. Wówczas ratusz zapewniał im lokale z czynszem, którego właściciele nie mogli podnosić. Ten aspekt nowojorskiego planowania to już jednak bardziej element miejskiej historii. W szczycie programu kontroli czynszów objętych nim było ponad 2 mln lokali, dzisiaj liczba ta skurczyła się do nieco ponad 22 tys. – piszą Sharon Otterman i Matthew Haag w „New York Timesie”.

W ciągu ostatnich trzech lat zaledwie 12 prywatnych podmiotów wykupiło w Berlinie aż 3 tys. mieszkań i lokali użytkowych.

Drugim sposobem na utrzymanie stosunkowo niskich cen mieszkań miała być tzw. stabilizacja czynszu, czyli danie właścicielom szansy na podniesienie go, ale wewnątrz ustalonych przez miasto widełek. Ten instrument również z czasem obejmował coraz mniej rodzin, bo z definicji został zaprojektowany do ochrony nowojorczyków mieszkających w mieście od pokoleń, by nie wyparła ich z domów emigracja i idąca za nią fala podwyżek. Żeby budynek mieszkalny kwalifikował się do programu stabilizacji czynszów, musiał zostać wybudowany pomiędzy 1947 a 1974 r., mieć co najmniej sześć niezależnych lokali na wynajem, a najemcy w nich musieli być na tej samej umowie od 1971 r. Nietrudno sobie wyobrazić, jak niewielka liczba mieszkańców Nowego Jorku spełniała te kryteria.

sowych wynajmu, ale zasad współistnienia najemców i właścicieli. De Blasio zakazał bowiem częstych do tychczas w Nowym Jorku dzikich eksmisji, dokonywanych na własną rękę przez właścicieli mieszkań. Poza tym nie będą już mogli, do spółki z agencjami nieruchomości, dzielić się informacjami na temat „problematycznych” najemców i tworzyć czarnych list lokatorów, którym w ten sposób blokowali dostęp do mieszkań na, jak widać, nie do końca wolnym rynku.

Oczywiście ruchy samorządów w Nowym Jorku i Berlinie mają masę przeciwników. Cytowany przez „New York Timesa” Joseph Strassburg, szef zrzeszającego 25 tys. właścicieli nieruchomości stowarzyszenia Rent Stabilisation Association, uważa, że przez nowe prawo jakość lokali w mieście drastycznie spadnie przez najbliższe trzy-cztery lata, bo właściciele nie będzie stać na remonty. W podobnym tonie o niemieckich regulacjach wypowiada się Jürgen Michael Schick, szef tamtejszego Krajowego Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości. Jego zdaniem limity czynszowe „są tożsame z wywłaszczeniem posiadaczy lokali” i „naruszają ich prawo własności”. Dodaje też, w tym samym tonie co Strassburg, że lokale będą niszczyć, a dewastujących je lokatorów nie będzie można usunąć.

Wydaje się jednak, że głosy rozpaczy przedstawicieli korporacji i prywatnych przedsiębiorców przegrywają z ogólnosiłową tendencją do przynajmniej częściowego regulowania cen najmu mieszkań. Podobne zasady wprowadziły już stan Maryland oraz władze Wiednia, rozważają je Barcelona, Madryt, Amsterdam, San Francisco i New Jersey. Chcą walczyć z wykupywaniem lokali przez firmy wyduszką, ale także sankcjonować możliwość udostępniania ich na najem krótkoterminowy, np. poprzez aplikacje, takie jak Airbnb i Booking.com. Zwłaszcza ten ostatni pomysł może się okazać wyzwaniem w dobie ekonomii współdzielenia, ale ma szansę przypomnieć wszystkim, że tkanka miejska jest przecież dobrem wspólnym. ■

Właściciele, którzy nie będą się stosować do nowych regulacji, ryzykują nawet pół miliona euro kary za pojedyncze naruszenie limitów czynszowych.

Wschodniego Wybrzeża a stolicą Niemiec jest jednak zasadnicza. Ubiegłoroczne regulacje wprowadzone w Nowym Jorku nie tworzą całkowicie nowych ram prawnych, są jedynie komplementarne wobec istniejącego już prawa. Innymi słowy, systemu kontroli czynszów nie trzeba było tam tworzyć od zera – przynajmniej na papierze. W mieście od dekad funkcjonowały dwa instrumenty mające teoretycznie zapewnić sporą pulę tanich i dostępnych mieszkań. Pierwszy, sztywno kontrolujący czynsze, przeżywał rozkwit przede wszystkim zaraz po zakończeniu II wojny światowej.

Dzięki nowym regulacjom możliwości podnoszenia czynszu przez właścicieli lokali znacznie się zmniejszyła. Dotychczas mogli oni m.in. podnieść ceny nawet w mieszkaniach stabilizowanych, jeśli roczne przychody najemcy przez dwa lata z rzędu przekroczyły 200 tys. dol. – teraz już nie. Ograniczone zostały też opcje podwyżek z powodu renowacji budynków oraz jednorazowego podnoszenia cen po wyprowadzce poprzednich najemców i powrocie nieruchomości na rynek.

Najważniejsze zmiany dotyczą jednak nie samych cen i aspektów finan-

Rozmawia Anna Brzeska

Jakie metody najczęściej stosują oszuści działający przez internet? Wiemy, że próbują wyłudzać dane, śląc do nas mejle i SMS-y z wirusami czy trojanami.

– Od jakiegoś czasu raczej nie pojawiają się nowe metody, ale ludzie są już uczuleni na te istniejące, więc stają się one coraz bardziej wyrafinowane. Najczęściej mamy do czynienia z phishingiem, czyli z przesyłaniem mejli lub SMS-ów, w których oszuści, podszywając się pod różne firmy, nakłaniają użytkowników do otwarcia załącznika ze złośliwym oprogramowaniem. Takie oprogramowanie po uruchomieniu umożliwia cyberprzestępcom kraść wrażliwych informacji. Oszuści wysyłają również mejle czy wiadomości SMS z linkami do fałszywych stron banków lub usług umożliwiających wykonanie szybkich płatności. W większości przypadków celem jest wyłudzenie danych kart kredytowych, loginów i haseł do bankowości elektronicznej.

Kto jest narażony na tego rodzaju ataki?

– Są dwa rodzaje tego typu wiadomości. Pierwszy rozsyłany jest przez automaty, podobnie jak reklamy, do przypadkowych osób – oszuści korzystają tu z baz danych adresów mejlowych czy numerów telefonów pochodzących z przeróżnych wycieków, np. przejętych stron czy portali. Takie mejle/SMS-y mogą udawać wiadomości z banku, poczty, od kuriera. Ostatnio częste są wiadomości od PZU, PGE, ENEA czy PGNiG, zwykle zawierające wezwanie do pilnego uregulowania niewielkiej zaległości. Jeżeli ktoś kliknie w podany w nich link lub otworzy załącznik, stwarza zagrożenie dla przetwarzanych przez niego informacji. O ile nie zadziała jeden z systemów bezpieczeństwa, czyli antywirus, *firewall* (zapora, która filtruje dane wychodzące i przychodzące do komputera – przyp. red.),

Jarosław Bartniczuk – prezes zarządu spółki CyberBlock, absolwent WAT, specjalista ds. bezpieczeństwa teleinformatycznego i korporacyjnego w zakresie ochrony informacji. Wykładał na Wydziale Informatyki Uniwersytetu Śląskiego w Chorzowie (kierunek bezpieczeństwo informacji niejawnych) i z prof. Brunonem Hołystem na Uczelni Łazarskiego. Autor publikacji na temat bezpieczeństwa.

Oszukani przez internet

Jeżeli ktoś ma dostęp do naszej poczty, to na podstawie wcześniejszej korespondencji może zrobić prawie wszystko



ewentualnie filtr w przeglądarce. Często jednak taki system nie działa, ponieważ każda taka „kampania” jest przygotowywana indywidualnie przez oszustów.

Czyli antywirusy chronią nas jedynie przed częścią wirusów – tych już znanych.

– Tak. Programy antywirusowe są potrzebne, ale okazują się niewystarczające, ponieważ w większości opierają działanie na bazie sygnatur wirusów już wykrytych. Wystarczy więc, że oszuści zmienią trochę kod danego wirusa, i program antywirusowy może go nie wykryć, bo nie ma odpowiedniej sygnatury. Taka sygnatura pojawi się dopiero po ataku, jeżeli oprogramowanie antywirusowe prześle do producenta jego próbkę. Poza tym niektóre rozsyłane programy nie są wirusami, tylko zwykłymi programami, więc antywirus nie zareaguje na nie.

A drugi rodzaj?

– To atak na upatrzoną ofiarę, spersonalizowany, poprzedzony zwykle tzw. białym wywiadem, czyli zbieraniem danych o celu, na podstawie informacji dostępnych w internecie. Ataki tego rodzaju są trudniejsze do wykrycia i mają większą szansę powodzenia. Założmy, że jest to kancelaria prawnicza w Warszawie. Oszuści zaczynają działanie od mejli, w których przedstawiają się jako konkretna firma. Zakładają nawet fikcyjną stronę internetową, by wszystko wyglądało wiarygodnie, i udają, że szukają kancelarii do obsługi prawnej. Potem przez tydzień czy dwa prowadzą niby zwykłą korespondencję, ustalając warunki współpracy. W końcu wysyłają kancelarii ankietę do wypełnienia „na potrzeby działu księgowości”. Osoba z atakowanej firmy niczego nie podejrzewa i otwiera załącznik. Wtedy w komputerze ofiary instalowane jest złośliwe oprogramowanie.

Co ono robi?

– Wyprowadza dane, takie jak loginy i hasła, np. do poczty albo kont w banku. Jeżeli ktoś ma dostęp do naszej poczty, to na podstawie wcześniejszej korespondencji może zrobić prawie wszystko: podszywać

się pod nas czy naszą firmę. W ten sposób oszuści pozyskują też dane do logowania do banku.

Ale do jakiegokolwiek operacji potrzebujemy np. kodów z banku, a te są przesyłane SMS-em lub generowane przez BLIK. Tymczasem oszuści nie mają naszych telefonów w ręku.

– Mogą jednak, mając nasz numer telefonu, który jest łatwy do zdobycia, zhakować telefon dzięki oprogramowaniu działającemu na systemy mobilne. Lub pójść do operatora z fałszywym dowodem osobistym lub innym dokumentem tożsamości i pod pozorem uszkodzenia karty SIM wyrobić jej kopię. Ponadto oszuści mogą wykorzystać fałszywy BTS, czyli podstawioną stację bazową, dzięki której cała korespondencja – a więc i SMS-y z hasłami potwierdzającymi operacje w banku – jest przez nich przechwytywana. Takie działanie jest jednak bardzo trudne, bo tu trzeba zastosowania kilku systemów.

To wymaga od oszustów zaawansowanych umiejętności czy sprzętu.

– Tak, dlatego ataki tego rodzaju spotyka się najrzadziej.

I dotyczą raczej firm, nie przeciętnych Kowalskich?

– Oszuści namierzają przede wszystkim ofiary z dużymi pieniędzmi. O wiele łatwiej, niż podstawić BTS, jest wprowadzić trojana do komputera i uzyskać dostęp do poczty, by znaleźć historię kontaktów, korespondencję z klientami itp. Taki upatrzonej firmy, np. prezes firmy, ma liczne relacje biznesowe. Podszycując się pod kontrahenta – a oszuści stosują również taką metodę jak tworzenie adresów mejlowych łudząco podobnych do adresów naszych klientów czy znajomych – piszą do

Da się je odzyskać?

– To zależy. Często oszuści wysyłają te „faktury” w taki sposób, byśmy musieli dokonać płatności w piątek. Po pierwsze, wtedy ludzie są już zmęczeni i rozkojarzeni, chcą jak najszybciej iść do domu, więc są mniej czujni. Po drugie, znaczenie ma czas, bo aż do poniedziałku nie zorientują się, że coś jest nie tak. A trzeba wiedzieć, że te pieniądze zwykle trafiają na konta zagraniczne, w Turcji czy Rumunii, przez chwilę zatem są najpierw zatrzymywane na tzw. kontaktach międzybankowych czy międzytransferowych. Jeśli więc uda się w miarę szybko zauważyć, że padliśmy ofiarą oszustów, można te środki uratować. Takim klientom pomagamy, często skutecznie.

Bądźmy czujni i nie oddzwaniajmy nigdzie, jeśli nie mamy pewności, dokąd dzwoniemy.

Czy klienci indywidualni też padają ofiarą takich oszustów?

– Na szczęście zabezpieczenia bankowe są tak skonstruowane, by nie opłacało się przeznaczać dużych sił i środków na okradzenie Kowalskiego. Dlatego jestem bardzo daleki od straszenia ludzi. Bądźmy realistami. Banki te systemy zabezpieczają dobrze. To, że musimy potwierdzać każdą transakcję kodem z SMS-a, wynika już nawet z dyrektywy unijnej. Szczególnie dobrze zabezpieczone są aplikacje mobilne, z których coraz częściej korzystamy do robienia przelewów. Co ważniejsze – nawet gdy dojdzie do kradzieży, bank bierze to na siebie. Jeśli ktoś wykorzysta błąd systemu, bank zwraca pieniądze. Nie robi

Wiemy jednak, że zwykli śmiertelnicy także dostają SMS-y lub wiadomości na FB z podejrzanymi linkami. Ja dostałam taki: „Chyba widziałem cię przez moment w telewizji, zobacz tu” – i link do strony udającej stronę telewizji. Wiemy, że klikając w to, możemy ściągnąć trojana czy inny szkodliwy program. Ale co zrobić, jeśli kliknęliśmy?

– Trzeba przeskanować telefon. Im lepszy i nowszy, tym lepiej – i nie chodzi o gadżeciarstwo, lecz o wsparcie od producenta. Większość nowych telefonów ma zainstalowaną nakładkę na system – to zwykle zakładka o nazwie „bezpieczeństwo” – która umożliwia przeskanowanie telefonu w każdej chwili, ale też dość często skanuje go automatycznie, bez naszego udziału.

Gdy pojawi się coś podejrzanego, również możemy to zrobić.

Warto wspomnieć o higienie używania telefonów komórkowych. Jeżeli przekazujemy stary telefon dziecku, które go potem często gubi lub wysyła z niego jakieś dane, bądź sprzedajemy go do lombardu i nie wyczyścimy go dokładnie, zostają w nim rozmaite dane i hasła do kont. Poza tym zdjęcia, którymi ktoś może nas później szantażować. Trzeba to wyczyścić i przywrócić w telefonie ustawienia fabryczne. To dobra wskazówka dla każdego użytkownika.

Wróćmy do SMS-ów czy wiadomości na Facebooku z linkami. Czy jest realne ryzyko, że indywidualny konsument straci na tym pieniądze?

– Niewielkie, bo dla przestępcy taki SMS to pierwszy krok. Oszust na tym etapie nie wie nawet, jaki mamy typ telefonu, jak zabezpieczony jest nasz sprzęt.

Taką wiadomość najlepiej więc usunąć, przeskanować telefon i na wszelki wypadek zmienić hasła do banku czy poczty.

Jakie jeszcze metody stosują oszuści?

– Wykorzystują *bluetooth* i *wi-fi*. Jeśli mamy je włączone, ktoś może się podszyć pod naszą sieć domową i przejąć dane płynące na nasz telefon. Nie można więc chodzić z włączonym *bluetoothem* czy *wi-fi*. Nie należy też nigdy oddzwaniać na

Oszuści zaczynają działanie od mejli, w których przedstawiają się jako konkretna firma. Zakładają nawet fikcyjną stronę internetową.

upatrzonej firmy ofiary wiadomość, że za dwa dni przyślą fakturę za jakąś usługę, z której ta firma korzysta. Jednocześnie w mejlu zamieszczają informację: „Ponieważ zmieniliśmy ostatnio bank, kolejną fakturę proszę już opłacić na nowy numer konta”. Nic niepodjęziewająca księgowka wysyła na to konto pieniądze, często niemałe. Mieliśmy wiele takich spraw, w których pomagaliśmy klientom ustalić, gdzie przelano te środki.

tę tylko wtedy, gdy ktoś rażąco zaniedbał bezpieczeństwo, np. zgubił kartę z napisanym na niej kodem PIN. Z naszego doświadczenia wynika jednak, że jeśli ktoś zeskanuje nam kartę – np. gdy płacimy nią w sklepie – i użyje jej potem do płatności w sieci albo oszuka nas w inny sposób, banki pokrywają nasze straty. Choćby z powodów wizerunkowych. Nie chcą negatywnego PR-u w internecie.

► nieznane numery – na te kosztowne połączenia ludzie tracą bardzo duże pieniądze. To o wiele poważniejsze zagrożenie niż mejle czy SMS-y z trojanami.

To zwykle zagraniczne numery.

– Tak, ale czasami trudno je odróżnić od tych polskich, więc bądźmy czujni i nie oddzwaniajmy nigdzie, jeśli nie mamy pewności, dokąd dzwonimy.

Ostatnio słyszałam o metodzie „na kuriera”. Ktoś podszył się pod sprzedającego na portalu sprzedażowym, po czym wysłał kupującemu link przekierowujący na stronę, gdzie ten miał dokonać opłaty za paczkę.

– To również typowy *phishing*, czy raczej jego drugi rodzaj, jak w przykładzie z oszukiwaną kancelarią. Tu też mamy do czynienia z wcześniejszą „prezentacją” fałszywej firmy, czyli podszyciem się pod kontrahenta lub, jak w tym przypadku, sprzedawcę, by uśpić czujność klienta. Podobnie działają oszuści, tworząc fikcyjne sklepy internetowe, np. z markową odzieżą po atrakcyjnych cenach. Adresy stron tych sklepów – podobnie jest z ich szatą graficzną – często przypominają

chodzi o naprawdę duże pieniądze. **Słyszałam też o innej metodzie „na kuriera”: oszuści podszywają się pod firmę, która przyjeżdża po towar do magazynu sklepu internetowego. Taki „kurier” odjeżdża w siną dal z towarem o wartości tysięcy złotych. Jeśli ktoś coś sprzedaje, powinien się upewniać, komu wydaje paczkę. Ale wróćmy do Facebooka. Funkcjonują tam ostatnio zbiórki, np. urodzinowe – użytkownicy zbierają środki na wybrany cel charytatywny.**

– Tak, popularne są poza tym *crowdfunding* (internetowa zrzutka na realizację ciekawego projektu, wydanie książki itd. – przyp. red.) czy zbiórki na projekty startupowe.

Aby dokonać wpłaty, musimy podać dane karty kredytowej. Jeżeli ją potem zostawimy zapisaną w ustawieniach konta na FB, to jeśli ktoś włamie się na moje konto na portalu, może wyprowadzić pieniądze, póki tej karty nie zablokuje.

– Tak, oczywiście. Ale nie ma czegoś takiego jak „włamanie się na Facebooka” – ktoś musi najpierw poznać hasło i zwyczajnie na to konto się zalogować.

Zabezpieczenia bankowe są tak skonstruowane, by nie opłacało się przeznaczać sił i środków na okradzenie Kowalskiego.

te topowe, znane zakupowiczom. W sieci można znaleźć listę takich fałszywych sklepów, ale oszuści tworzą nowe. Wiele osób daje się oszukać w ten sposób – sam kiedyś prawie się nabrałem. Co mnie zaalarmowało – i co powinno zaalarmować wszystkich – to podejrzany adres internetowy sklepu i forma płatności za towar. Zwykle nie ma tam bowiem opcji płatności za pobraniem, wyłącznie przelewem z góry, no i brakuje fizycznego adresu sklepu.

Czyli tego rodzaju oszustwa stanowią dla konsumentów większe zagrożenie niż zaawansowane technologie i wirusy?

– Tak. Najbardziej zagrażają nam ataki przeprowadzane w taki socjotechniczny sposób, by ofiara sama przelała oszustowi pieniądze. Korzystanie z zaawansowanych systemów łamiących bankowe zabezpieczenia to dla oszustów niesamowita orka – i udaje się jedna na sto prób. Te skoki opłacają się tylko wtedy, gdy

Czyli zdobyć hasło poprzez trojany lub inne programy śledzące?

– Właśnie. Na FB nie da się tak łatwo włamać.

Co zrobić, jeśli chcemy wziąć udział w zbiórce? Wystarczy, że po dokonaniu wpłaty usuniemy dane karty z naszych ustawień konta na portalu społecznościowym?

– Poprosiłbym raczej zbierającego o numer konta i wpłacił pieniądze przelewem. Podawanie danych naszej karty na FB to znowu zostawianie śladów w sieci. Dodam jednak, że jeśli usuniemy dane karty, to rzeczywiście ślad po niej zostanie już tylko w zasobach FB. Facebook gromadzi zaś tak ogromne ilości danych, że nikt nie będzie tam szukał śladów zwykłych Kowalskich. Ale warto pamiętać, że sama zbiórka może być oszustwem – przecież na konto znajomego, który ją organizuje, także mógł się zalogować oszust.

Jakich jeszcze rad udzieliłby pan czytelnikom?

– Pozostańmy czujni, bo internet niesie nowe rodzaje zagrożeń. Ale też nie wpadajmy w panikę. W bezpiecznym korzystaniu z portali społecznościowych czy internetu bardziej niż program antywirusowy pomagają rozsądek i stare jak świat zasady, które można zastosować współcześnie. Jeśli np. jedziemy na wakacje i zaczniemy w ich trakcie umieszczać w sieci zdjęcia, a przy tym mieszkamy w pięknym domu, to obserwujący go domyślą się, że nikogo w nim nie ma. Zdjęciami z wakacji chwalmy się więc po powrocie.

Dwa – jeśli dużo informacji o mnie samym przedstawiam na Facebooku, LinkedIn czy innych portalach, a jestem prezesem firmy, obserwujący złodzieje zbierają te dane i tworzą mój portret psychologiczny. Wiedzą dużo o moich nawykach, upodobaniach czy hobby, mają zatem większy wachlarz możliwości podejrzenia mnie. Jeżeli wiedzą, że lubię nurkować i kupuję sprzęt nurkowy, a do tego dowiedzą się, że mój sprzęt się popsuł, łatwo mogą stworzyć model skutecznego ataku na mnie.

Czyli wysłać panu fikcyjną, atrakcyjną ofertę zakupu sprzętu i pan sam zrobi im za ten sprzęt przelew?

– Właśnie tak. Dlatego jeśli mamy potrzebę ujawniania wielu informacji w sieci, miejmy świadomość konsekwencji. Nie mylmy jednak tych podejrzanych ofert, które dostajemy na mejla, z reklamą kontekstową. Z tym też często się spotykamy – a konkretnie z paniką klientów, którzy szukali w sieci jakiegoś produktu, a potem wyszukiwarka internetowa wyświetliła im jego reklamy. To nie jest groźne – te reklamy wyświetlają nam automaty, działając na bazie plików cookies, które powstają, gdy szukamy czegoś w internecie. Dzięki temu legalnemu i niegroźnemu procesowi zwykłe i prawdziwe reklamy trafiają do osób, które mogą być konkretnym produktem zainteresowane.

Kto najczęściej pada ofiarą oszustów internetowych? Młodzi, zawodowo aktywni, czy starsi, nieświadomi zagrożeń?

– Raczej młodzi. Ci drudzy są bardziej podatni na tradycyjne metody, jak „na wnuczka” czy kupowanie zdrowotnych kołder za niebotyczną cenę.

Anna Brzeska

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Spotkania w czasie

Spotkanie promocyjne wokół mojej książki „Opitki i okruszki”. Przyszło sporo osób, to miłe, bo epidemia i lęki z nią związane czają się po kątach. Spotkanie w Klubie Księgarza, lubię to miejsce na Rynku Starego Miasta, też dlatego, że niezmienny od lat wystrój wnętrza przenosi mnie w czas, gdy byłem o wiele młodszy. Klub działa od 1955 r., teraz niemal bez dotacji. A uparcie żyje. To cud w kraju, gdzie rwane były wszystkie tradycje. Wpisał się w panoramę miasta, ma swoją dużą i stałą publiczność.

Moja książka to bieg przez lata. Od wczesnego dzieciństwa do śmierci bohatera w roku 2041. Jedna scena na jeden rok. Sporo tam mojego życia, ale to nie autobiografia, zresztą część książki to *science fiction*. Są na sali ludzie z różnych warstw geologicznych mojego życia. Agnieszka z dzieciństwa, Ola ze szkoły, Mirka ze studiów, Krzyś, robotnik, z celi w Białoleścu, no i znajomi z ostatnich lat, więc – jak się delikatnie mawia – już w sile wieku. Ta siła naszego wieku zrobiła się nie wiadomo kiedy. Każdy ciągnie za sobą smugę moich wspomnień. Nasza pamięć jest jak film, w którym pomieszały się sceny, niektóre wyraźne, inne rozmyte. Słowo o Oli – nosiła najkrótsze spódniczki w szkole, zaczęła się moda na mini. Była osobą, powiedzmy, płochą, a teraz jest kobietą walki, ma trzy procesy z obskurancką katolicką organizacją Ordo Iuris.

Był na spotkaniu Józef Tejchma, minister kultury z lat 70. Ma obecnie 92 lata. Z nim też mam wspomnienie. Pamiętam, jak ojciec wybiera się na spotkanie z ministrem. Tejchma był znany z liberalnych poglądów, w czasach mało liberalnych. Po moim wieczorze mówię mu o tym. Świetnie to pamięta, nawet z jakiej okazji spotkał się z Jastrunem. Ojciec przyszedł w sprawie pisma „Poezja”. Co za czasy, że mógł istnieć duży miesięcznik poświęcony tylko poezji, miał duży nakład i był czytany. (Moja mama, Mieczysława Buczkówna, była w redakcji). Po kilku latach istnienia miesięcznika partia wsadziła na redaktora naczelnego pisarza partyjnego, powszechnie nie lubianego. I w tej sprawie była wizyta ojca, siedł w imieniu dużej grupy pisarzy. Znajduję tę scenę w dzienniku ojca. Marzec 1972 r. „Byłem u Tejchmy w sprawie czasopisma »Poezja«. Mówiłem w imieniu części »środowiska«, przede wszystkim poetów. Przeciwności kandydaturze Drozdowskiego skompromitowanego przez swoje postępowanie. (...) Wydało mi się, że Tejchma jest po naszej stronie”. I dodaje: „W sobotę byli u nas Herbertowie”. W następnych miesiącach ojciec bywa już u ministra nie sam, ale z prezydium ZLP, i za każdym razem odnotowuje,

jak liberalne i nieortodoksyjne poglądy ma Tejchma. Tak, był ministrem niezwykłym jak na tamten czas, dowód, że w każdej sytuacji można zachowywać się przyzwoicie.

R. ma duży warsztat samochodowy, gdzie leczę swoje samochody. Mój drugi samochód to mały staruszek, one starzeją się podobnie jak ludzie, tylko szybciej. Ostatnio były problemy z sercem i z przewodem moczowym. Właściciel – młody człowiek, zatrudnia dziesięć osób. Wygląd, sposób zachowania, to, jak mówi – od razu wiem, że musi być antypisowcem. Sprawdzam i tak jest. Rozmawiamy o tym, jak zrobiło się obrzydliwie. Przy okazji opowiada, jak narastają biurokratyczne procedury, rosną

Dwa miliardy na kłamstwo i pogardę, powszechna niechęć do Dudy zmienia się w nienawiść.

ceny, warsztat przestaje się opłacać. A byłem pewien, że zarabia krocie. „W tym kraju”, mówi – więc wraca „w tym kraju”, westchnienie, które dobrze się miało w czasach Polski Ludowej.

Dwa miliardy na kłamstwo i pogardę, powszechna niechęć do Dudy zmienia się w nienawiść. Coraz więcej u nas nienawiści. Nienawiść i pogarda tworzą trujący smog. Myślę ze smutkiem o poecie Julku Kornhauserze, ostatnie moje z nim spotkanie na festiwalu poezji w Przemyslu. Wkrótce potem miał wylew. Co musi czuć, sparaliżowany, patrząc na córkę, która w milczeniu towarzyszy złu? Staje się współwinna.

Kiedy piszę te słowa, są 22 przypadki zachorowań na koronawirusa w Polsce, ale już sunie lawina. I już widać, że nie da się powstrzymać epidemii, można ją najwyżej spowalniać. Najważniejsze, że dzieci w 100% wychodzą z tej choroby cało. Umierają starzy i chorzy. Można bezdusznie powiedzieć, że natura chce przywrócić selekcję naturalną, którą udawało nam się oszukiwać dzięki cudom medycyny. Dzieje się jednak coś bardzo ważnego. Już słychać, jak pandemia zaczyna przesuwac meble w naszym świecie, nikt teraz nie przewidzi, gdzie staną. A Duda i rządzący niestety zbierają punkty, występują jako opiekunowie zagrożonego narodu i zachowują się racjonalnie.

Tatrzański (Luna)park Narodowy

To, co się dzieje w Tatrach, jest kpina z idei ochrony przyrody



Na zamrożonej tafli Morskiego Oka zawodnicy drużyny hokejowej rozegrali pokazowy mecz.

Krzysztof Wojnarowski

Niedawno jeden z portali poświęconych tematyce tatrzańskiej donosił z zachwytem, że na zamrożonej tafli Morskiego Oka miała miejsce niezwykła rywalizacja sportowa. Zawodnicy drużyny hokejowej z Nowego Targu rozegrali pokazowy mecz. W pierwszej chwili potraktowałem to jak żart, ale tekstowi towarzyszyła bogata dokumentacja fotograficzna. I podziękowania organizatora imprezy Mariusza Jarzębskiego, adresowane do dyrekcji TPN: „Bardzo przychylnie do naszego pomysłu podeszły władze Tatrzańskiego Parku Narodowego, za co im z tego miejsca serdecznie dziękuję. Pomysł wypalił, więc na pewno będziemy go kontynuować. Za rok chcemy już jednak zrobić drugą edycję z większą pompą”.

Telefony do znajomych, SMS-y, mejle. Konsternacja, niedowierzanie, oburzenie. Zdobyte informacje były niejasne, a odpowiedzi wymijające. Nikt jednak nie stwierdził zdecydowanie, że taki incydent nie miał miejsca. Wkrótce Paulina Kołodziejaska z TPN powiedziała w rozmowie z Polską Agencją Prasową: „Do TPN nie wpłynął żaden formalny wniosek na organizację meczu”, i dodała, że park nie przewiduje zgody na

organizowanie tego typu wydarzeń w przyszłości.

Wszystko wydaje się niemal w porządku, może zaszło jakieś nieporozumienie, lód zarysowany łyżwami niedługo się roztopi, śladu po sprawie nie będzie. Czy warto o tym pisać? Warto. Chociażby ze względu na reakcję internautów. Andrzej P.: „Super pomysł”, Krystyna M.: „Odjazdowy pomysł”, Grzegorz F.: „Super pomysł, atrakcją powiało”, Anna M.S.: „Brawo za odwagę – ale gruby lód, że to wszystko utrzymał”. Zdarzają się też komentarze krytyczne, ale w zdecydowanej mniejszości. O czym świadczą te opinie? Co mówią o nas samych? Bardzo dużo mówią!

Zastanawiam się, jakie byłyby reakcje na wieść, że TPN wydał zgodę na wyścigi łodzi motorowych na Morskim Oku, że będzie to cykliczna impreza, że trzy największe browary Polski południowej będą sponсорami, że będzie pokaz ogni sztucznych, ogniska i grille, a na Kazałnicy pierwsze w Tatrach zawody *wingsuit proximity flying BASE jumping*. Podejrzewam, że entuzjazm niektórych „miłośników” Tatr byłby adekwatny do rangi wydarzenia.

Cofnijmy się do roku 1902, kiedy inż. Dzieślewski podczas lwowskiej Wystawy Jubileuszowej Towarzystwa Politechnicznego zaprezentował

broszurę pod wymownym tytułem „Uprzysiężenie i uprzemysłowienie Tatr polskich”, a w niej projekt budowy parowej kolei wąskotorowej z Zakopanego na Świnicką Przełęcz. Gdyby nie zdecydowane protesty Sekcji Ochrony Tatr Towarzystwa Tatrzańskiego, być może spod Świnicy zwożono by kolejką Dzieślewskiego urobek granitu, tak przydatnego w budownictwie, a w przeciwnym kierunku wwożono by tłumy miłośników uprzemysłowionych Tatr.

Czy jest jakikolwiek sens w przypominaniu tak zamierzczliwych czasów i zapomnianych wydarzeń? Owszem, bo zarówno Dzieślewski (w pewnym stopniu), jak i hokeiści to uosobienie *homo ludens* (człowieka bawiącego się), który już dawno zastąpił *homo sapiens*. Zabawa staje się celem samym w sobie, a jej cena nie ma żadnego znaczenia. I nie o to chodzi, że hokeiści nie wyrządzili żadnych szkód przyrodzie, co zostało całkiem trafnie dostrzeżone przez TPN. Chodzi o sygnał, który wysłano: że najważniejsza jest dobra zabawa, że nie ma żadnego *sacrum*. Ale może w tym wszystkim hokeiści stali się kozłem ofiarnym, uosobieniem wszelkiego zła. Czy aby na pewno w Tatrach nie dzieje się nic gorszego? Powiedzmy to wyraźnie: dzieje się! Na temat słynnych dorożek przewożących wczasowiczów do

Morskiego Oka napisano wiele, ale w najmniejszym stopniu nie zmieniło to patologii. Wygodnictwo i lenistwo jednych spotyka się tu z chciwością, a czasami nawet z bestialstwem drugich – konie traktowane są jak maszyny do robienia dutków. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem, przepisami oraz uświęconą, chociaż dość krótką tradycją.

Przyjrzyjmy się obszarowi Doliny Chochołowskiej. 2230 ha w tym rejonie to grunty należące do Wspólnoty Leśnej Uprawnionych Ośmiu Wsi z siedzibą w Witowie, jednocześnie położone w granicach TPN. *De*

facto oznacza to eksterytorialność tego obszaru, a TPN ma tu, moim zdaniem, niewiele do powiedzenia. Czasami trudno się zorientować czy przeszedł tam kolejny huragan, który powalił las, czy właśnie dokonano rabunkowej wycinki. Oczywiście nikt nie może kwestionować świętego prawa własności, ale to, co tam się dzieje, jest kpina z idei ochrony przyrody. Sama Dolina Chochołowska to niestety przykład chorej wizji Tatrzańskiego Lunaparku Narodowego: hamburgery, hot dogi, ciuchcie elektryczne, wypożyczalnie rowerów. *Homo ludens* jest tu u siebie, a niepohamowana chciwość spleta się z potrzebą zabawy.

Spójrzmy na kwestię ochrony środowiska, w którym żyjemy, w nieco szerszej perspektywie. Kilka miesięcy temu ówczesny wiceminister środowiska Sławomir Mazurek w wywiadzie dla tygodnika „Sieci”

od czego zależy nasze życie, a więc zasoby naturalne – wodę, powietrze, obszary leśne – zaczyna bawić się w filozofa i kaznodzieję, a do tego stara się podważyć wiarygodność ekologii. Każda działalność ludzka, z polityką na czele, obciążona jest różnymi dewiacjami. Tylko czy nie bardziej konstruktywnie byłoby docenić wkład ekologii w ratowanie przyrody zdominowanej przez człowieka – dla tegoż człowieka, niż wy-

Hamburgery, hot dogi, ciuchcie elektryczne, wypożyczalnie rowerów. Niepohamowana chciwość spleta się z potrzebą zabawy.

lewać dziecko z kąpielą? Dewastacja natury dokonana przez *homo sapiens* w skali globalnej dawno przekroczyła stan alarmowy, zsuwamy się po równi pochyłej ku katastrofie. Tak więc człowiek, panie ministrze, wyeliminuje się sam, nikt nie musi go eliminować, i nie pomoże mu nawet miano „korony stworzenia”, jeżeli się nie opamięta. Mam nadzieję, że poza regularnym studiowaniem Biblii, która być może jest podstawą pańskiej wiedzy ekologicznej, czyta pan również inne źródła. Polecam np. esej „Kultura a natura” Jana Gwalberta Pawlikowskiego z 1913 r. Jest tam myśl, którą panu dedykuję: „Kultura wyszła z przyrody i niosła długo na sobie jej cechy; potem zwróciła się przeciw niej. (...) Hasło powrotu do przyrody, to nie hasło abdykacji kultury – to hasło walki kultury prawdziwej z pseudokulturą, to hasło walki o najwyższe kulturalne dobra”.

czy przymusić dyrekcję parku do posłuszeństwa. To oczywiście wizja mało realna, podszyta czarnym humorem, ale proszę się nie śmiać zbyt wcześnie. Już niedługo urzędnicy państwowi siedzący wygodnie w zaciszu warszawskich gabinetów mogą zmusić dyrekcję TPN do zgody na modernizację i rozbudowę istniejącej infrastruktury narciarskiej na terenie parku, wbrew wszelkim zasadom ochrony przyrody.

Obawiam się, że nie pomoże tu opinia wybitnych naukowców zasiadających w Radzie Naukowej TPN, nawet jeżeli będzie jednoznacznie negatywna, tak samo jak nie pomogła opinia podobnego gremium uczonych w marcu 1934 r., kiedy podjęto decyzję o budowie kolei linowej na Kasprowy Wierch. Warto przy okazji przypomnieć, że kolej tę zbudowano, łamiąc obowiązujące wtedy prawo. Protestowała nie tylko Państwowa Rada Ochrony Przyrody, ale też 94 instytucje naukowe i towarzystwa turystyczne. Obecne władze mają więc do czego nawiązać – tradycja rzecz święta, nawet jeżeli to tradycja łamania prawa. Przecież człowiek jest „koroną stworzenia”, jak zauważył minister Mazurek, a więc może zniszczyć wszystko, z sobą samym włącznie – to jego najświętszy przywilej.

Oby los okazał się dla nas łaskawy, oby Tatrzański Lunapark Narodowy pozostał tylko niezrealizowanym koszmarem. Niestety, koszmar ten realizuje się stopniowo, po cichu, łamiąc. Pamiętajmy, że Tatry to obszar bardzo mały, nie można tutaj mechanicznie i bezmyślnie przenosić wzorców alpejskich – nie ta skala, nie ta rzeczywistość. To nasz skarb, kruchy i delikatny, poddawany gigantycznej presji. Mamy moralny obowiązek zachować go dla przyszłych pokoleń, a nie „skonsumować” jak hamburgera, a papierkę cisnąć pod koła elektrycznej ciuchci pomykającej Doliną Chochołowską. *Homo ludens* ma gen autodestrukcji. Lepiej o tym nie zapominać!

Cały tekst Krzysztofa Wojnarowskiego ukazał się w „Tygodniku Podhalańskim”.

Tatry to obszar bardzo mały, nie można tu mechanicznie i bezmyślnie przenosić wzorców alpejskich.

mówił: „Dominujący dziś publicznie nurt ekologii cierpi na coś, co nazwałbym błędem antropologicznym. W tej wizji przyroda jest ważniejsza od człowieka. (...) W tej wizji człowiek jawi się nie jako ogrodnik, lecz jako szkodnik. W efekcie staje się on niepożądanym elementem, który należy wyeliminować jako zagrożenie. Tymczasem w naszej cywilizacji, która wyrosła na fundamencie Biblii, to człowiek jest koroną stworzenia”.

Czuję się zakłopotany, kiedy osoba na stanowisku wiceministra środowiska, zamiast wyjaśniać, w jaki sposób państwo chroni (lub nie) to,

Przeraża fakt, że ludzie bez rzeczywistych kompetencji, otrzymujący dowolne stanowiska z politycznego nadania, decydują o losie państwa i nas wszystkich. Minister czy wiceminister nie musi obecnie mieć kompetencji ani wiedzy, ma za to władzę, może więc, przy poparciu większości parlamentarnej, np. zrealizować ideę Tatrzańskiego Lunaparku Narodowego, ogłosić sezon polowań na kozice, a nawet wrócić do pomysłu inż. Dzieślewskiego i rozpocząć wielkie narodowe dzieło budowy kolejki parowej z Zakopanego na Świnicką Przełęcz. Wystar-

Legenda wielkiej budowy

Nowa Huta była najpierw legendą wyolbrzymioną przez propagandę, a potem antylegendą. A w życiu nie ma takich przeskoków

Rozmawia Robert Walenciak

Pamięta pan, jak przyjechał pan do Nowej Huty pierwszy raz? Jak to zobaczył?

– Pamiętam! I to wrażenie... Takie samo jak mojej mamy, która przyjechała tam znacznie później. Bardzo się dziwiła, że to na takich polach, gdzie w Markowej buraki się sadzi i ziemniaki.

Na dobrych polach!

– Właśnie! Że tam budują. Cegłę zwożą, jakieś betony. Ja to pamiętam jako błoto! Jako chodzenie w butach pod kolana, w błocie, nawet trudno było normalnie się poruszać.

Nie miał pan ochoty rzucić tego wszystkiego i wrócić do Warszawy?

– O nie! To było moje zadanie, ZMP-owska dyscyplina. Wtedy się tym przeraziłem. Przeraziłem się, że wchodzę na teren nieznany i dziwny. Gdzie ma być cudowna Nowa Huta, tak pisali w gazetach, a jest wielkie błoto! Ale nie mogłem nawet myśleć o tym, żeby się wycofać. Mnie osobiście błogosławił Władysław Matwin, przewodniczący ZMP, człowiek o wielkim autorytecie. Jedną z ciekawszych postaci życia partyjnego i kierownictwa partyjnego. Najlepszy dowód, jak się pożegnał z władzą. Bo nie mógł wytrzymać z Gomulką i po prostu poszedł kończyć studia matematyczne. Był wtedy grubo po czterdziestce.

Przyjechał więc pan do Nowej Huty jesienią 1951 r., spojrzął na to błoto...

– I od razu wyfasowałem sobie strój robotniczy. Spodnie drellichowe, długie buty gumowe i kufajkę. Nie to, że nie było mnie stać na coś własnego, po prostu trzeba było się dostosować do miejscowego klimatu i tego, jak ludzie wyglądali. Pracę zacząłem od spotkania z dyrektorem naczelnym, nazywał się Anioła. Zapamiętałem go. Zwolnili go z funkcji dyrektora dzień czy dwa przed uruchomieniem pierwszego pieca. A on był jego budowniczym, dyrektorem inwestycji! Do dziś nie mogę się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.



JÓZEF TEJCHMA

– szef organizacji ZMP na budowie miasta i kombinatu Nowa Huta (1951-1955)

Pojechał pan w trybie alarmowym, bo źle tam się działo.

– To Matwin! Wystał mnie, ponieważ wpadłem w jego upodobania. Zajmowałem się w ZG ZMP młodzieżą szkolną. Pewnego dnia Matwin dał nam zadanie: jedźcie wszyscy, każdy gdzie indziej, do różnych szkół, i zbadajcie, jaka naprawdę jest dusza dzisiejszej młodzieży. Potem nie chcieli uwierzyć, że Matwin może pytać o duszę młodzieży. To były sztywne czasy, pełne frazeologii, więc takie pytanie już było inne. Wróciliśmy z tych wyjazdów zdać relację i Matwin zobaczył, że nie idę wedle dzienników i reportaży ówczesnego „Sztandaru Młodych”, że wszystko jest wspiane, tylko mam spojrzenie zupełnie inne, nietypowe. Ono pociągało Matwina, i moja wiedza o młodzieży. Powiedział mi: ty się nadajesz tam, do Nowej Huty, żeby tę młodzież wychowywać, kształcić. Chciał wysłać takiego człowieka jak ja, tym bardziej że nasiliły się już krytyczne opinie o sytuacji w Nowej Hucie, narzekania na byt socjalny młodzieży, warunki codzienne, na to, co się dzieje w hotelach robotniczych. Matwin się przejął tym bardziej niż ktokolwiek.

„Poemat dla dorosłych” o tym mówił.

– „Poemat” ukazał się później, w roku 1955. Wtedy to był szok. Z tym że,

dziwna rzecz, ja najłagodniej przeżyłem ten szok, łagodniej niż ci, którzy w Nowej Hucie nie byli. Bo dla nich taka sytuacja była niemożliwa. A dla mnie była możliwa, bo widziałem, co się działo. Toczyły się dyskusje, że to fałszywy obraz Nowej Huty, że pisać jak Ważyk to niemal świętokradztwo. Bo jak można tak pisać o głównej budowie socjalizmu?! Potem w „Zdaniu” ktoś opisał Ważyka, porównał jego działalność ideologiczną w czasach czysto stalinowskich z tym, co napisał w „Poemacie dla dorosłych”. To były te przypadki. Podobnie było przecież z Woroszylskim, z którym byłem w dobrych stosunkach, ZMP-owskich, bo on należał do władz ZMP. On był taki ostry, a mnie było do niego daleko w pryncypialności. A potem stał się ostrym krytykiem partii i w gruncie rzeczy socjalizmu.

Był pan u Anioły. Coś pan załatwił na tym pierwszym spotkaniu?

– Nie. Po prostu Anioła przywitał mnie z zadowoleniem, że przychodzi ktoś z Warszawy i jest gotów pomagać, zwłaszcza w kwestii poprawy warunków socjalnych. Bo szybko się zorientował, że mnie interesują najbardziej nie dyrdymały ideologiczne, które tam były na porządku dziennym, tylko życiowe sprawy młodzieży. Dlatego denerwuje mnie, jak dzisiaj się pisze o tamtych czasach. Ta młodzież nie była zaganiana do świetlic, do czerwonych kąciaków, żeby słuchała drętwych referatów. Sam to napisałem: wywoziliśmy tę młodzież ciężarówkami z Nowej Huty do Krakowa, do Starego Teatru. Tak było! Sam wtedy w Starym Teatrze znalazłem się pierwszy raz. Bo z Warszawy było trudno tam się wybrać.

Młodzież, która budowała Nową Hutę, pochodziła ze wsi?

– Z mojej rodziny, nas było pięciu chłopaków, czterech braci przyjechało do Nowej Huty i tam zamieszkało. Ja nie. Po trzech-czterech latach wróciłem do Warszawy. Ale tylko jeden z braci całe życie zawodowe spędził w Nowej Hucie, zdobył wykształcenie wykwalifi-



Październik 1952 r. Młodzież z krakowskiej organizacji ZMP otrzymała skierowanie do Nowej Huty.

możliwość tańców, zabawy! Były cementowe place taneczne, strasznie to wyglądało. Ale tańczyli wszyscy, bawili się. Ja też tańczyłem.

Orkiestrę się sprowadzało.

– I była zabawa. Pokazywanie innej możliwości życia, rozrywki. Innej niż tylko picie.

Bili się, jak popili?

– Osobiście nie zetknąłem się z tym, gdy chodziłem na zabawy. Ale chodziłem po aresztach. Znajdowały się w piwnicach bloków mieszkalnych, tam gdzie kartofle można trzymać. Chodziłem do tych aresztów rozmawiać z zatrzymanymi. Głównie za awantury po pijanemu. Ciekawiła mnie postawa tych młodych ludzi, co mówią, jak tłumaczą swoje życie. Mówili, że tak było u nich na wsi, więc tak się zachowują, że to normalne w życiu młodych ludzi.

A dziewczyny?

– To dziennikarze szukali sensacji, chłopców z dziewczynami. I zabaw seksualnych. Ja nie spotykałem takich gorszących sen. Choć, nie wątpię, miały miejsce. Było nawet posiedzenie Biura Politycznego, zaalarmowanego tymi sprawami. Seksualne rozwyrderzenie moralne – tak to się mówiło. Pierwszy raz w życiu byłem wtedy na posiedzeniu BP, bo byłem w komisji, którą KC wysłał do Nowej Huty badać, jak to jest wśród

fikowanego robotnika, tam pracował. Jednak gdy przeszedł na emeryturę, wrócił do Markowej. W Nowej Hucie była młodzież rolnicza, chłopska. Biedna, bez zawodu, bez wykształcenia; przyszła z ubogimi tobołkami. A ponieważ pochodziłem ze wsi, zakładałem, że mam znajomość i wyczuć psychologiczne młodych ludzi, młodych chłopów. A ja też się cieszyłem, że przyjdzie mi się zetknąć z młodzieżą, którą znam i która przychodzi szukać nowego życia w Nowej Hucie.

To dla nich była szansa! Awans!

– Przede wszystkim taki chłopak dostał mieszkanie i łóżko. Pracę! Pensję! Pierwszy raz w życiu niektórzy mieli pieniądze w rękach. Takie, jakie były, duże czy małe – nie pamiętam teraz, jakie było porównanie tej pensji do innych uposażeń. Ale to był awans. Fascynowało mnie, że w tym uczestniczę, że przychodzi młodzież z chłopów, jak to pisał prof. Dyżma Gałaj, i przekształca się w robotników. Profesor był bliskim mi człowiekiem, znał te sprawy, napisał książkę „Od chłopca do robotnika”. Choć w ZMP zajmowałem się wcześniej młodzieżą szkolną, w gruncie rzeczy najbliższymi mi było do młodzieży chłopskiej. Z racji pochodzenia i późniejszych kontaktów – z prof. Józefem Chałasińskim, z prof. Janem Szczepańskim, który uprawiał socjologię.

Koncentrował się więc pan w Nowej Hucie na sprawach bytowych, a nie na ideologii.

– Na najprostszych rzeczach, choćby takich jak stołówka. Żeby tam

przynajmniej było sympatycznie, żeby było lepsze jedzenie. To wszystko działało w sposób połączony. Lepsze warunki środowiska, w którym się żyło codziennie, tworzyły warunki do tego, żeby oczekiwać od młodzieży także innego zachowania.

Pijaństwo wśród tej młodzieży było duże?

– Było duże, ale ja tego tak ostro nie oceniałem, po prostu byłem przyzwyczajony. Na wsi każda uroczystość miała „oprawę”. Nawet wigilia. Kościół po wigilii, po pasterce – zawsze czuć było w nim alkohol. Dla mnie picie nie było więc takie przerażające, choć, owszem, to był problem.

Taki chłopak dostał mieszkanie i łóżko. Pracę! Pensję! Pierwszy raz w życiu niektórzy mieli pieniądze w rękach.

Ale to mnie nie odrzucało od młodzieży. Tej pijącej. Bo co oni mogli robić? W takim pokoju w hotelu robotniczym były trzy-cztery łóżka. Jak oni po pracy przyszedli zmęczeni, brudni, to często pierwszą rzeczą był alkohol. Żeby się odprężyć.

I jak z tym walczyć?

– Mieliliśmy receptę, która była słuszną, ale niecałkowicie skuteczna – dać inny obraz życia, obraz życia ciekawego. Sprowadzaliśmy zespoły muzyczne. Sam chodziłem po pokojach i zachęcałem, żeby przyszedli na koncert, bo nie chcieli przychodzić. To nie jest tak, że przyjeżdża chór czy zespół, a oni szybko się zbierają. Nie, nie. No to inne rozrywki. Dać

młodzieży. Co tu mówić, wiedziałem więcej, niż mógłbym się dowiedzieć w czasie tych kilku dni badania tych spraw jako komisja partyjna. A potem poproszono nas na posiedzenie Biura. Występowałem, jak przemawiali Berman, Minc i na końcu Bierut.

Miał pan własny gabinet w Nowej Hucie?

– Tam, gdzie była część administracyjna. Ale na kombinacie, nie na mieście. Dwa-trzy pokoje, trójka nas tam była, sekretarka, sekretarz.

Partia cały czas naciskała, żeby więcej pracować, żeby śrubować normy?

– Na szczęście w czasach, gdy ja tam byłem, był bardzo rozsądny ▶

► sekretarz PZPR, Józef Nagórzański. Nawet początkowo się dziwiłem, że nie taki drętwy jak inni, których przyzwyczajony byłem spotykać. Miał wyczuć potrzeb młodych ludzi, więc znalazłem z nim wspólny język. Potem niestety przyszło mi – za Gierka, w pierwszych tygodniach nieomal – jechać do Krakowa odwoływać go z funkcji wojewody krakowskiego. Przeżył to straszliwie. Raz – że go odwołali. Dwa – że ja z tym przyszedłem, że z moich rąk. Nie chciałem tego robić, ale było polecenie. Wtedy instalowałem w Krakowie Józefa Klasę na I sekretarza. Znałem się z nim, ceniłem go bardzo jako jednego z najciekawszych ludzi spośród sekretarzy partyjnych, jakich spotkałem.

O czym pan rozmawiał z ludźmi w trakcie pracy w Nowej Hucie? Co pan załatwiał?

– Rozmawialiśmy głównie o tym, co robić w czasie wolnym od pracy. Nie o pracy, tylko co robić po pracy. To był główny temat rozmów z młodymi ludźmi. Jak organizować weseła? Bo wesela były. Jak się zachowywać na zabawach? Wychowawcze ZMP-owskie tematy.

A poza tym jak się spędzało wolny czas w Nowej Hucie? Jeździło się do Krakowa?

– To nie było takie łatwe. Nie było tramwajów, autobusów. Ale były ciężarówki! Żartowałem później, że z Krakowa do Nowej Huty woziło się cegłę, a z Nowej Huty do Krakowa – młodych ludzi do teatru. Takie były moje metafory. Bardzo ciekawe były też nasze cosobotnie i coniedzielne wyjazdy nad Rabę. Kapać to nikt się nie kapał, Raba była płytka. Ale było przyjemnie. Zieleni dużo, powietrze inne, słońce, rozrywka zbiorowa.

Pewnie pili?

– Liczyli się ze mną, że ZMP nie rozpija młodzięży. A ja do tego miałem legendę, że nie lubię wódki w ilościach oficjalnych. Oficjalnych, wśród oficjeli, bo prywatnie było inaczej. To był temat wychowawczy – nie pić! A jak pić – to inaczej. Nie upijać się.

Młodzięż myślała o socjalizmie? Że nowe czasy nadeszły? Że jest szansa, jedna na setki lat, że można się wydzwignąć?

– Nie chciałem przesadzać. Nie słyszałem takiej werbalnej propagandy czy wyrażania satysfakcji, że budujemy coś ważnego i nowego. Że stajemy Nowa Huta. Nie, nie mieli tego poczucia. Mieli poczucie, że wyszli ze wsi. Głównie to, dużo bardziej, niż że przyszli do Nowej Huty. To dla nich była największa sprawa. Bo co na wsi było do roboty? Nawet w mojej wsi, w Markowej, kulturalnej wsi, właściwie nie bardzo było jak żyć. Choć zabawy były, wesela były i był teatr, w którym grałem.

Czyli że wyszli ze wsi.

– To było ich główne poczucie satysfakcji – wyjście ze wsi. Tak to dziś oceniam.

A co przynieśli z sobą? Jakie wyczaję?

– Sposób zachowania się, np. brak szacunku dla czystości. Ich łóżka w hotelach były często niezastane, brudne. Zwracałem na to uwagę, chodziłem, sprawdzałem, pilnowałem. Wszędzie ten brud był, do mieszkania był wnoszony. Należało pilnować warunków sanitarnych. Były również sprawy dotyczące zachowania się, pijaństwa. Dziewczyny z kolei chciały mieć jakieś miejsce, żeby się spotykać z chłopakami. Myśmy też tym się zajmowali.

A jakie to były hotele?

– To były domy, w których potem mieli mieszkać pracownicy kombinatu, rodziny.

A konkursy, rywalizacja na układanie cegieł?

– Były takie! U Wajdy w „Człowieku z marmuru” to się znalazło: że ktoś na złość rozpałił cegłę, żeby układający się sparzył. Ale to film. Owszem, były podczas budowy rywalizacje, ale bez głośnego i propagandowego nastroju. Wiązało się to raczej z wynagrodzeniem, z premiami. Nie grały roli motywów czysto ideowe – bardziej finansowe.

Organizacja ZMP w Nowej Hucie była mocna?

– Tak! Byli ciekawi ludzie. Mądrzy. Jeden z nich został później poetą. Był też dziennikarz Zdzisław Wróblewski ze „Sztandaru Młodych”. Przyjechał z Warszawy i osiedlił się na kilka lat. Człowiek ciekawy, należał do PPS, do OM TUR. Pisał drobne informacje o codziennym życiu młodzięży, reportaże o wyścigach murarskich, wreszcie napisał o Nowej Hucie książkę „Nie-spokojne drogi”.

Co więc powstało z tej młodzięży, która zjechała się na wielką budowę? Kasza?

– Nowa Huta była najpierw legendą wyolbrzymioną przez propagandę, a potem antylegendą. A w życiu nie ma takich przeskoków. Mówiliśmy o młodzięży, może dodam słowo o kadrze, o inżynierach, którzy prowadzili budowę. To była znakomita kadra, przedwojenna, często z akowskim życiorysem. Ich też porwały historia i żywioł pracy. Skala budowy! Rzeczy, które miały znaczenie w gabinetach partyjnych Warszawy, tu przechodziły bez echa. Bo życie zawsze jest silniejsze niż ideologia i propaganda.

Robert Walenciak



Historia bez happy endu 70 LAT NOWEJ HUTY

**O tych, którzy budowali socjalistyczne miasto,
i tych, którzy socjalizm obalali.**

O marzeniach o idealnym mieście i szczęśliwym życiu.

Przepraszamy, ale zaplanowane na 17 marca spotkanie promocyjne w Krakowie odbędzie się w późniejszym terminie, o którym Państwa poinformujemy.

Wpłać 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. W jej cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł. www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Rusofobia to (wielki) biznes robiony na Polakach

Witold Modzelewski

Nikt przy zdrowych zmysłach nie rozumie, dlaczego istotna część naszej klasy politycznej oraz mediów z uporem godnym lepszej sprawy głosi polski obowiązek nienawiści do Rosji i wszystkiego, co rosyjskie. Stanowi to unikatowy przypadek nie tylko we współczesnym świecie, lecz również w naszej, polskiej przeszłości. To prawda, że u zarania II RP, gdy wychodziliśmy z dziedzictwa zaborów, istniał silny nurt publicystyki politycznej posługujący się podobną narracją, ale, po pierwsze, istniał również konsekwentny nurt antyniemiecki, uzasadniający niechęć m.in. doświadczeniami grabieży okupacyjnej lat 1915-1918, mimo kolaboracji z okupantem (tzw. aktywiści) wielu „niepodległościowych” polityków. Po drugie, w latach 1919-1921 byliśmy w stanie wojny z państwem bolszewickim, walczącym również z Rosją, a niektórzy – także wtedy – wrzucali bolszewizm i Rosję do jednego worka. Do tej ostatniej grupy należeli zwłaszcza kolaborujący z niemiecko-austriackim okupantem, m.in. były groteskowy „premier” w równie groteskowym „rządzie” powołany przez Radę Regencyjną, będący autorem wyjątkowo bałamutnej nawet jak na nasze realia książki „Od białego caratu do czerwonego”, która do dziś jest biblią współczesnych rusofobów. Wtedy prowadziliśmy beznadziejny i ostatecznie przegrany spór o ziemie położone między etniczną Polską a historyczną Rosją, czyli, jak kto woli, o „Kresy Wschodnie” albo o Białoruś, Ukrainę i Litwę, co mogło uzasadniać wzajemne niechęci lub wrogość. Dziś ten problem jest zamkniętą raz na zawsze przeszłością, obie strony tego sporu przegrały go na rzecz nowych państw, które z istoty są zarówno antypolskie, jak i antyrosyjskie, ale jednocześnie są zaspokojone w swoich ambicjach terytorialnych. Co je łączy? Tylko jedno: oba – przed rewizjonizmem politycznym, a nawet terytorialnym dwóch sąsiadów, ze wschodu i zachodu, czyli również naszym, o czym nie chcemy mówić.

Po co więc zużywamy się w bezsensownej narracji antyrosyjskiej i pilnujemy, aby nikt nie skorzystał z prawa do zdania odrębnego? Odpowiedź jest jed-

na: komuś to potrzebne i ma ogromny wpływ na naszą oficjalną ideologię oraz jej przekaz. Aby go zidentyfikować, należy zrozumieć polski interes geostrategiczny ostatnich 200 lat. Faktyczną niepodległość uzyskuje się wtedy, gdy jest się państwem bogatym, silnym ekonomicznie i niezależnym gospodarczo. Raz w historii udało się nam wejść na wyżyny światowego rozwoju – były to czasy ostatniego 50-lecia Kongresówki (lata 1865-1914), gdy rozwijał się na nieznaną ówczesnie (i później) skalę prywatny przemysł, a rosyjski rynek zbytu uczynił nas jednym z najbogatszych regionów świata. To wtedy wybudowano na tzw. surowym korzeniu wielkie miasta, setki tysięcy nowych budynków, w tym wiele bogatych kamienic i tysiące fabryk, tworząc istniejącą do dziś tkankę miejską centralnej Polski – tylko Warszawa zmieniła później oblicze, ale było to wynikiem katastrofy, którą sprowadziliśmy na siebie w 1944 r.

Rozwój przemysłu, bezprecedensowy wzrost bogactwa i urbanizacja szły w parze z eksplozją demograficzną, co wzbudziło strach polityków berlińskich. Byli przerażeni wizją polonizacji nie tylko miast pruskich, ale i Brandenburgii. Zgodnie z prognozami z początku XX w. Berlin w 1930 r. miał być zaludniony w większości przez Polaków. Ktoś zatem

postanowił zniszczyć Rosję, a przede wszystkim przemysł Kongresówki, co zrealizowano właśnie w latach pierwszej okupacji niemieckiej. W ciągu ostatnich 30 lat mógłby się powtórzyć fenomen rozwoju polskiego przemysłu, bo nie ma już Związku Radzieckiego, rynek rosyjski jest chłonny, a polski przemysł mógłby powtórzyć sukces sprzed ponad 100 lat mimo zniszczeń wprowadzonych przez tzw. reformy Balcerowicza. Bogactwo daje siłę i niezależność. Byłoby to jednak sprzeczne z wizją naszego miejsca w Mitteleuropie jako nieważnego zaplecza podporządkowanego interesom gospodarki niemieckiej. Trzeba więc psuć relacje polityczne między Polską a Rosją, odstraszać polskich eksporterów od tego rynku, bo stanowi on dużo korzystniejszą alternatywę w stosunku do roli podwykonawcy dla niemieckich zleceń. Stąd brednie o „rosyjskiej agresji”, stanie „wojny hybrydowej”, w którym (jakoby) jesteśmy z Rosją. Biznes nie lubi kłótni politycznych. Na czyjeś (czyje?) życzenie wyeliminowano nas z tego rynku (nawet owoców), pozostajemy jednocześnie odbiorcą rosyjskich surowców (ropy naftowej, gazu ziemnego, a ostatnio również węgla).

Ktoś dużo zainwestował w naszą rusofobię – to zapewne bardzo opłacalna inwestycja. Pytanie, na które nie znam odpowiedzi, brzmi: kto tu odgrywa rolę pożytecznego idioty, a kto jest świadomym wykonawcą tego zadania?

Autor jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, prezesem Instytutu Studiów Podatkowych

KSIAŻKA

MOSKWA NAM NIE ZAGRAŻA

Prof. Witold Modzelewski znany jest głównie z wiedzy o VAT i finansach. Mniej znana jest jego publicystyka na temat Rosji i naszej polityki wschodniej. Ostatnio wydał szósty tom poświęcony tej tematyce. Autor nie podziela opinii ogromnej większości historyków i polityków. Prezentuje poglądy, które są nieobecne w elitach władzy, a właściwie w całej posolidarnościowej elicie. Twierdzi, że przymilanie się do USA, bezrefleksyjne zawieranie politykom z Waszyngtonu, odsuwanie się od Europy wypycha nas w antyrosyjskość. Co owocuje wzrostem rusofobii i nasileniem przekonania, że Moskwa nam zagraża i tylko czeka, by na nas napaść.

Taka polityka negatywnie odbija się na naszych kontaktach z Rosją. A w konsekwencji na wymianie gospodarczej i naszej pozycji. (pd)

Witold Modzelewski, *Polska – Rosja. Rok 1919 – refleksje na minione stulecie*, Instytut Studiów Podatkowych, Warszawa 2019.





Biało-czerwona wbita w morze

W walkach o Wał Pomorski i Kołobrzeg brało udział ponad 70 tys. polskich żołnierzy. Co piąty nie przeżył

Krzysztof Wasilewski

Bitwa o Kołobrzeg trwała 11 dni i uznawana jest za największy regularny bój uliczny z udziałem polskich wojsk w czasie II wojny światowej. Walki, które trwały od 8 do 18 marca 1945 r., nie tylko miały kluczowe znaczenie dla całej ofensywy na Pomorzu Zachodnim, ale przede wszystkim dowiodły waleczności żołnierzy 1. Armii WP. Badacze dziejów polskiego oręża przyrównują operację kołobrzeską do bitwy nad Bzurą z września 1939 r. i Monte Cassino z maja 1944 r.

„Zdobycie Kołobrzegu było pierwszym wielkim samodzielnym zwycięstwem operacyjnym 1. Armii Wojska Polskiego. O sukcesie zadecydowało stale poprawiane w toku działań współdziałanie piechoty, artylerii, czołgów, saperów, chemików i lotnictwa. Podczas jedenastodniowej bitwy siły polskie stale narastały, dochodząc do 60% 1. Armii WP”, opowiadał Edward Kospath-Pawłowski, badacz dziejów wojskowości, autor książki „Kołobrzeg. 8-18 marca 1945”. Wiele historyków określa bitwę o nadmorską twierdzę mianem Monte Cassino frontu wschodnie-

go. Porównanie słuszne, biorąc pod uwagę poświęcenie polskich żołnierzy, ich ofiarę krwi i natężenie walk, ale uwzględniając wpływ na kształt przyszłych granic, a tym samym na przyszłość całego państwa, bitwa o Kołobrzeg miała o wiele większe znaczenie.

Wróćmy jednak do pierwszych miesięcy roku 1945. W połowie stycznia żołnierze 1. Armii WP pod dowództwem gen. Stanisława Popławskiego (zastąpił on na tym stanowisku gen. Zygmunta Berlinga we wrześniu 1944 r.) po kilkugodzinnych walkach weszli do zrujnowanej polskiej stolicy. „Warszawa przedstawiała makabryczny widok. Wymarłe kompletnie, zburzone miasto, przysypane śniegiem. Gdzieś tam jakieś wybuchające pociski, miny, których Niemcy mnóstwo zostawili. Kikuty wypalonych domów, jakieś rumowiska, ale pierwsze wrażenie to był brak ludzi”, wspominał jeden z żołnierzy.

Styczniowa ofensywa

Z radością po wyzwoleniu Warszawy, lecz i z wściekłością zrodzoną na widok wymarłego miasta, polskie oddziały ruszyły dalej. Ofensywa po-

suwała się błyskawicznie – często w ciągu doby pokonywano nawet 70 km. Na początku lutego wojska 1. Frontu Białoruskiego rozpoczęły natarcie na twierdzę Kostrzyn, słusznie uznawaną za bramę na Berlin. Zdobycie fortu otwierało bowiem prostą drogę do niemieckiej stolicy, której przedmieścia znajdowały się zaledwie 60 km na zachód.

Jeszcze przed nadodrzańską potyczką, bo w ostatnich dniach stycznia, zaczęło się forsowanie Wału Pomorskiego – liczącego 230 km systemu bunkrów i umocnień polowych, rozciągającego się od Ustki nad Baltykiem przez Słupsk, Szczecinek, Wałcz, aż do Santoka nad Notecią. W trwających niespełna dwa tygodnie walkach brało udział ponad 70 tys. polskich żołnierzy. Co piąty nie przeżył. „Usytuowanie bunkrów było takie, że aby je zdobyć, musieliśmy się wspinać pod górę, więc nasze kilkukrotne próby nie powiodły się, a sporo naszych poległo. Najbardziej przykry był moment, kiedy dostaliśmy dopełnienie, czyli uzupełnienie żołnierzy. To był ich chrzest bojowy, żołnierze nieprzygotowani, umiejętności niewielkie. To właśnie ci żołnierze najczęściej tam ginęli. Ci, którzy pochodzili z jednego

W „twierdzy Kolberg” Niemcy zaciekle bronili niemalże każdego domu. Wyzwolony Kołobrzeg żołnierzom Wojska Polskiego przypominał zrujnowaną Warszawę.

miejsca, zbierali się razem i często razem ginęli”, wspominał uczestnik walk, Kazimierz Lachiewicz.

Krwawe walki o Wał Pomorski zwiastowały skalę trudności, z jakimi przyszło się mierzyć przy zdobywaniu kluczowej w tym rejonie Festung Kolberg, czyli twierdzy Kołobrzeg. O ile jednak z zewnątrz miasto sprawiało wrażenie niezwyciężonej fortecy, o tyle wewnątrz panował chaos. Od początku 1945 r. całe lokalne życie koncentrowało się wokół dworca kolejowego. Przybywali nań uciekinierzy z miejscowości, do których zbliżał się front, a jednocześnie próbowano za wszelką cenę dostać się do pociągów jadących na zachód. Po zatopieniu „Wilhelma Gustloff’a” z ponad 6,5 tys. pasażerów nikt nie chciał uciekać drogą morską. Szacuje się, że na przełomie stycznia i lutego 1945 r. w Kołobrzegu przebywało od 50 tys. do 85 tys. uchodźców z okolicznych terenów, czyli znacznie więcej niż samych mieszkańców.

Nowy komendant miasta Fritz Fullriede, doświadczony i ceniony przez Hitlera weteran Afrika Korps, długo wahał się przed ogłoszeniem Kołobrzegu twierdzą. „Komendant twierdzy naciskał władze partyjne o decyzję jak najszybszej ewakuacji całej ludności cywilnej, by umożliwić najlepsze warunki do obrony miasta. Kreisleiter Gerriets zwlekał z decyzją

Przygotowując się do starcia, dowódca grupy niemieckiej armii „Wiśła” zawiesił w czynnościach władze cywilne Kołobrzegu i przekazał kontrolę nad miastem SS-oberführerowi Heinzowi Bertlingowi. Razem z Fullriedem nadzorował on prace fortyfikacyjne, w tym utworzenie 16 nowych stanowisk dla ciężkich wyrzutni kalibru 280 mm. Do 1 marca Kołobrzeg został zaopatrzony w 85% amunicji do ciężkiej artylerii i dział przeciwlotniczych, moździerzy i broni piechoty. Dodatkowo 100 ton amunicji sprowadzono drogą morską. Do dyspozycji obrońców były ponadto pociąg pancerny oraz okręty wojenne stacjonujące w pobliżu portu.

Walki o Wał Pomorski zwiastowały skalę trudności, z jaką przyszło mierzyć się przy zdobywaniu Festung Kolberg.

Również załoga twierdzy była dość liczna, choć jedynie część miała doświadczenie w boju. Ze względu na znaczenie Kołobrzegu dla spowolnienia ofensywy skupiono w nim wszystkie pozostałe na Pomorzu Zachodnim oddziały, wzmocnione utworzonym z miejscowej i napływowej ludności Volkssturmem. W północno-wschodniej części miasta stacjonowały 3. batalion forteczny wraz z oddziałami 163. i 63. dywizji piechoty oraz 402. dywizji rezerwowej utworzonej z resztek 10. korpusu SS, rozbitego wcześniej w okolicach Świdwina. Na wschodzie twierdzy został zaś ulokowany pułk szkolny „Kolberg” – ok. 700 osób. Specjalna grupa SS,

we i inżynierskie, stwarzało w sumie system punktów oporu, z których każdy musiał być zdobywany oddzielnie. To właśnie powodowało rozpadanie się walki na szereg oddzielnych ognisk”. Przełamanie poszczególnych ognisk było zatem możliwe jedynie przez zajęcie konkretnych rejonów. „Próby przeniknięcia w głąb obrony pomiędzy rejonami kończyły się z reguły niepowodzeniem, ponieważ były one ze sobą powiązane ogniem i wzajemnie osłaniały swe skrzydła”, dodawał Komornicki.

6 marca dowództwo 1. Armii WP otrzymało zadanie opanowania wybrzeża Bałtyku, od Kołobrzegu po Dziwnówek. Tego samego dnia

gen. Popławski do oblężenia i zdobycia twierdzy wyznaczył 3. i 6. dywizję piechoty, licząc, że niemieckie siły pozostawione w mieście są skromne i zostaną szybko rozbite. Opracowano plan ataku na port jako najżywniejszy punkt obrony, co „miało pozbawić nieprzyjaciela możliwości ewakuacji i zaopatrywania drogą morską”, a w konsekwencji sparaliżować cały jego system obrony.

Początkowo wydawało się, że zgodnie z planem Polacy zdołają „zdobyć Kołobrzeg z marszu”. O świcie 8 marca pułki wchodzące w skład 6. dywizji ruszyły do natarcia wzdłuż szosy Zieleniowo-Kołobrzeg. „Walka nie trwała długo – relacjonował Komornicki. – Niebawem rozległy się eksplozje granatów i nieprzyjacielska »maszynka« umilkła. Drużyna Piwowarczyka przeprowadziła z dumą trzynastu jeńców, a plutonowi Grzejek i Paczka wyszli na piaszczystą wydmy, z której jak okiem sięgnąć rozpościerało się morze. Wetknięta w dno załopotała nad falami polska flaga. Żołnierzy ogarnęło wzruszenie. Choć Bałtyk witał ich mgłą, śniegiem i deszczem, czuli gorąco w piersiach – tworzyli historię”.

Jednak już następny atak polskiej piechoty został powstrzymany. Niemcy uruchomili broń maszynową i moździerze, których pociski spadały na nacierających żołnierzy, spowolnionych przez grząski, podmokły teren. „Fontanny błota strzelały wysoko ponad gałęzie bezlistnych drzew,

Zdobycie Kołobrzegu było pierwszym wielkim samodzielnym zwycięstwem operacyjnym 1. Armii Wojska Polskiego.

o ewakuacji, nie mając odpowiedzi od Gauleitera Pomorza Schwede-Coburga. Mając tak dużą liczbę ludności cywilnej w mieście, Fullriede nie chciał ogłosić Kołobrzegu twierdzą – czytamy na stronie wirtualnego muzeum twierdzy Kołobrzeg. – W dowództwie niemieckim istniała reguła, iż komendanci twierdz składają specjalną przysięgę dotyczącą obrony twierdzy do ostatniego naboju i żołnierza. Pułkownik przysięgi takiej nie złożył, co za tym idzie Kołobrzeg formalnie nie został ogłoszony twierdzą... Decyzję o ewakuacji cywilów z Kołobrzegu Fullriede podjął sam”.

batalion karabinów maszynowych oraz szturmowa kompania alarmowa – niemal 2,2 tys. ludzi – broniły zachodnich i południowych umocnień miasta. Łącznie załoga twierdzy liczyła ok. 10 tys. żołnierzy.

Rozmieszczając poszczególne załogi, Niemcy postanowili wykorzystać pierścieniową strukturę miasta, dzięki której kolejne dzielnice i budynki mogły się bronić niezależnie od siebie. Jak pisał Stanisław Komornicki, wówczas oficer 1. Armii WP, a później historyk i generał, „przygotowanie do obrony konkretnych obiektów i rejonów, ich wzajemne powiązanie ognio-



Zaślubiny z morzem w Kołobrzegu 18 marca 1945 r. dowodzący polskich aspiracji granicznych.

► a świeże leje napełniały się momentalnie brudną, mętną wodą. Kompanie topniały w tym ogniu”. Równocześnie 18. pułk, który przedarł się do centrum miasta, został okrążony i zdziśiátkowany. Na pomoc wezwano radzieckie lotnictwo i 14. pułk, dowodzony bezpośrednio przez szefa sztabu ppłk. Józefa Sieleckiego. Niestety, wsparcie okazało się niewystarczające i wieczorem 9 marca pododdziały 18. pułku – z poważnymi stratami – wycofały się do pobliskiego Więcmina.

Walki w dzień i w nocy

Plany zajęcia Kołobrzegu z marszu okazały się więc nierealne. Niemcy stawiali zdecydowany opór, zdając sobie sprawę, że chociaż nie zdołają obronić miasta, przynajmniej spowolnią marsz na Berlin. Wojska 1. Frontu przedarły się już dalej na zachód, do Szczecina-Dąbia i Osinowa Dolnego, lecz Festung Kolberg nadal się broniła. Mimo przewagi liczebnej dopiero po ośmiu dniach udało się polskim siłom uzyskać przewagę w broni pancernej. W wyniku początkowego niepowodzenia do już walczących jednostek gen. Popławski rzucił odwody armii: 4. dywizję piechoty i 4. pułk ciężkich czołgów, a także 15. i 18. pułk artylerii przeciwlotniczej i 2. zmotoryzowany batalion miotaczy ognia. W kolejnych dniach polskie oddziały otrzymały ponadto wsparcie radzieckiej brygady najcięższej artylerii, kaliber 302 mm. Coraz bardziej zniecierpliwiony głównodowodzący 1. Frontu Białoruskiego, marsz. Geоргij Żukow, zgodził się też na wykorzystanie brygady artylerii raketowej, tzw. katiusz.

Decydujące znaczenie miały jednak bezpośrednie walki uliczne, które toczyły się w dzień i w nocy. Z 14 na 15 marca oddziały 7. i 14. pułku wkroczyły do twierdzy, z sukcesem spychając Niemców w głąb miasta. „Pomyślne przeprowadzenie nocnego ataku należy do bitewnych majstersztyków. Brak łączności wzrokowej, niemożność śledzenia, co się dzieje z sąsiadem, trudność porozumiewania się, tak koniecznego zwłaszcza przy minimalnej choćby zmianie kierunku, stwarza możliwości wzajemnego postrzelenia. Przeprowadzenie skutecznego ataku nocnego w mieście jest wobec tego supermajstersztykiem”,

Zdobycie Kołobrzegu pozwalało z optymizmem patrzeć na przyszły kształt morskiej granicy Polski.

pisał Alojzy Sroga w książce „Na drodze stał Kołobrzeg”. Dzięki nocnemu wypadowi 15 marca zdołano zająć m.in. ratusz, gdzie – jak się okazało – przebywało kilkuset cywilów, w tym Polacy.

W międzyczasie, w nocy z 11 na 12 marca, część mieszkańców Kołobrzegu została ewakuowana. Dwa promy zaopatrzone rannymi i rodzinami lokalnej elity partyjnej – łącznie ok. 800 osób – przedostały się do portu i dotarły do stojącego na redzie niszczyciela. Stamtąd okręt wyruszył do Świnoujścia, gdzie mimo nalotów wojsk alianckich zdołał wysadzić uciekinierów na ląd. Tym sposobem do upadku miasta Niemcy zdołali ewakuować nawet 70 tys. osób.

Z każdym dniem walk Kołobrzeg zamieniał się w miasto gruzów, co bynajmniej nie osłabiało zapału jego

obrońców. Historyk 18. pułku Juliusz Malczewski zapisał pod datą 15 marca: „O świcie bataliony wraz z grupą ochotników z 15. pułku artylerii przeciwlotniczej podjęły działania zaczepne. Głównymi obiektami natarcia były ratusz i potężny gmach kolegiaty, które blokowały dostęp do dalszych dzielnic miasta. Ulice prowadzące do ratusza i kolegiaty przegradzały liczne barykady, w oknach budynków – gniazda ogniowe. Wiele wypalonych domów leżało w gruzach, inne lada moment groziły zawaleniem. Frontalny atak nie wchodził w rachubę. W tych warunkach natarcie rozwijało się wolno”.

Decydujący szturm rozpoczął się 16 marca. Do ataku zaangażowano znaczną część 1. Armii WP, a także lotnictwo i ostrzał raketowy. Tak ostatnie kilkanaście godzin bitwy o Kołobrzeg opisywał Komornicki: „Pod szalonym naporem załamuje się obrona wroga, który, podpalając opuszczone przez siebie domy, zaczyna się wycofywać. Polskie oddziały nacierają ze wszystkich stron, ale szalejące na przedmieściu pożary opóźniają natarcie. Niemców w tej chwili nie obchodzi, że w gruzy obracają się stare zabytkowe kamieniczki i pełne słowiańskich pamiątek kościoły, że zgromadzona w mieście ludność cywilna, która musiała uchodzić z podpalonych domów, odepchnięta brutalnie z portu, nie ma się już gdzie schronić. (...) Najbardziej zajadłe walczący żołnierze, wstrząśnięci do głębi

brutalnością hitlerowskiego dowództwa wobec własnych obywateli, przerywają na ten widok ogień, aby przepuścić uchodźców przez linię frontu”.

I dalej: „Hitlerowcy bronili się rozpaczliwie. Na ulicach co sto metrów stały barykady, tak że nie można było nacierać czołowo, lecz należało obchodzić je, zdobywając kolejno poszczególne domy. Walka toczyła się z bliska. Były wypadki, że po jednej stronie cienkiej ściany byli nasi, a po drugiej wróg. W takich sytuacjach wiele przeszkód wyrządzały Polakom panzerfausty, które burzyły mury i niespodziewanie raziły strzelców. Lecz i nasze oddziały używały zdobywczych »pięści pancernych«, i to niejednokrotnie z powodzeniem, ponieważ żołnierze dobrze już nauczyli się nimi posługiwać”.

Zaślubiny z morzem

Wieczorem 18 marca Kołobrzeg był już w polskich rękach. Według oficjalnych danych trwające niemal dwa tygodnie walki kosztowały życie

ok. 1 tys. żołnierzy 1. Armii WP. Ponad 2,6 tys. zostało rannych. Po stronie niemieckiej zabitych i rannych naliczono ok. 5 tys., a 4 tys. miało trafić do niewoli. Historycy wskazują jednak, że straty polskie były zapewne wyższe, biorąc pod uwagę długość i skalę toczonych walk.

Tak wielkie poświęcenie polskich żołnierzy nie było daremne. Jeszcze tego samego dnia dokonano symbolicznego aktu zaślubin Polski z Bałtykiem. „Przyszliśmy, morze, po ciężkim i krwawym trudzie. Widzimy, że nie poszedł na marne nasz trud. Przysięgamy, że cię nigdy nie opuścimy. Rzucając pierścień w twe fale, biorę z tobą ślub, ponieważ tyś było i będziesz zawsze nasze”, ogłosił kpr. Franciszek Niewidziajło, stojąc na murze kołobrzesckiego portu. Sama uroczystość miała podniosły charakter – przy dźwiękach „Mazurka Dąbrowskiego” wciągnięto na maszt polską flagę, całosc zaś zwieńczyła msza celebrowana przez kapelana 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta, ks. kpt. Alojzego Dudka.

Równolegle niemal 1,6 tys. km dalej, w Moskwie, 12 salw ze 124 dział uczciło zdobywców Festung Kolberg. Do dziś o polskich zdobywcach Kołobrzegu przypomina tablica na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

„Wyszlismy na samą plażę. Można by pomyśleć, że wymyślili to poeci, pisarze i ludzie z bujną wyobraźnią; i te fotografie, i gdzie piszą, że żołnierze wchodzili do morza, rzucali te obrączki, ale to rzeczywiście prawda”, wspominał w audycji Polskiego Radia jeden z uczestników bitwy o Kołobrzeg.

Zdobycie Kołobrzegu przez żołnierzy 1. Armii WP nie tylko oznaczało przełamanie niemieckiego oporu w strategicznym rejonie, ale także pozwalało z optymizmem patrzeć na przyszły kształt morskiej granicy Polski. Białoczerwona flaga powiewająca nad kołobrzesckim portem stała się symbolem ambicji odbudowującego się państwa i poświęcenia jego żołnierzy. Bałtyk był odtąd również polskim morzem.

Krzysztof Wasilewski

PRZEKAŻ SWÓJ 1% NA KUŹNICĘ!



FUNDACJA KUŹNICA
KRS: 0000300613

kuznica.org.pl

Rozliczając swój PIT
zachęcamy do wskazania
Fundacji Kuźnicy jako
Organizacji Pożytku Publicznego.
Wspomóż nas, to nic nie kosztuje!

Dziękujemy!

- wydajemy "Zdanie"
- wraz ze Stowarzyszeniem Kuźnica przyznajemy nagrodę Kowadła
- organizujemy spotkania z wybitnymi postaciami nauki, kultury, polityki

20 kilo muzyki

Przede wszystkim nie należy rezygnować z raz obranej drogi, mimo trudności

MARCIN WYROSTEK

– akordeonista, popularyzator i menedżer muzyczny



Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Czy ma pan receptę dla młodych muzyków, aby weszli na drogę sławy?

– Nie ma jednej recepty. Każdy musi wymyślić ją sam. Przede wszystkim nie należy rezygnować z raz obranej drogi, mimo trudności. Głównym celem, jaki sobie postawiłem, było jak najwięcej grać. Po studiach szukałem każdej okazji, by występować, angażowałem się do koncertów, na różne wyjazdy, szukałem nowych ofert, sam wysyłałem oferty. Mój rozkład zajęć wyglądał tak, że w dzień albo ćwiczyłem, albo gdzieś grałem, a nocą wysyłałem oferty. Gdy wracałem późno z jakiegoś wyjazdu na festiwal czy konkurs, od razu wymyślałem nowy, siadałem i wysyłałem kolejne oferty. Byłem zaangażowany w czterech zespołach, a następnie doszedł jeszcze jeden w Niemczech, a ja grałem poza tym w teatrze w Gliwicach i Chorzowie, do tego uczyłem w akademii w Katowicach i brałem różne zastępstwa.

Organizowałem i grałem również audycje muzyczne dla dzieciaków.

Ogrom pracy!

– Przez ten czas kierowała mną zarówno refleksja, jak i nadzieja. Po koncercie mojego kolegi w Jeleniej Górze dowiedzieliśmy się, że Wojtek otrzymał propozycję studiów w Hanowerze w Niemczech, co było dla niego wielką szansą, ale chyba nie pojedzie, bo go na to nie stać. I wte-

zespół i już sporo doświadczenia. Gdyby ta wygrana zdarzyła mi się pięć albo dziesięć lat wcześniej, nie umiałbym wykorzystać danej szansy. A teraz nawet ukryte marzenia, by np. wystąpić razem z gwiazdami estrady podziwianymi na festiwalach w Opolu i Sopocie – to wszystko stało się realne. Występowałem już z Marylą Rodowicz, Stanisławem Soyką, Ireną Santor, Bobbym

Zawsze staram się łączyć dwa światy, rozrywkę z klasyką.

dy ktoś ze słuchaczy zaproponował mu stypendium. To był magiczny moment dla niego, a ja pomyślałem, że gdyby coś podobnego zdarzyło się mnie, nie powinienem przegapić takiej szansy.

Co było tym magicznym impulsem?

– Konkurs „Mam Talent!”. Samo zwycięstwo nie przyniosłoby takich owoców, ale gdy się pozbierało to wszystko razem, dołączyło kolejne działania, powstała płyta „Tango Corazon”, miałem pomysł na własny

McFerrinem i Kayah. Towarzyszyły mi znakomite orkiestry ze znanymi dyrygentami. Przede wszystkim nie należy rezygnować z raz obranej drogi, mimo trudności.

Teraz szykuje się pan do wielkiej gali w związku z 20-leciem pracy artystycznej i 15-leciem zespołu. Czy to nie za wcześnie na takie uroczystości? Zwykle artystom organizuje się poważne jubileusze na 40- albo 50-lecie pracy scenicznej.

– Intuicyjnie uznałem, że jest okazja zaprosić przyjaciół, którzy ze mną występują, i spojrzeć na drogę, którą przeszedłem. To już pewnie 30 lat od momentu, gdy jako sześciolatek pierwszy raz dostałem akordeon do ręki. Za mną długi proces, najpierw rodzinne muzykowanie ze słuchu z tatą, potem szkoła muzyczna, później studia w prestiżowej i legendarnej Akademii Muzycznej w Katowicach. Żartuję sobie, ale nie wiem, czy po 50 latach pracy będę jeszcze

Najczęściej widzi się dwa typy akordeonów: z klawiszami dla lewej ręki i z guzickami.

– Na klawiszowych zaczynałem naukę, ale mój nauczyciel w szkole muzycznej, Wiktor Oleszkiewicz, który przybył do nas z Białorusi, miał instrument guzikowy. Teraz ja też gram na takim, bo daje wykonawcy większe możliwości. Mogę prawą ręką ogarnąć niemal trzy oktawy, a na klawiszowym w zasadzie tylko trochę ponad jedną.

O kujawiaku Olga Tokarczuk powiedziała, że to takie polskie fado, nasz smutek i płacz.

w stanie dźwigać ten instrument, który waży 20 kilo, a teraz cieszę się, że powstała grupa muzyków, z którą odniosłem sukces. I stało się to w dużej mierze spontanicznie, bez organizowania castingów, trochę nieświadomie. Jest więc okazja zebrać wszystkich, z którymi miałem przyjemność występować, i zagrać koncerty w maju i czerwcu, w najlepszych salach, z orkiestrami, w Warszawie, w Katowicach i w Chicago. Będzie też „Dźwiękogród” – koncerty dla dzieci w Warszawie i Katowicach. **Jak ocenia pan poziom polskiej akordeonistyki? W ostatnich latach dało o sobie znać wielu znakomitych artystów, a np. rektorem Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina jest akordeonista Klaudiusz Baran.**

– Poziom jest bardzo wysoki i, co ważne, ta specjalność wciąż ciekawie się rozwija. Może nie staliśmy się jeszcze akordeonową potęgą, zresztą instrument jest właściwie niszowy, ale bardzo do przodu posuwa się np. technika grania. Najważniejsza jest jednak sama muzyka. Daleki jestem od układania jakichś rankingów i wystawiania ocen, choć zdobyte na różnych konkursach punkty dają z pewnością silną motywację do pracy. Akordeon ma coraz mocniejszą pozycję nie tylko w Polsce, ale i we Francji, w Skandynawii, na Bałkanach, w USA, w Brazylii. A widziałem także występ akordeonisty z Nowej Zelandii, który grał i zarazem wykonywał taniec tubylczych plemion. To już instrument znany w najdalszych zakątkach świata.

Ogromnie ciekawą i nowatorską formę przyjmują pańskie koncerty specjalnie dla dzieci. Zapoznaje pan młodą widownię z historią akordeonu i przez zabawę wprowadza w tajniki muzyki. Pojawiają się motywy z popularnych bajek, a nawet jest zachęta do występowania na scenie, współtworzenia koncertu i rozwiązywania zagadek.

– Dzieci to najbardziej wymagająca publiczność, bo reagują spontanicznie i nie czują obaw przed pokazaniem, że coś się nie podoba. Jak je przekonać do magicznej roli dźwięków? Opieram się na doświadczeniu zdobytym podczas licznych koncertów dla szkół. Chowam się np. za sceną i pytam, w jaki sposób powstały

że było fajnie, i chciał przyjść do sali koncertowej jeszcze raz, posłuchać nawet Bacha czy Mozarta. By wyzbyć się strachu, że to zbyt trudne.

Literatura muzyczna na akordeon nie jest zbyt obfita, artyści grają często transkrypcje, improwizują na różne tematy. Ale dla pana także specjalnie komponują, np. Piotr Moss.

– Gramy rozmaite utwory. Są transkrypcje dzieł orkiestrowych i repertuar typowo akordeonowy, sięgamy po piosenki popowe i repertuar całkiem rozrywkowy. Większość utworów jest przeze mnie aranżowana, chcę grać po swojemu, a nie powtarzać coś, co już ktoś wymyślił i było grane setki razy. Na koncercie jest dużo improwizacji, by ta muzyka była żywa. W zespole mamy bas, gitarę i skrzypce, jest perkusja, ale uderzana wyłącznie dłońmi, jest fortepian i wokal. Czasami chodzi tylko o klimat danego utworu, o jakąś sytuację, która wydarzyła się w przeszłości. Tak jest ze wzruszającą piosenką „Ta ostatnia niedziela”, która kiedyś uratowała życie klezmerowi Leopoldowi Kozłowskiemu. Czasem gramy coś na zamówienie, jak na benefisie znanego kardiochirurga prof. Mariana Zembała, który też grał na akordeonie i prosił o „Czardasza” Vittoria Montiego, a czasem coś z repertuaru ludowego, np. kujawiaka, o którym noblistka Olga Tokarczuk powiedziała, że to takie polskie fado, nasz smutek i płacz.

Głównym celem, jaki sobie postawiłem, było jak najwięcej grać.

zagrane dźwięki. Padają różne odpowiedzi, że np. trzeba dolać paliwa albo zmienić baterie. Albo gramy melodię z jakiejś popularnej bajki.

A jakie bajki dla dzieci są teraz najbardziej znane?

– To się ciągle zmienia. Kiedyś był „Bolek i Lolek”, potem „Masza i niedźwiedź”, „Tomek i przyjaciele”. Wiele melodii pochodzi z filmów Disneya, takich jak „Mała Syrenka”, „Kraina Lodu”. Nasz wokalista Marcin Jajkiewicz, który dubbingował wiele piosenek w polskich wersjach filmów, potrafi genialnie naśladować różne głosy, m.in. kraba Sebastiana czy bałwanka Olafa. Celem naszych koncertów dla dzieci jest to, by po zakończeniu słuchacz powiedział,

Jaki instrument ma najbardziej podobne brzmienie do akordeonu?

– Myślę, że najbliższy jest klarnet. Gdy akordeon gra z orkiestrą symfoniczną, powinien być wzmocniony, bo gdy chce się na nim grać zbyt głośno, dźwięk przestaje być ładny. Nigdy nie słyszałem koncertów akordeonu z organami, może dlatego, że podobieństwo jest zbyt duże. Ale to jakiś pomysł na eksperyment.

Jaki przebój jest waszą wizytówką?

– „Libertango” Astora Piazzolli, z jednej strony, a z drugiej „Zima” Antonia Vivaldiego. 90% granego przez nas repertuaru to nasze kompozycje lub własne aranżacje. I zawsze staram się łączyć dwa światy, rozrywkę z klasyką. ■

Jeleń muru nie przeskoczy

Bez kultury, literatury, poezji
nie ma ludzi, są ssaki



Małgorzata Kąkiel

Sztambuchy wyszły z mody, komu tu powiedzieć wzorem Słowackiego: „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi”? Niemiała część z nas po raz ostatni miała do czynienia z wierszem w szkole, bo potem górę wzięła proza życia. Jednak poezja wciąż istnieje. Co prawda, Wisława Szymborska w swojej mowie noblowskiej zauważyła, że poeta „z niechęcią oświadcza publicznie, że jest poetą, jakby się tego trochę wstydził”, lecz po cichu czy głośno ludzie wiersze piszą.

Tomików poetyckich ukazuje się w ciągu roku niemało. Owszem, mają niskie nakłady, zwykle nie rzucają się w czytelnicze oczy, ponieważ są chude i niewiele miejsca zajmują na księgarskich półkach. Nie doczekują się dużych recenzji w popularnych gazetach – pod tym względem proza ma się zresztą niewiele lepiej – ale w pismach niszowych, w zakątkach internetu mają się o wiele lepiej. Kto po nie sięga? Badań się nie prowadzi – zapewne ludzie z literackiego środowiska, ale też ci, którzy są ciekawi innego spojrzenia na świat – przedstawionego w zaskakującym błysku skojarzenia, urody słowa.

„Piszę grochem o ścianę nie czytają / piszę głosem wołającego na puszczy nie słuchają / piszę palcem na wodzie nawet nie spojrzają / nie otwierają ust nie mrugną okiem” – to Urszula Kozioł, wielka dama polskiej poezji, w ubiegłym roku uhonorowana tytułem Człowieka Słowa, nagrodą przyznawaną w Szczepieszynie, Stolicy Języka Polskiego. Cytat to fragment wiersza „Z przeinaczeń”, pochodzącego z wydanego jesienią zbioru „Znikopis”. Jego główny temat to upływ czasu, odchodzenie, powol-

ne zanikanie, samotność: „Moi umarli żyli się ze sobą / ja do niczego już im nie jestem potrzebna” („Okno”); „Nikogutko samiutka a do śmierci bliżutko” („Moje sylwestry”). Refleksje związane z drugą częścią życia są także tematem zbioru „Urwisko” (2019 r.) Adama Wagi (Klemensa Górskiego): „Zatrzymałem się / między życiem a śmiercią. // Co wybrałem? / Chorobę. / Wiem, że jeszcze żyję / i że umrę później” („Marna chytryść”).

Powroty

To nie jest epatowanie smutkiem – dojrzałsi życiowo poeci patrzą na świat z innej perspektywy. Ale i w twórczości młodszych poetów bogato prezentuje się nurt wspomnieniowy, refleksja nad przeszłością, wyłaniającymi się z niej osobami, miejscami związanymi z dzieciństwem. Piotr Szewc np. często wraca do podzamojskiej wsi: „Czas ruszył do tyłu czarny dom świeci w ciemności jak okopcona lampa / pory roku wypadły z kalendarza nim się lato skończyło sypanął śnieg / dziadek potrząsa jabłonią pod nogi lecą szyszki żółędzie kasztany / różowe sopte lodu dzwonią o świcie mają waniliowy i cytrynowy smak / sny bracia nietoperzy przelatują nad Czołkami na kominie Kawów usiadł puszczyk” („Sny nad Czołkami” z tomu „Światło”, 2017 r.). U Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego wciąż żyje pogranicze polsko-ukraińskie języków i kultur (okolice Przemysła), trudna historia dotykająca mieszkających tam ludzi. Dodajmy, że to niejedyna tematyka utworów tego interesującego twórcy – są jeszcze, w największym skrócie, choroba, śmierć, tożsamość seksualna, przyjazna prowincja, gry językowe. Katarzyna

Zechenter też wraca do piętna, jakie odcisnęła tragiczna historia. „Matka budzi się i krzyczy / »Ne rezati« czy coś takiego / budzę się i ja / (...) / więc zapisuję ten strach sprzed lat / strach który skrzętnie chowała / przez pół wieku” („Matka umiera”). Małgorzata Lebda tworzy z kolei pełne urody i prostoty obrazy beskidzkiej wsi, w której dorastała. Tyle że ta prostota podbita bywa baśniowością, wrażliwością na przyrodę, ważną rolę odgrywa tu również postać ojca – kreatora i przewodnika po świecie.

„Kraj lat dzieciennych”, natura, zwracanie uwagi na szczegóły to częste motywy polskiej poezji współczesnej. Przywołałam tu jeszcze Łukasza Jarosza – wielokrotnie nagradzanego, często tłumaczonego poetę (i muzyka), żyjącego pod Olkuszem, dla którego równie ważna jak człowiek jest naznaczonego jego obecnością natura, a drobny element świata łączy się z uogólnieniem. „Rozłożeni nad strumykiem jedliśmy ogórki, tłuste, / smaczne zwierzęta, nasza krew namnażała się jak wirusy / i gwiazdy. Dziadek często wał ojca papierosami, wiatr tasował / ciemny papier jego skóry, kiedy podawał mi chleb” („Klasztor”).

Niezgoda

Skąd się biorą wiersze? Z talentu twórców oczywiście, ale także z pracy, inspiracji. W Kotlinie Kłodzkiej, w Siennej i w Stroniu Śląskim, odbywają się organizowane przez wydawnictwo Biuro Literackie festiwale Stacja Literatura (od 2000 r. nosiły nazwę Port Literacki), na których spotykają się twórcy z całego świata. Oprócz tej wymiany doświadczeń i myśli oraz prezentacji utworów wydawca organizuje warsztaty pisania. W ubiegłym roku na Stacji Literatura

w Stroniu Śląskim przywołano słowa amerykańskiej poetki i wokalistki Patti Smith: „Nie gódź się z bliskiego niedolą, nie gódź się z bliźniego niedowładem (...) wyciągnij dłoń”. Kiedy więc potem zorganizowano narodowe pisanie wierszy i opowiadań, zaczęły powstawać teksty wyrażające niezgodę na świat, w którym jest tyle wykluczonych i prześladowanych grup, mniejszości. To zaczyn, inspiracja do powstawania coraz lepszych artystycznie utworów zaangażowanych w poprawę rzeczywistości.

„No bo kim, na miłość boską, tak naprawdę jestem, / (...) / Kiedy na wszystkich ekranach globu / w tym samym błysku eksplodują wieżowce World Trade Center, / Kończy się historia i zaczyna pocztowiecza era” –

„Kraj lat dziecinnych”, natura, zwracanie uwagi na szczegóły to częste motywy polskiej poezji współczesnej.

pisał Janusz Szuber w wierszu „Spiskowcy z sanockich gór”. Człowiek musi bronić w sobie tego, co indywidualne, musi się chronić przed ogólnym – nieraz podkreślał poeta – nie może jednak odizolować się od świata i utonąć w jego chaosie. Chociaż trzeba przyznać, że zaangażowanie w sprawę jakiegokolwiek zbiorowości świata, w jego – czyli nasze – problemy, w polskiej poezji współczesnej wygląda mizernie. I nie o poetyckie agitki, manifesty chodzi, ale o szerszą refleksję (Jarosław Mikołajewski poświęca nieco poetyckiej uwagi migrantom na pontonach). Może jednak jestem niesprawiedliwa, nie znam całej twórczości żyjących poetów, piszę o tym, co dominuje. Nie jest to też zarzut – liryka wszak silnie wiąże się z indywidualizmem. Kto wie, czy ten nurt wspomnieniowo-historyczny nie wyraża właśnie szerokiego poglądu na świat? Bardziej lub mniej świadomego przeświadczenia, że na naszych oczach kończy się coś, co stanowiło wielką wartość: piękno przyrody, prostota, spokój, bliskie relacje między ludźmi. I że tamten świat trzeba „ocalić od zapomnienia”.

Obok nas

A jeśli chodzi o wartości uniwersalne – tych poezja zawsze dobrze broni. Oto wiersz Katarzyny Zechenter: „Pomiędzy wysokim murem /

a ulicą / z sześcioma pasami ruchu / na skrawku wyschłej ziemi / pod suchym drzewem / stoi jeleń / w samym centrum New Delhi. / Oddycha brudem / je brud / śpi w brudzie / pije brud. / Jeleń nilgau w mieście Delhi / stoi i patrzy / na zachwyconych turystów / robiących mu zdjęcia, / na samochody, / na mur” („Jeleń nilgau w mieście Delhi”). Nikt nie pyta jelenia, jak chce żyć i czy bywa szczęśliwy. Jeleń to tylko jeleń? Można to zrozumieć, prawda? Warto czytać poezję. Porusza, budzi emocje, skłania do przemyśleń.

Tomiki wierszy wydają różne wydawnictwa, ale szczególną uwagę poświęcają liryce wspomniane już Biuro Literackie, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum

Gałczyńskiego (najlepszy tom roku otrzymuje Orfeusza), Nagroda Literacka Nike, Warszawska Nagroda Literacka, Nagroda Literacka Gdynia, Ogólnopolski Konkurs Literacki „Złoty Środek Poezji”.

Nasi poeci mogą się pochwalić dużą liczbą tłumaczeń – na wszystkie języki europejskie oraz język chiński (np. Krystyna Dąbrowska). Liczne przekłady ma każdy z przywołanych już twórców, a także ci, o których nie wspominałam, choć z całą pewnością należą do poetyckiej elity: Przemysław Dakowicz, Robert Honet, Jakub Kornhauser, Jerzy Kronhold, Ewa Lipska, Anna Piwkowska, Marta Podgórnica, Jacek Podsiadło, Maciej Robert, Tomasz Różycki, Marcin Sendek, Krzysztof Siwczyk, Agnieszka Wolny-Hamkało. Wszystkich jeszcze nie wymieniłam, ale ten tekst nie ma charakteru rozprawy naukowej, jego zadaniem jest przypomnienie poezji – że ciągle jest obok nas, a niechby była i z nami. I niech dobrze jej się wiedzie, czego wypada życzyć szczególnie z okazji Światowego Dnia Poezji. UNESCO, obwołując 21 marca tym świętem, chciało „dać nowy impuls, aby docenić poezję oraz poprzez krajowe, regionalne i międzynarodowe ruchy poetyckie”. Pamiętajmy: bez kultury, literatury, poezji nie ma ludzi, są ssaki – też nieźle, ale czemu ma nie być lepiej? ■

Animacji Kultury (WBPiCAK) w Poznaniu, oddziały Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo a5. Ważną rolę w promocji poezji, dowartościowaniu twórców odgrywają również nagrody. Jest ich niemało: Nagroda Poetycka im. Wiśławy Szymborskiej, Nagroda im. Adama Włodka, Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius, Nagroda Poetycka im. Konstantego Ildefonsa

Polecamy książkę niezwykłą
Monografia Sławomira W. Malinowskiego
Telewizja Dziewcząt i Chłopców (1957-1993)
Historia niczym bań z innego świata to książka niezwykła. Mimo że jej tytuł sugeruje kronikarskie opracowanie na temat jednej z redakcji polskiej telewizji publicznej, to w rzeczywistości jest to opowieść (auto) biograficzna. Prowadząc się fragmentami wywiadów, publikacji oraz dokumentów związanych z programami telewizyjnymi i audycjami radiowymi, autor przedstawił sfekocność, w których działał i doświadczenia nikt nie miał. *Telewizja Dziewcząt i Chłopców (TTDC)* wtopiła się w ten sposób doświadczenia i nikt nie miał takich doświadczeń, podziwianych w miarę swoich ataków. [...]

Telewizja Dziewcząt i Chłopców (1957-1993)
Historia niczym bań z innego świata

Książkę polecają:

Dział handlowy
ul. Felińska 15B, 51-011 Kraków
tel. (071) 412-41-40, 601-607-779
e-mail: impuls@impulsocienna.com.pl
www.impulsocienna.com.pl

Wydawcą dystrybutor: Oficyna Wydawnicza „Impuls”

Michał Kuzborski
Paradoks kłamcy
Black Turtle, Wrocław 2020

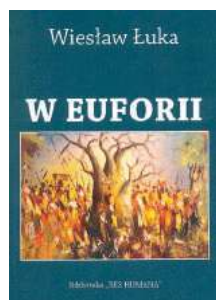


Bohater, niejaki mecenas Żabota, określił książkę jako „takie kryminałochujwiewo”. A ja lubię tego rodzaju eklektyzm, oryginalność, debiuty, które nie trafiają do mainstreamu. „Paradoks kłamcy” łączy w sobie kryminał, powieść obyczajową i analizę mrocznego życia metropolii. Mamy tutaj świat brudnego PR i gangstersko-policyjny półświat, stracone miłości i gorzkie refleksje na temat trywialnej codzienności. Banalny temat ujęty został jednak wyrazistym językiem. Wprawdzie niektóre żarty są czerstwe jak filmy Vegi, a dialogi wyjęte z internetowych konwersacji, ale całość jest sprawnie napisaną literaturą rozrywkową. Samopublikowane kryminały bardzo rzadko trafiają na łamy recenzyjne. Kuzborskiemu się udało, ale niech to będzie wskazówka, że poza wielkimi wydawnictwami również trafia się coś ciekawego. Dla fanów gatunku może być to ciekawa alternatywa wobec produktów Bondy czy Mroza.

Rafał Piłkuła

Wiesław Łuka
W euforii

Biblioteka RES HUMANA, Warszawa 2020



Zbiór prac dziennikarskich znanego reportażysty zawiera teksty ukierunkowane na uzależnienia. Autor nie przebiera w słowach, opisując ludzkie zmyślenia, powody wielu życiowych tragedii. Tytuł jednego z rozdziałów brzmi: „Chłali, ćpali i umierali”. Uzależnienia oczywiście można leczyć, można z nimi skutecznie walczyć. W książce poważne miejsca zajmują rozmowy ze znakomitymi terapeutami, Bohdanem Woronowiczem czy Barbarą Tokarską, w których także zawarty jest wstrząsający materiał faktograficzny. Autor poszukuje rozmówców również wśród osób, które w nałogu były i się z niego wyzwoliły. Jako świadkowie „balansowania nad przepaścią” występują tu nawet studenci, uczestnicy zajęć, które red. Łuka prowadzi na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. To relacje całkiem świeże – dowód, że zagrożenie ciężkimi nałogami wciąż jest dramatycznie aktualne.

Bronisław Tumiłowicz

WESTWORLD 3

W najnowszym, ośmiuodcinkowym sezonie „Westworld”, mrocznego serialu o narodzinach sztucznej inteligencji, występują dobrze znani: Evan Rachel Wood jako Dolores, Thandie Newton jako Maeve, Ed Harris jako Człowiek w Czerni. Ale też m.in. Vincent Cassel i John Gallagher Jr. Pierwsze dwa sezony „Westworld” otrzymały aż 42 nominacje do nagród Emmy. 20 nominacji dla drugiego sezonu zaowocowało trzema statuetkami, w tym dla Thandie Newton. Autorami są Jonathan Nolan i Lisa Joy.

HBO I HBO GO, OD 16 MARCA



ZASŁUCHAJ SIĘ

Janek Pęczak

Jestem

Serce Muzy

W niemal publicystycznym tekście piosenki „Chcę słyszeć serce muzy” Janek Pęczak pyta: „Dlaczego tak wielu łyka muzy, do której fajnie tupie się”, ale przecież i jego granie wywołuje spontaniczny odzew, człowiek poddaje się gitarowym akordom (co zapewne jest również efektem stroju 432 Hz, na który, jak zwraca uwagę pianista Leszek Możdżer, ciało reaguje bardziej naturalnie). Ma się ochotę głębiej odetchnąć, opuścić szybkę w aucie albo w wagonie i poczuć na skórze pęd powietrza, zwłaszcza gdy słucha się otwierającego autorski album Pęczaka „Płynę” albo „Szedłem do ciebie” – bo to mogliby być idealni towarzysze podróży. Gitarzysta T.Love, który występuje teraz pod własnym nazwiskiem, odkrywa przed nami swoje uczucia i widzenie świata w muzyce bardzo szczerej, swobodnej, opartej na gitarach akustycznych, z elementami folk rocka. A choć ten świat bywa mialki i skażony hejtem, o odtrutkę wcale nie tak trudno – wystarczy sięgnąć po „Jestem”.

Aleksandra Pańko





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Jak przespać zarazę

Ojciec uwielbiał drzemać, z czasem uzależnił się od spania w ciągu dnia. Im był starszy, tym więcej dnia przesypiał, co nie przeszkadzało mu dobrze spać także w nocy. Nie, nie chodzi mi o ostatni etap życia, który spędził na leżąc, wybudzany tylko do posiłków – rozumiałe, że postanowił wykpić nadchodzącą śmierć, przesypiając nie tylko własną agonię, ale i przecucie zbliżającego się końca. Sen był jego lekarstwem na śmiertelny strach. Tak to sobie zaplanował i tak się stało; kostucha musiała u jego wezgłowia znaleźć karteczkę z napisem: „Rób swoje, tylko mnie nie budź”. Umarł we śnie. Ale ojciec zdrowy też spać lubił, zrobił ze snu swoją emigrację wewnętrzną, drzemka poobiednia była dla niego obyczajem śródziemnomorskim, który wynosił go ponad polską szarzyznę, ponad nadwiślański wieczny listopad. Nadchodził czas sjesty i można było trawić na wznak.

Mama, kompulsywnie robotna, nie umiała odpoczywać inaczej, niż pracując, krzając się, z pedanterią sprząając po nas, no tak, to niestety miała wyuczone. Nawet gdybyśmy chcieli jej pomóc, przepędzała nas, bo my nie umiemy sprzątać, nie wiemy, gdzie co stało, przestawimy jej i tym samym naruszamy tektorykę scenografii domowej. Przynajmniej jedna osoba w domu powinna zawsze wiedzieć, gdzie co jest, i w naszym domu była nią moja matka, to ją pytaliśmy z nadzieją w głosie: „Nie wiesz może, gdzie jest mój/moja/moje...?”. I zawsze wiedziała. Ojciec najczęściej pytał o pantofle, a kiedy już się odnalazły, odczłapywał w nich w stronę swojego ulubionego tapczanu, aby zaznać rozkoszy drzemki.

Zdaje się zresztą, że sen cenił sobie nade wszystko także za młodo, bo wedle wspomnień mamy, kiedy poczuła, że nieodparcie pcham się na świat około szóstej rano, tata obrócił się na drugi bok i powiedział jej: „Kochanie, spróbuj zasnąć”. Dopiero gdy jej wody odeszły, zerwał się, żeby ją zawieźć do szpitala – wszak mokre prześcieradło to nie materac wodny. Jestem pewien, że – gdyby dożył w zdrowiu pandemii – ojciec ją też wzięłby na przespanie. Był czerstwym egotykiem, dzięki czemu stres o zdrowie najbliższych go omijał – skądinąd jako jedyny żywiciel rodziny miał prawo troskać się nade wszystko o własne zdrowie. Nadopiekuńczość matki także z czasem okazała się wynikać z jej nerwicy i hipochondrii – bała się nie tyle o nas, ile o to, że jej serce pęknie, kiedy nas zabraknie.

Z takiego dziedzictwa genetycznego zrodziłem się ja – empatyczny egocentryk, wierzący agnostyk, stoik so-wizdrzał. Martwię się o bliskich, ale ani na zapas, ani na wyrast. Nagle wyszło na moje: zarabiam na śmieciówkach pisanie tekstów do różnych źródeł, dni spędzam najchętniej na leżąc, zanurzając się w lekturze, więc ani utrata pracy, ani dojmująca zmiana trybu życia mi nie grożą. Oszczędności żadnych nie zdobyłem, więc i krach mi niegroźny – nie mam majątku do stracenia. Dla dzieci ten straszny wirus jest ponoć łaskawy, więc martwię się tym mniej – one przeżyją, ja w razie czego już się nażyłem za trzech. Na co dzień doskwiera mi tyle dolegliwości od stóp (brak palca i deformacja po ranie zmiążdzeniowej) do głów (nadcisnienie tętnicze, przewlekłe zapalenie zatok i – *last but not least* – umiarkowany, ale zawsze pierdolec), że jeszcze jeden dopust boży mnie aż tak nie rusza. Na wygłasyne oskarżycielskim tonem pytanie Żony: „Jak możesz spać spokojnie w obecnej sytuacji?!” odpowiadam, że niewyspany człowiek jest bardziej podatny na zaraże-

Skoro nie ma szczepionki ani lekarstwa, czarny humor wydaje się jedyną sensowną odpowiedzią na czarną śmierć.

nie, bo bezsenność osłabia organizm. Stres jest cichym zabójcą, po cóż więc ułatwiać zadanie zarazie? Coś mi zresztą mówi, że apokaliptyczny wykup papieru toaletowego jest podyktowany nerwicową reakcją jednostek jelitarnych – naród w panice dostaje biegunki, ja się temu nie dziwię. Chyba że to postpeerelowski atawizm – kiedyś po raz ostatni mieli stan wyjątkowy, a nawet wojenny, naszyjniki ze zdobycznych rolek papieru toaletowego dawały poczucie bezpieczeństwa w czasie marnym. Jeśli i tak wszyscy mamy przesrane, dobrze chociaż mieć czym się wytrzeć.

Wprost proporcjonalnie do liczby ujawnionych zarażeń rośnie we mnie przemożna głupawka – skoro nie ma szczepionki ani lekarstwa, czarny humor wydaje się jedyną sensowną odpowiedzią na czarną śmierć. Jak powiada Schopenhauer w moim ulubionym memie ostatnich dni: „Za rok będziemy się śmiać z tego wirusa. Oczywiście nie wszyscy”. Dobranoc.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Menora już się nie pali

Nie wiedziałam, że brat mojego pradziadka zabijał Żydów w Wąsoszu.
Teraz już wszystko wiem, i się boję

Miroslaw Tryczyk

Sprężyna

W Wąsoszu rządili ks. proboszcz Piotr Krysiak i jego następca ks. Antoni Kuklewicz. Oni i wielu mieszkańców byli zwolennikami Stronnictwa Narodowego. Pogardy dla Żydów uczyły wąsoszan plakaty, gazety czytane na głos w świetlicy wiejskiej i przed mszami w kościele, a partie endeckie w całym powiecie regularnie wygrywały wybory.

Tak jak w nieodległym Radziłowie czy Jedwabnem członkowie narodówki atakowali przed wojną swoich żydowskich sąsiadów, organizowali we wsi bojkot żydowskich sklepów, wybijali szyby w żydowskich domach, bili Żydów na ulicach.

Doktor Szymon Datner tak pisał w 1946 r. o pogromie w Wąsoszu:

Małe miasteczko Wonsocz albo Wonsosz, powiat Grajewo, liczyło przed wojną 800 Żydów. Ciche to miasteczko padło jako jedno z pierwszych ofiarą zwierzęcych, krwiożerczych instynktów pseudoludzi. Wkrótce po zajęciu miasteczka przez Niemców została utworzona polska policja pomocnicza. Życie ich stało się teraz piekłem. Niemieccy ludożercy wraz z polskimi chuliganami stali się częstymi gośćmi w domach żydowskich. Niemcy terroryzowali, a chuligani bili i rabowali. W obecności Żydów zwykli byli chuligani „mędrkować” i pytali Niemców, co grozi za zabicie Żyda? Odpowiedź była, że można „spokojnie” mordować. Jeszcze straszliwsze były noce, kiedy to potwory-zwierzęta zwykli byli wdierać się do żydowskich domów, katować ludzi i rabować ich dobytek.

Po tygodniu Niemcy wyjechali, relacjonował Datner, pozostawiając „swoim miejscowym sprzymierzeńcom błogostawieństwo”. Na początku lipca 1941 r. polska policja razem z miejscowymi wdarała się do żydowskich domów. Mordowano Żydów

w mieszkaniach i na ulicach, kobiety gwałcono, obcinano im piersi, małe dzieci zabijano, uderzając nimi o ścianę, trupom obcinano palce ze złotymi pierścionkami, wyrrywano złote zęby. Zawsze najpierw gładzono dzieci, a potem rodziców. Zamordowano również kilku sowieckich urzędników i kilka żon radzieckich oficerów, którzy nie zdążyli się ewakuować. Rzeź trwała trzy dni. Przy życiu pozostało 15 Żydów. Nie pozwolili ich zabić Niemcy.

Zwłoki ok. 1,2 tys. Żydów z Wąsosza i okolic zostały pogrzebane koło kolonii, w pobliżu wsi. Datner pisał, że w tym czasie z okolicznych powiatów, szczuczyńskiego i grajewskiego, z Tykocina, z Wasilkowa dochodziły „wieści o potwornych, masowych mordach dokonywanych na ludności żydowskiej za aprobatą niemiecką przez miejscową czarną reakcję i chuliganerie”.

W 1951 r. w czasie śledztwa w sprawie pogromu Stanisław Dardziński, mieszkaniec Wąsosza, opowiedział śledczemu, że w niedzielę, w czasie zabijania Żydów, umówił się wieczorem z dwoma kolegami na wódkę. Poszli we trzech na ryneček i usłyszeli krzyk dobiegający z budynku przedwojennego urzędu. Wyszedł z niego Jan Kozłowski z pistoletem w ręku. Podszedł i powiedział, że muszą mu pomóc „zagnać kilku Żydków do okopów w stronę wsi” Niećkowo.

Pogardy dla Żydów uczyły wąsoszan plakaty, gazety czytane na głos w świetlicy wiejskiej i przed mszami w kościele.

Gdy odmówili, Kozłowski uderzył Dardzińskiego w twarz i pod groźbą pistoletu kazał iść ze sobą. Podszedł też do nich Bolesław Komosiński. Miał na ramieniu siekiere zbroczoną krwią. Na gwizd Kozłowskiego z budynku gminy wypędzono trzy rodziny żydowskie, które Dardziński do brze znał: sklepikarza Hillela z żoną i dwojgiem dzieci, Ekstowicza z kuliwą żoną i 11-letnią wychowanką oraz rodzinę Mośków.

Szli środkiem ulicy. Kozłowski z tyłu, Komosiński z prawej. Hillelowa zaczęła prosić Dardzińskiego, by oszczędzili jej dzieci, a wtedy idący z nimi Józef Leszczewski uderzył kobietę w twarz i kazał jej zamilknąć.

Za Wąsoszem były rowy przeciwczołgowe zbudowane przez Rosjan. Stali tam ludzie, którzy zasypywali wcześniej tego samego dnia pomordowanych Żydów.

Stanisław Dardziński opowiedział śledczemu, co widział na własne oczy:

Jakubowski Antoni kazał się wszystkim Żydkom kłaść na ziemi, przy tym jedna osoba kładła się głową w jedną stronę, a druga w przeciwną. Następnie Jakubowski Antoni bił po głowach tych ludzi posiadanym narzędziem. Była to sprężyna, na końcu której miał umocowany odważnik wagowy. Czy wszystkich uderzył chociaż po raz, w to wątpię, bo robił to błyskawicznie, a następnie krzyknął do stojących opodal ludzi: „Kurwa go mać, zasypywać!”.

Warszawa nie zna życia!

Małgorzata, drobna blondynka, urodziła się i wychowała w Grajewie, potem skończyła studia i pracuje na jednej z warszawskich uczelni. Poznałam ją w Warszawie, gdy szukałam krewnych Jana Skrodzkiego.

Ktoś mi powiedział, że zna dziewczynę z Grajewa, która może coś o nich wiedzieć. Napisałam do niej i tak zaczęła się nasza znajomość.

W Grajewie w 1941 r. doszło do mordów, ale akty przemocy zdarzały się na długo przed wojną. Donosiła o tym przedwojenna prasa:

Łomżyński sąd okręgowy rozpatrywał na sesji wyjazdowej w Grajewie sprawę byłych członków Obozu Wielkiej



Pomnik upamiętniający Żydów pomordowanych w Wąsoszu w lipcu 1941 r.

Polski, oskarżonych o udział w ekscesach 20 marca br. w Grajewie. Podczas defilady w dniu 19 marca rzucili się oni wraz z innymi na chorążego, biorącego udział w defiladzie, złożonego z 18 ludzi, oddziału żydowskiego przysposobienia obronnego Trumpeldor, zniszczyli sztandar i członków oddziału zaczęli bić. Ci rozbiegli się, rzucając karabiny, które pozbiierali funkcjonariusze Policji Polskiej. Ekscesy wyraziły się następnie wybiciem szyb w wielu domach żydowskich.

Brat pradziadka Małgorzaty ze strony ojca, Bolesław, pochodził z Wąsosza. Gdy jej powiedziałem, co robił w czasie wojny, była w szoku. Podobnie jej ojciec, gdy go o to pytała. W jej rodzinie wiadano tylko, że Bolek miał okropną żonę, której nikt nie lubił.

– Nie ujawniaj mojego nazwiska – prosi. – To małe miasteczko, wszyscy wszystkich znają, a ja próbuję tam siać nasiona Dobrej Nowiny, mówić o tolerancji wobec Żydów, ale pokolenie moich dziadków w ogóle nie chce o tym rozmawiać. Mają swoje przekonania w tym temacie i zawsze mi mówią: „Jesteś młoda, pojechałaś do Warszawy i teraz przyjeżdżasz nas pouczać”. Dziadkowie żyli w Wąsoszu, po wojnie wyjechali do Grajewa, tam chodziłam do szkoły. Potem wyjechałam do liceum w Białymstoku, potem studia i Warszawa.

W szkole w Grajewie nigdy na lekcjach nie pojawiał się temat żydowski, za to dziesięć razy przerabialiśmy starożytny Rzym. Pierwsza wojna światowa przypadła na ostatnią klasę gimnazjum, a drugiej porządnie nie przerobiłam przez całą edukację, nawet w liceum. Nie pamiętam ze szkoły jakiegokolwiek rozmowy o Żydach albo o mniejszościach na naszych terenach. Dla znajomych chrześcijaństwo równało się katolicyzm, nie wiedzieli, że istnieją choćby prawosławni, którzy nie byli dla nich chrześcijanami. Co dopiero Żydzi albo pogromy! W kościele też cisza. (...)

Na początku lipca 1941 r. polska policja z miejscowymi wdarła się do żydowskich domów.

Ostatnio poprosiłam tatę: „Chodź, pojedziemy do Bogusz, bo w sumie nie pamiętam...”. Miał tam być pierwszy raz w życiu, ale wysiadł z samochodu i się przestraszył. Bo na tablicy było napisane, że w tym miejscu zginęło 12,5 tys. Polaków, Żydów, Francuzów. Jak spojrzął na to, pomyślał, że błąd, że powinno być dziesięć razy mniej. Nie wiedział. Ja też nie. Nikt mu nie opowiadał tej historii, a historią się interesuje, tylko o swoim regionie nie wie nic. To mnie zdziwiło. Był przejęty.

Wiem od taty, że pod osiedlem Broniewskiego w Grajewie był cmentarz żydowski, że w latach 60. zrównali go z ziemią, a z macew zrobili fundamenty bloków. Krąży po Grajewie historia, że tam straszy, nikt nie chce kupować tam mieszkania. Ludzie żyją swoim życiem, nikt się tym nie interesuje. Chyba że się pamięć poruszy, np. gdy zaczynam rozmawiać z bliskimi i dotykam wątków żydowskich. Ciotki, wujkowie zaczynają wtedy: „Żydzi rządzą światem, chcą Polaków oczernić, jak w Jedwabnem mogli zabić tylu Żydów, jak to mała stodoła była, teraz takie hale budują, a przecież 2 tys.

ludzi się w nich nie zamknie. Co dopiero wtedy!”. Mówię, że nawet jakby 200 ludzi spalili, to przecież wielka tragedia. Ale nie. „Polaków oczerniają i już! A Polacy przecież pomagali Żydom. To Niemcy zabili Żydów! Kim byli nasi? Niemcami! Niech się nie kryją za nazwą »naziści«, dlatego że to byli Niemcy, a teraz się to zrzuca na Polaków”. Że musimy być politycznie poprawni, bo Unia Europejska tego chce. W ogóle nie ma rozmowy, bo cię zakrzyczą... Mówią mi, że ja nic nie ▶

Szilárd Rubin

Gra w cykora

tłum. Klara Anna Marciniak

Wydawnictwo Studio Emka



Szilárd Rubin (1927-2010) urodził się w Budapeszcie, a wychował na węgierskiej prowincji. Napisał siedem powieści, szkiców i esejów, ale powieść „Gra w cykora”, niepozabawiona odwołań autobiograficznych, pozostaje od ponad półwiecza jego najistotniejszym utworem literackim, odkrytym na nowo przez węgierskich czytelników w końcu ubiegłego wieku. Okazało się, że nie zestarzała się ta doskonale opowie-

dziana na początku lat 60. XX w. tragedia gorzkiej pierwszej miłości w węgierskim krajobrazie. „Nagle ogarnął mnie smutek. Koronkowe poduszki, uginające się miętko łóżko, a w nim ciało Urszuli były moim jedynym, prawdziwym zwycięstwem. Jak długo może się tym karmić mężczyzna? Za zachłannością, z jaką Urszula brała ode mnie rozkosz, zdawało się czaić okrucieństwo, chęć szybkiego zaspokojenia głodu i wyswobodzenia się”. To niezwykła historia bezgranicznego cierpienia jednej z postaci – mężczyzny, narratora. Dla wrażliwego czytelnika lektura jest uczcą, a dla mistrzów stylu może się stać przedmiotem subtelnych analiz.

Janusz Pawłowski

Mój zegar niesłoneczny

Wydawnictwo Novae Res



Niezbeletryzowany zapis dzieciństwa i młodości autora, które przypadły na lata II wojny światowej i okres powojenny. Kronika zwyczajnego życia w tamtych czasach stanowi ciekawy dokument codzienności mieszkańców miasteczek na Warmii i na Pomorzu, gdzie mieszkała rodzina autora. Życie rodziny, nauka w szkole, przyjaźnie przedstawione są na tle wydarzeń politycznych, widzianych tak, jak docierały do młodego człowieka. „Polityka wciskała się – jak pisze – codziennie, szczególnie po pojawieniu się w domu kołchożników, a potem prawdziwego radia, a także rozwoju prasy”. Jednak „ogół kolegów nie mówił o swoich przekonaniach, sprawy ideologiczne były nam dalekie, nie prowadziliśmy między sobą dyskusji politycznych, ale były rozmowy o polskich sprawach innego typu”.

► wiem, bo wyjechałam do Warszawy i słucham tego, co w Warszawie mówią, że nie mam pojęcia, jak to wtedy wyglądało, że Żydzi sami siebie wydawali, krzyczą na mnie. Bo Żydzi witali armię radziecką, jak przyjechała, kwiatami. Gdy mówię, że byli różni Żydzi, słyszę: „Mają za swoje, jak witali bolszewików, to tak mają! Sami tego chcieli, to się obróciło przeciwko nim!”. Uważają, że lepiej znają Żydów, że nieomal sami widzieli te miliony witających Armie Czerwoną, a do stolicy te informacje nie dotarły. „Warszawa nie zna życia!”.

Moja najbliższa rodzina, moi rodzice i brat nie są antysemitami, raczej ta dalsza... Czasem staram się zwracać im uwagę, np. na powiedzenia popularne w regionie: „śliski jak żydowski dzieciak”, „co chodzisz jak Żyd po pustym sklepie”, a z tym

Mordowano Żydów w mieszkaniach i na ulicach, kobiety gwałcono, małe dzieci zabijano, uderzając nimi o ścianę.

„żyć” w znaczeniu „skąpić” to w domu walczę. Mówię tacie: „Miałeś kiedyś żydowskie dziecko w rękach, że wiesz, że takie śliskie?”. Albo: „Widziałeś kiedyś, jak Żyd chodzi po pustym sklepie? Po co w ogóle tak gadasz?!”. „A bo tak się mówi, ty się czepiasz!”. Takie nasze rozmowy rodzinne.

Małgorzata mówi to z uśmiechem, ale w oczach ma łzy.

– Gdy mnie pytają, skąd jestem, mówię, że z Podlasia... O tym, gdzie było getto w Grajewie, dowiedziałam się kilka lat temu w muzeum Polin. Byłam tam już po studiach i patrę, a na tablicy Rajgród. Wow! Znam! Później patrę: Grajewo! Myślę sobie: „No, naprawdę?”. Zaczęłam pytać, to mama mi pokazała, gdzie getto było. Poszłam, same wąskie uliczki wokół kościoła, te same budynki, myślę wtedy, że niewiele się zmieniło od czasów wojny. Na jednej ulicy w jednym domu swojego czasu w oknie paliła się menora i zapanało oburzenie w Grajewie, że jak to się pali żydowska menora?! I mówiono, że to jacyś przyjeźdźni, może Żydzi? Poszłam podczas ostatnich świąt, ale menory w oknie nie było.

Wielu z miasteczka wyjeżdża na Zachód, Stany Zjednoczone... Ale to nie działa, nie robią się od tego bardziej wielokulturowi. Bo tam ży-

ją w gettach, małych klikach. Przecież jak wyjeżdżają, to nie umieją mówić po angielsku, na Zachodzie żyją wśród Polaków. Pół Grajewa jest w Nowym Jorku, Chicago. Też pracowałam w USA, nielegalnie, w polskiej piekarni, i nie mogłam się nawet przyznać, że studiuję, bo by mnie zjedli. Gdy ostatniego dnia w pracy powiedziałam, że jadę na wolontariat, to było dużo nienawiści, bo studiujesz, więc jesteś jakąś burżuazją, a jeszcze przyjeżdżasz dorabiać i innym, biedniejszym, zabierasz pracę. Rodzice mówili, że tam, gdzie jest kino i dom kultury w Grajewie, była synagoga, że została zamieniona na dom kultury. Nie słyszało się o pogromach, więc... „Żydzi pewnie wyjechali”, tak myślałam, dorastając w moim mieście. „Zmieniła się struktura ludnościowa w Polsce”,

usłyszałam raz na lekcji. Ale dlaczego? Nie zastanawiałam się. Nie działa synagoga, bo nie ma Żydów, proste. Zupełnie nie wiedziałam, że brat mojego pradziadka zabił Żydów w Wąsoszu. Teraz już wszystko wiem, i się boję.

Spotkaliśmy się znów dopiero po dwóch miesiącach, bo Małgorzata mnie unikała. Odwoływała kolejne spotkania. Wymawiała się pracą, chorobą, zmęczeniem. Gdy już straciłam nadzieję, odezwała się w połowie marca 2018 r. Znów spotkaliśmy się w centrum Warszawy. Przyszła prosto z zajęć, bo pisze doktorat. Temat dotyczy traum wojennych i międzypokoleniowych obecnych w społeczności Łemków po akcji „Wisła”.

– Czemu tak daleko? – spytałam. – Dlaczego tych traum wojennych nie szukasz w Grajewie i okolicach?

Wzruszyła ramionami.

– Długo czas odcinałam się od czytania tego, co mi dałeś o Bolku Komosińskim i o tym, co robił podczas pogromu w Wąsoszu. Przejrzałam, ale to było trudne do przeczytania... I miałam dużo rzeczy w pracy do zrobienia. Bałam się to czytać, po prostu! Ja nie jestem na to gotowa... Boję się zobaczyć zło, wiesz? I cierpienia. Boję się pomyśleć, że ludzie z mojej rodziny naprawdę po-

trafili coś takiego zrobić. Bo jak morderca coś złego zrobi, to trafia do więzienia i mamy kontrolę nad tym, co zrobił, a wtedy na Podlasiu to były całe miasteczka, całe grupy takich ludzi bez żadnej kontroli i bez kary. A potem miałam w sobie sprzeciw. Gdy pokazałam to mojemu tacie, to nawet nie przeczytał uważnie, przeleciał wzrokiem. Nie skupił się na tym. Widziałam, że jak to czytał, to był przejęty, zaczęła mu ręka drżeć i widać było, że wzdycha głęboko, a jak przeczytał, to jakby totalnie się zmienił i powiedział coś takiego: „A czy to jest prawda? I w ogóle kto to mówi? No wiesz, wtedy mówili na siebie nawzajem, żeby zlikwidować sąsiada. Może tamten powiedział, że to Bolesław brał udział, a to był ktoś inny?”. I że on nie jest wcale pewien, czy to jest ten nasz Bolesław. Ale ja mu mówię, że tam jest napisane, że tamten Bolesław był z Komosewa: „No to słuchaj, nasz Bolesław też był z Komosewa”. A tato na to: „No, może rzeczywiście”... Ale że nawet jak to ta sama osoba, to może to, co o nim mówią, nie jest prawdą. Wzburzyłam się i mówię: „Ale jak to?! Ale przeczytaj! Przecież to brat pradziadka!”. Wtedy tato powiedział, że on człowieka na oczy nie widział, że zmarł jakoś wcześniej, w latach 60., i że w sumie o nim w rodzinie się nie mówiło za wiele, bo mimo że był najmłodszy z rodzeństwa, to najszybciej umarł.

Pod osiedlem Broniewskiego w Grajewie był cmentarz żydowski, w latach 60. zrównali go z ziemią, a z macew zrobili fundamenty bloków.

Zdecydowanie nie spodobała mi się reakcja taty. Oczekiwałam czegoś innego. Że jakoś się tym przejmie, a nie zacznie od razu zaprzeczać i się bronić. Że powie: „Okej, to straszne, co przeczytałam, to nie powinno mieć miejsca. I może to jest ten nasz Bolesław, a może nie, ale oceniam to źle”. Ale tato od razu wszedł w rejestr „jak oni o nas kłamią”. A ja mu mówię: „Ale czy ty czytasz tam, że siekiery, noże...?”. Dla mnie pierwszą rzeczą tragiczną było, że to się wydarzyło, że takie rzeczy przecież się działy i takie osoby jak ten Bolesław, jakkolwiek bliskie, robiły takie rzeczy.

To wzbudziło mój sprzeciw, smutek i pewną bezradność, a jeśli nałożyłam na to, że mógł być to ktoś,

z kim mogę być spokrewniona i może jestem, to spotęgowało we mnie te uczucia. Że to nie są jacyś obcy Polacy, tylko ludzie z mojej bliskiej wspólnoty, i to właśnie dlatego to było dla mnie takie... trudne. Dlatego się bałam. Bałabym się, że gdzieś w tej mojej rodzinie było przyzwolenie na takie zachowanie. Że gdzieś popełniono straszny błąd. (...) To jakieś totalne wyparcie. I chyba zdecydowało o tym, że zbrodnie nie były w żaden sposób karane odgórnie.

Rzeź trwała trzy dni. Przy życiu pozostało 15 Żydów. Nie pozwolili ich zabić Niemcy.

Bo jak mamy w normalnych czasach mordercę, to się go wytyka palcami, on idzie pod sąd i wszyscy wiedzą, co to za jeden, że to, co zrobił, jest złe. Jest jasny komunikat: to jest zły człowiek! Ale jeżeli mordy popełniało bardzo wiele osób, a narracja była taka, że to Żydzi byli źli i że w sumie zrobiono dobrze, to sprawcy w ten sposób zrzucili z siebie odpowiedzialność. Czy wzięłeś po ofiarach dom, czy nie, to i tak wszyscy mówili, że dobrze wyszło, bo pomogłeś narodowi, Polsce i w sumie jesteś bohaterem, bo jak jest wojna, to się zabija. Ludzie potem żyją na takim dużym wyparciu, w takim amoku przez całe dekady... Odkreślono przeszłość „grubą kreską” w tych miasteczkach, na zasadzie: było, ale

pod karabinami tych, co zabijali... Mechanizm przerzucania winy jak gorącego kartofla, aż wreszcie wina staje się niczyja i wtedy można ogłosić ze spokojem wstawanie z kolan. Mój tato, jak mu pokazałam te zeznania o Bolesławie Komosińskim, po długiej chwili powiedział: „No dobrze, ale co ja mam z tym teraz zrobić?”. I ja też nie wiem, co można teraz z tym zrobić. To wszystko jest tragiczne, ale jeszcze bym przyjęła, że oni musieli z tym jakoś po wojnie

żyć... Tylko żeby wiedzieli dziś wszyscy, że to było złe i że nie wolno tak postępować... Ale zachowania antysemitów, jakie obserwuję ponad 70 lat później, wciąż nie budzą szerszego sprzeciwu. I to jest dla mnie przerażające, że nie wyciągnięto żadnej nauki z tamtych czasów. Nie wiem, jak sobie z tym radzić. Jeszcze chyba sobie nie radzę. (...)

Jak ukarać wszystkich ludzi, którzy brali udział w zabijaniu w takim Wąsoszu? Łatwiej znaleźć pojedynczego kozła ofiarnego, nawet kilka osób, żeby poniosły karę za wszystkich, i pozwolić pozostałym spokojnie żyć. A najlepiej, żeby tym kozłem ofiarnym na koniec zostali sami Żydzi, bo przecież oni swoim komuniowaniem sprowokowali naszych do tego, by ich zabili.

Bo przecież byli źli i Polaków gnębili. Bo przecież wszyscy mówili na nich parchy. To wszystko przez nich się stało. Ja nie raz słyszałam w Grajewie, że to było jak na wojnie: albo oni nas, albo my ich. To byli komuniści i trzeba ich było zlikwidować, żeby nie pozwolić na kolejny rozbiór Polski.

– Ty zabijesz albo ta pięcioletnia żydowska dziewczynka zabije ciebie?

– Tak. Przecież się potem nie mówiło, że wśród ofiar były dzieci. Tylko o Żydach, co rządzą światem.

Fragment książki
Miroslawa Tryczy
Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć, pod redakcją
Marcina Kąckiego,
Znak Literanova, Kraków 2020



Wiosenne migracje ptaków

Zaloty zaczynają się od tego, że samiec zazwyczaj próbuje za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę wybranki



Stada jerów robią międzylądowanie w ogrodzie podczas wiosennych przelotów.

Ulubionym pożywieniem jemiółuszek są jagody i inne owoce.

które widują tylko wiosną i jesienią. Zwiastuje zmiany i zapowiada wiosnę! (W Polsce można je spotkać od listopada do kwietnia – przyp. red.).

Jer – indywidualista



tłumaczyć jako gadatliwą strojnisę, pierwszy człon składa się bowiem z wyrazów jedwab i ogon. Tym samym nazwa zawiera w sobie dwie charakterystyczne cechy tego ptaka: to prawdziwa piękność, której dziób się nie zamyka.

Słyszę jemiółuszki na długo przedtem, nim je zobaczę. Stado tych ptaków siada na wysokim drzewie w pobliżu mojego domu i zaczyna pogawędkę, którą łatwo rozpoznać po wysokich, delikatnych tonach. Nie można tego do końca zaklasyfikować jako pieśń, ale są to miłe

Zdarzają się takie lata, kiedy liczne stada jerów robią sobie międzylądowanie w ogrodzie podczas jesiennych i wiosennych przelotów. Samce tego gatunku mają fascynująco zróżnicowane upierzenie. Ich pióra przechodzą od barwy rdzawej, przez pomarańczowo-żółtą, białą, szarą, aż do czarnej, a każdy osobnik ma odmienną ilość czerni w swojej szacie. Panie natomiast są bardziej anonimowe i podobne do siebie nawzajem. Innymi słowy: zupełnie przeciwnie niż u nas, ludzi!

Nowe życie

Zaloty zaczynają się od tego, że samiec zazwyczaj próbuje za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę wybranki. Stawia na śpiew, podskoki, ruchy ogona i jeśli jest szczęściarzem, zostaje dopuszczony przez samice do spółdzenia wspólnych dzieci. Obserwowanie takich zalotów to wspaniała rozrywka, ale czasami może być za dużo tego dobrego. Przekonałam się np., że zawieszenie tuż pod oknem sypialni domku nadającego się dla muchołówki żałobnej to naprawdę kiepski pomysł. Pewnej wiosny kilka lat temu byłam codziennie budzona o godzinie piątej rano przez pana muchołówkę (nazywaliśmy go w domu

Anne Havåg Holter-Hovind

Kiedy śnieg zaczyna topnieć, nadchodzi czas na rozejrzenie się po ogrodzie za nowymi gatunkami, bo to właśnie w tym czasie ptaki wracają do domu z różnych miejsc swoich zimowych wakacji. Niektóre pojawiają się pojedynczo, inne większymi stadami. Część z nich pozostaje, a część robi w twoim ogrodzie tylko międzylądowanie, podczas którego zamierza coś przekazać i nieco odpocząć przed dalszą podróżą. Wiosenne obserwacje, jakie gatunki ptaków wędrownych się pojawią i kiedy to nastąpi, potrafią być bardzo zajmujące. (...)

Jemiółuszka – gadatliwa strojnisia

Wiele ptaków ma proste, opisowe nazwy, np. modraszka czy rudzik. Inne zostały określone ze względu na swoje zwyczaje – owoce jemiół są ważnym składnikiem diety jemiółuszki zimą. Zarówno po

Jemiółuszka jest jednym z pierwszych ptaków wędrownych, które pojawiają się w ogrodzie. Zwiastuje zmiany i zapowiada wiosnę.

norwesku, jak i po łacinie ptak ten został nazwany jednocześnie opisowo i poetycko.

Nazwa norweska, czyli *sidesvans*, nawiązuje do pięknego upierzenia jemiółuszki. Badacze nie są pewni co do znaczenia wyrazu *svans* w tym kontekście. Dosłownie oznacza ogon, ale również ozdobę na głowie tego ptaka. Nazwę łacińską *Bombycilla garrulus* można prze-

odgłosy. Ulubionym pożywieniem jemiółuszek są jagody i inne owoce, a ponieważ wiosną pozostaje ich na drzewach i krzewach już niewiele, łatwo przywabić te ptaki, rzucając do ogrodu kilka jabłek, gruszek lub innych resztek z domowej patery.

Jemiółuszka jest jednym z pierwszych ptaków wędrownych, które pojawiają się w ogrodzie, a u mnie jest to jeden z tych gatunków przelotnych,

1%

TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ
**NIEULECZALNIE
CHORYM DZIECIOM**
KRS: 0000168783



Fundacja
Dziecięca
Fantazja

Żywot dyplomaty szczęśliwego

W grupie nowych ambasadorów, których minister Czaputowicz wysłał za granicę, warto zwrócić uwagę na Krzysztofa Olendzkiego, który jedzie do Słowenii. Nie czarujmy się, nie jest to wymagająca placówka, raczej jedna z tych miłych i przyjemnych, bo i Alpy w zasięgu ręki, i Adriatyk. A i spraw wymagających interwencji ambasadora za dużo tam nie ma. Żyć nie umierać. Ma więc szczęście Olendzki. Nie pierwszy raz.

Rzadko bowiem się zdarza taka kariera – samych miłych placówek i stanowisk. Zanim Olendzki trafił do MSZ, zajmował się w Instytucie Historii PAN badaniami nad handlem niewolnikami na obszarze średniowiecznych Bałkanów. Pasjonujące. W MSZ zajmował się kontaktami ze Stolicą Apostolską, a potem pojechał do Rzymu na stanowisko wicedyrektora Instytutu Polskiego. Po Rzymie wrócił do centrali MSZ, a potem wyjechał jako wicekonsul do Tallina. Stamtąd, za czasów pierwszego PiS, został ściągnięty do Warszawy na stanowisko wiceministra kultury. Potem powrócił do MSZ, skąd wyjechał, już jako ambasador, do Tunezji. Następnie odpowiadał w centrali m.in. za kontakty z diasporą żydowską, a w roku 2014 wyjechał jako konsul do Vancouver. Kolejnym etapem jego kariery było stanowisko dyrektora Instytutu Adama Mickiewicza. Objął je w miejsce Pawła Potoroczyna, którego minister Gliński odwołał, naruszając prawo.

A teraz, po trzech latach, Olendzki wyjeżdża do Lublany.

W ten sposób w ciągu 20 lat zaliczył dwa razy więcej stanowisk niż przeciętny urzędnik MSZ w całej swojej karierze. Na żadnym niczym się nie wyróżnił, choć też się nie skompromitował. Po prostu nie miał ani wzlotów,

ani wpadek. No i jeszcze jedno – miał szczęście do fajnych placówek.

Rzym – wiadomo. Każdy sobie chwali. Tallin – placówka miła, blisko Polski, przyjemnie się żyje. Tunezja? Chyba nie ma co się rozwodzić, ludzie płacą tysiące, żeby tam pojechać na tydzień, dodajmy do tego piękną rezydencję, z widokiem na morze. Vancouver? Placówka genialna, spokojna, Kolumbia Brytyjska po prostu.

Tak oto Krzysztof Olendzki miło przeżył 20 lat. To zresztą chyba wrodzona umiejętność. Gdy przejmował po Potoroczynie Instytut Adama Mickiewicza, atmosfera była napięta, przychodził tam w miejsce popularnego dyrektora jako nominat niepopularnego ministra. Nie ma co ukrywać – IAM pod jego rządami nie rozkwitł, ale też nie pogrzyżył się w wewnętrznych walkach, jak inne instytucje „odbite” przez PiS. Po trzech latach żegnano więc Olendzkiego z pewnym żalem, zwłaszcza że na jego miejsce przyszła dziewczyna od Wildsteina, była dziennikarka Programu II Polskiego Radia, a później (już za dobrej zmiany) TVP Kultura.

A jemu samemu na otarcie łez ofiarowano przyzwoitą synekurę.

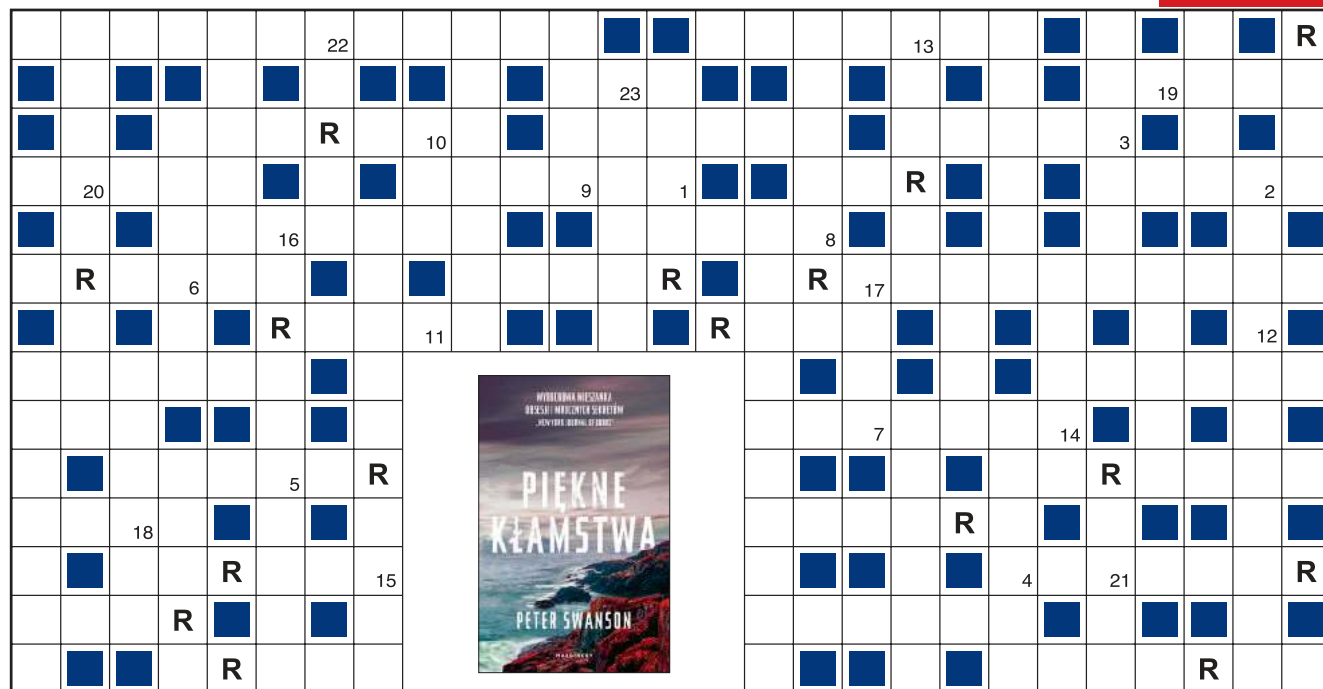
Tak oto PiS wkracza w kolejny etap swoich rządów. W pierwszym brało placówki jak podbite twierdze, oferując je swoim żołnierzom, by prowadzili za granicami kraju partyjny bój. Potem przyszło opamiętanie, to pozwoliło wyjechać w świat grupie fachowców, zawodowym dyplomatom. A teraz mamy etap trzeci – jadą w świat zasłużeni towarzysze, zmęczeni w służbie „dobrej zmiany”, których złuzowali młodszy.

Olendzki jest ich prekursorem. A za chwilę dołączą do niego kolejni.

Attaché

Koronawirus osiągnął rozmiary pandemii, dlatego środki ostrożności przestrzegane są już na całym świecie. Dworzec autobusowy Nyabugogo w Kigali w Rwandzie.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- utwór szybszy niż largo
- chromosom decydujący o płci
- zmierza do zbawienia przez wyrzeczenie
- jedynowładca
- choroba taka jak szkorbut lub beri-beri
- o wakacjach tego koloru śpiewał Maciej Kossowski
- ...Renata Habsburżanka, żona Władysława IV Wazy
- durszlak
- na nią prawo jazdy kategorii C
- krzepi w znanym sloganie
- i prezent, i talent
- para tyżwiarzy na lodowisku
- tort Sachera – z morelowym
- udoskonalił telefon Bella
- imię autora „Konopielki”
- mały w starej komórcie
- na garnku z Olkusza
- dziennikarz Skalski, piłkarz Wilimowski
- np. „Człowiek wśród skorpionów” Miłosza
- siódma w alfabecie greckim
- miejsce urodzenia Kolumba
- język Homera
- jalewiec, cis lub cyprysik
- jego ojciec zbudował labirynt na Krecie
- składnik ginger ale
- chroni most przed krą
- druga potęga liczby
- świeccy w Kościele
- „...honoru” z Tomem Cruise’em i Demi Moore
- Bias z Prieny lub Tales z Miletu
- i ryba, i orzeźwiający cukierek
- wojskowy wysadzac
- pędu, siły albo bezwładności
- „Koty”, „Metro” lub „Piloci”
- płaci czynsz
- wtrącenie mimochodem, nieśmiało
- zwierzęce – cynadry
- w nie – chodu!
- startowy albo transmisyjny
- łatwość, lekkość myślenia, wyrażania się
- Krakowskie w Warszawie
- tytuł lokalnych władców w Indiach
- wypad z piłką na połowę przeciwnika
- nazywany kopniętym kwadratem
- tworzy gęsty kożuch na wodzie
- imię reżysera Peckinpaha
- np. sztuczkowe
- ...Wolności na Liberty Island
- zgrzyzota, zmartwienie
- niektórzy plotą, co im na język przyniesie
- miasto rodzinne Józefa Bema
- duża siła i wytrzymałość
- odcięń rudych włosów jak malarz
- polubowny finał sporu
- karcąca uwaga
- dzienny w kasie sklepu
- miasto z Domem Muzyki i Tańca
- niejeden na nieheblowanej desce
- Madej z legend
- pododdział na przeszeptach
- mundurowa rola Louisa de Funèsa

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-952”. Do rozlosowania książki „Piękne kłamstwa” ufundowane przez Marginesy. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 marca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-949” z 1 marca: **Mądry wie, co przemilczeć.** Nagrody otrzymują: Alina Jamroga ze Szczecina, Lech Kręciwiłk ze Złocieńca, Henryk Sieklucki z Unieszewa.

PENETRACJE

MONDE
diplomatie

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Najlepszym i właściwie jedynym sposobem na rozbrojenie historycznych wycieczek pod adresem Polski jest po prostu prawda, czyli ni mniej, ni więcej tylko przyznanie się do winy. Poznanie skali i przejawów antysemityzmu, uznanie prawdy o polskim kolonializmie na Wschodzie, nazwanie po imieniu pańszczyzny czy przedwojennego autorytaryzmu pozostaje najlepszą drogą do uwolnienia się od kompleksów wyrosłych na bazie przemilczania czarnej historii Polski.

charaktery
magazyn psychologiczny

JERZY MAKSYMIAK,
DYRYGENT,
KOMPOZYTOR

Jakie utwory grano najczęściej na ponad 20 tys. koncertów? Otóż pierwsze miejsce zajęła *Symfonia nr 3 „Eroica”* Beethovena, co mnie bardzo uradowało. Dyrygowanie tej złożonej symfonii to radość budowania napięcia, dramatu i Piękna. Do dziś pamiętam własne emocje i wzruszenia podczas dyrygowania tego utworu w Albert Hall w Londynie. Drugie i trzecie miejsca przypadły utworom Czajkowskiego: *Koncertowi skrzypcowemu* i *Symfonii nr 5*. Wolałbym co prawda, żeby zajął je *Koncert fortepianowy* Rachmaninowa, ale nie zmienia to faktu, że *Koncert skrzypcowy* Czajkowskiego to utwór pełen pięknych fraz melodycznych, prowadzących do wielkiego wzruszenia.

STYL

MICHAŁ RUSINEK,
PREZES FUNDACJI WI-
SŁAWY SZYMBORSKIEJ

Męski zespół muzyczny grał covery hitów z lat 90. Kiedy tak stałem i przyglądałem się wirującym parom, podeszła do mnie piękna Amerykanka, zapewne krewna jakiegoś noblisty w dziedzinie nauk ścisłych, i nieco załotnie zapytała: „Tańczysz?”. Wyprostowałem się i odpowiedziałem: „Oczywiście”. Na co ona: „Ach, to się świetnie składa, bo z moją siostrą nikt nie chce zatańczyć”. I wtedy zza jej pleców wyszła siostra. Dodam, że zupełnie do niej niepodobna. I tak spędziłem bal noblowski.

zwierciadło

MAJA KLECZEWSKA,
REŻYSERKA

Dyrektor szwedzkiego teatru Dramaten powiedział mi, że organizowany tam festiwal nie powinien nosić nazwiska Ingmara Bergmana. Pytam: „Dlaczego?”. „Miał dużo kobiet”. Słucham tego i nie wierzę. Rany boskie, to był wybitny twórca kina. To, co rozpętało się w sprawie Polańskiego, to pandemonium. Petycja studentów Filmówki i pomazanie farbą jego gwiazdy na Piotrkowskiej to skandaliczny wybrzyk przeciwko wybitnemu artyście. Zbigniew Libera ironicznie pyta, kiedy będziemy zdejmować płótna Caravaggia ze ścian, bo był mordercą. To generuje mnóstwo niepokojących pytań. To my, widzowie, zaczniemy skazywać? Widz ma być strażnikiem moralności? Kapłanem czy sędzią?

Aby język giętki...

JERZY URBAN
O NAJDIWNIJSZYM PYTANIU

Dlaczego, będąc w PRL rzecznikiem Jaruzelskiego, przedstawiałem się nazwiskiem Goebbels? Czyżbym chciał wiązać partię z nazizmem?

KRZYSZTOF SKIBA O POLITYKACH PiS

Niektórzy wyglądają, jakby zrobieni zostali nieświadomie, po ciemku, pod koldrą i przy pomocy ręki.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ O WYBORACH

Spowodować, żeby w naszym kraju zamiast polexitu przeprowadzony został niebawem Duda-exit. Jako wstęp do PiS-exitu.

DOROTA MASŁOWSKA O SERIALACH

Umożliwiają bezwysiłkową konsumpcję opowieści: wystarczy przy nich leżeć.

ANNA CIEŚLAK
O STRYJU BRONISŁAWIE (POR. BOREWICZU)

Uwielbiam mojego stryja, to jeden z najmądrzejszych życiowo ludzi, jakich poznałam.

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI
O ABP. SŁAWOJU LESZKU GŁÓDZIU

To bardzo rzadki przypadek, żeby biskup trafił do trzech diecezji. Mimo buty, arogancji i alkoholu. On ma plecy.

ADAM STRUZIUK O PISOWSKICH PLANACH PODZIAŁU MAZOWSZA

Tu nie chodzi o dobro regionu, tylko o łupy polityczne – nowe wybory i przejęcie władzy na Mazowszu.

MAREK KAMIŃSKI O LĘKACH

Lepiej walczyć ze swoimi obawami i lękami, niż się przed nimi chować.

MAGDA UMER O ZUZANNIE ŁAPICKIEJ

Prąta tak zawzięcie, że wyprąta franki, które Daniel Olbrychski trzymał w kieszeni spodni.

KATARZYNA ZIELIŃSKA
O MĘŻU WOJCIECHU DOMAŃSKIM

Na jednej z pierwszych randek wyznał, że chętnie by gotował, jeśli miałby komu. Od początku rządzi w kuchni, robi to świetnie.

AGATA PASSENT O ŁAKOMSTWIE

W restauracji zamiast jednego dania zamawiam trzy różne, a potem wracam z posiłkiem na wynos, który kończę w środku nocy.



Wzrosło nie tylko zagrożenie epidemiologiczne. Gary Stokes z organizacji OceansAsia pokazuje maseczki, które woda wyrzuciła na brzeg na wyspach Soko w pobliżu Hongkongu.

FOT. STAFF/REUTERS/FORUM

Do czytania i... nie tylko

Australijski tabloid „NT News” w oryginalny sposób wyśmiał wykupywanie papieru toaletowego ze strachu przed brakami spowodowanymi koronawirusem. Do jednego z wydań redakcja dołączyła osiem pustych stron „z poręcznymi liniami wydzierania”, do stosowania „w nagłych przypadkach”. „Pobierzcie swoje limitowane, jednowarstwowe arkusze gazety toaletowej”, mogli przeczytać odbiorcy dziennika. Eksperti uspokajają, że nie ma ryzyka, by na antypodach zabrakło rzeczzonego artykułu, ale społeczeństwo i tak robi zapasy.

Czystość naczyńia do zdrowia się przyczynia

Naukowcy z Uniwersytetu Stanowego Florydy zaprosili grupę studentów do badań nad zmywaniem naczyń. Jedna z dwóch grup otrzymała nie prostą instrukcję w sprawie zadania do wykonania, lecz zachętę do maksymalnego skupienia się na wszystkich bodźcach odbieranych w trakcie szorowania garów. „Zmywając, tworzę wyjątkową rzeczywistość. Mogę w niej być w 100% sobą, skupić się na swoim oddechu, będąc jednocześnie świadomym swojej obecności, myśli i wykonywanych czynności. Nie miotam się bez celu, jak butelka na falach oceanu”, brzmiał fragment tekstu. Efekt: co czwarty członek grupy zadeklarował, że po zmywaniu czuje się odprężony, zrelaksowany, a nawet zainspirowany do dalszej aktywności. Wniosek praktyczny: jeśli masz nerwicę, sprzedaj zmywarkę (lub zwolnij gospozię).

Zna się na robocie!

Jeszcze niedawno robot Shimon potrafił jedynie grać na marimbie. Obecnie umie już także śpiewać, pisać teksty,



komponować i tańczyć. Niedługo ma się ukazać płyta z piosenkami, do których dzięki algorytmom sztucznej inteligencji Shimon napisał teksty i wspólnie ze swoim konstruktorem, prof. Gilem Weinbergiem z Georgia Tech Center for Music Technology, stworzył melodie. Planowana jest także trasa promocyjna debiutanckiego krążka, podczas której utalentowanego robota będą wspierać żywi muzycy.

Smakowicie na orbicie

Z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, orbitującej 400 km ponad naszymi głowami, dotarła informacja o przełomie w uprawie czerwonej sałaty rzymskiej w warunkach mikrograwitacji. Po licznych próbach astronautom udało się uzyskać warzywo o wartości odżywczej identycznej jak u jego odpowiednika z ziemskich ogródków. Zapowiadają, że teraz skupią się na jarmużu i kapuście. Ich wysiłki mają znaczenie nie tylko dla rozwoju nauki, ale i praktyczne: załogowe loty na Wenus i Marsa czy kolonizacja Księżyca będą znacznie prostsze, gdy ludzkości uda się porządnie opanować uprawę warzyw i owoców.

Lajki jak z bajki

Dzięki darmowej aplikacji Botnet każdy może przez chwilę poczuć się jak gwiazda mediów społecznościowych. Użytkownicy nowinki, którą stworzył niejaki Billy Chasen, nawet wrzucając banalne treści, mogą liczyć na tysiące komentarzy i lajków. Chasen tłumaczy, że chodziło mu

MEMY BEZ ŚCIEMY





To pewnie wina księżyc; zanadto
Przybliżył się do ziemi, a to wpędza
Ludzi w szaleństwo.

William Shakespeare, „Otello”

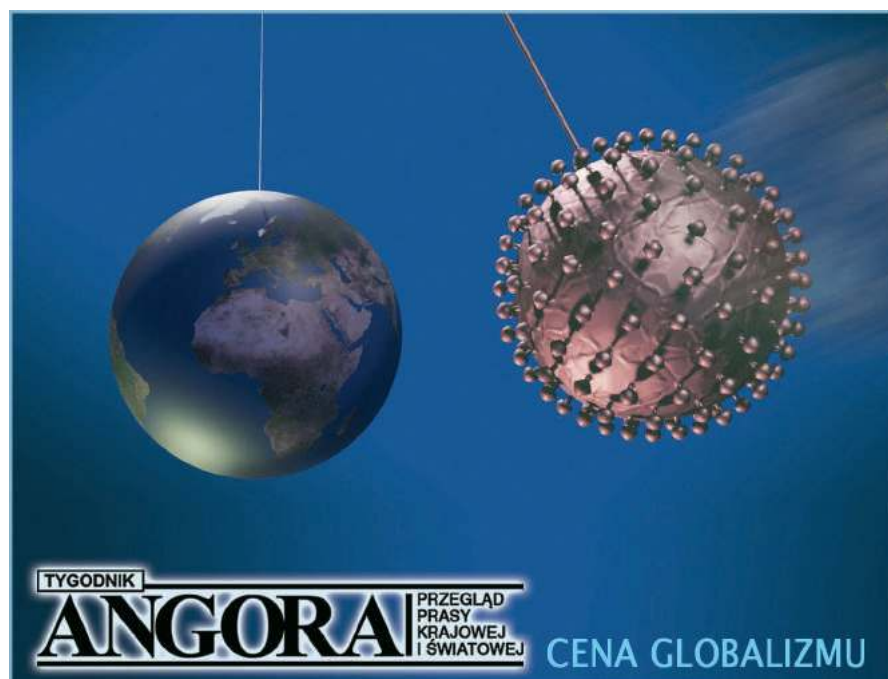
o stworzenie symulacji internetowej megasławy, którą cieszą się celebryci po-
kroju Kylie Jenner. „Botnet to symulator sieci społecznościowej, w której jesteś
jedyną istotą ludzką, a towarzyszą ci miliony botów z obsesją na Twoim punk-
cie”, czytamy w oficjalnym opisie aplikacji.

Krany, że o rany!

W części domów we włoskim miasteczku Castelvetro di Modena z kranów
popłynęło czerwone wino. Wadliwy zawór w miejscowej winnicy sprawił, że
do sieci wodociągowej trafiło ponad 1 tys. litrów półsłodkiego Lambrusco
Grasparossa. Tymczasem w Polsce Janusz Palikot zapowiedział powstanie do-
mów na wynajem wyposażonych w krany z piwem. Będzie ono płynąć z Browa-
ru Tenczynek, którego jest właścicielem, a lokatorzy będą się rozliczać za wypity
trunek według wskazań liczników.

Chiński sposób na Alcybiadesa

Młodzież z Wuhan wpadła na sprytny sposób walki z obowiązkiem szkolnym.
Gdy zamknięto placówki oświatowe, uczniom zalecono naukę poprzez aplikację
DingTalk, która służy m.in. do zadawania prac domowych. Dzieciaki zmówiły się
i zaczęły masowo wystawiać jej w App Store jedną gwiazdkę na pięć możliwych.
Dowiedziały się bowiem, że aplikacje o wyjątkowo niskiej średniej ocen są usuwa-
ne z platformy. Dzięki uczniowskiej solidarności ocena DingTalk spadła z 4,9 do 1,4.



FOT. HEULER ANDREY/AFP/EAST NEWS, MICHAEL PROBST/AP/EAST NEWS, A-MEM, KWEJK.PL, PIS NA KSIĘŻYC

eprasa.pl 98bf3bf713



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,

Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma Jan Widacki,

Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredakcja: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest
zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Dominik Jasiński

Heavy Metal



Dla Dominika Jasińskiego, rocznik 1981, najważniejsze jest eksperymentowanie z techniką, a przede wszystkim przełamywanie barier, podejmowanie ryzyka. Malarz, grafik, autor rysunków oraz ilustracji książkowych i magazynowych pochodzi z Rzeszowa, a mieszka i pracuje w Lizbonie. Jest absolwentem Wydziału Grafiki warszawskiej ASP. W pracach z wystawy „Heavy Metal” prócz charakterystycznej dla artysty palety kolorów pojawia się złoto, srebro i miedź płatkowa – stąd wziął się tytuł ekspozycji.

Więcej informacji na www.va-gallery.pl
V.A. Gallery Poland
Poznań-Wysogotowo, ul. Wierzbowa 162



SKIZM_ADMIN ●

CAM 1 - 00:30:01:35

DANIEL RADCLIFFE
GUNS AKIMBO

WKRÓTCE W KINACH

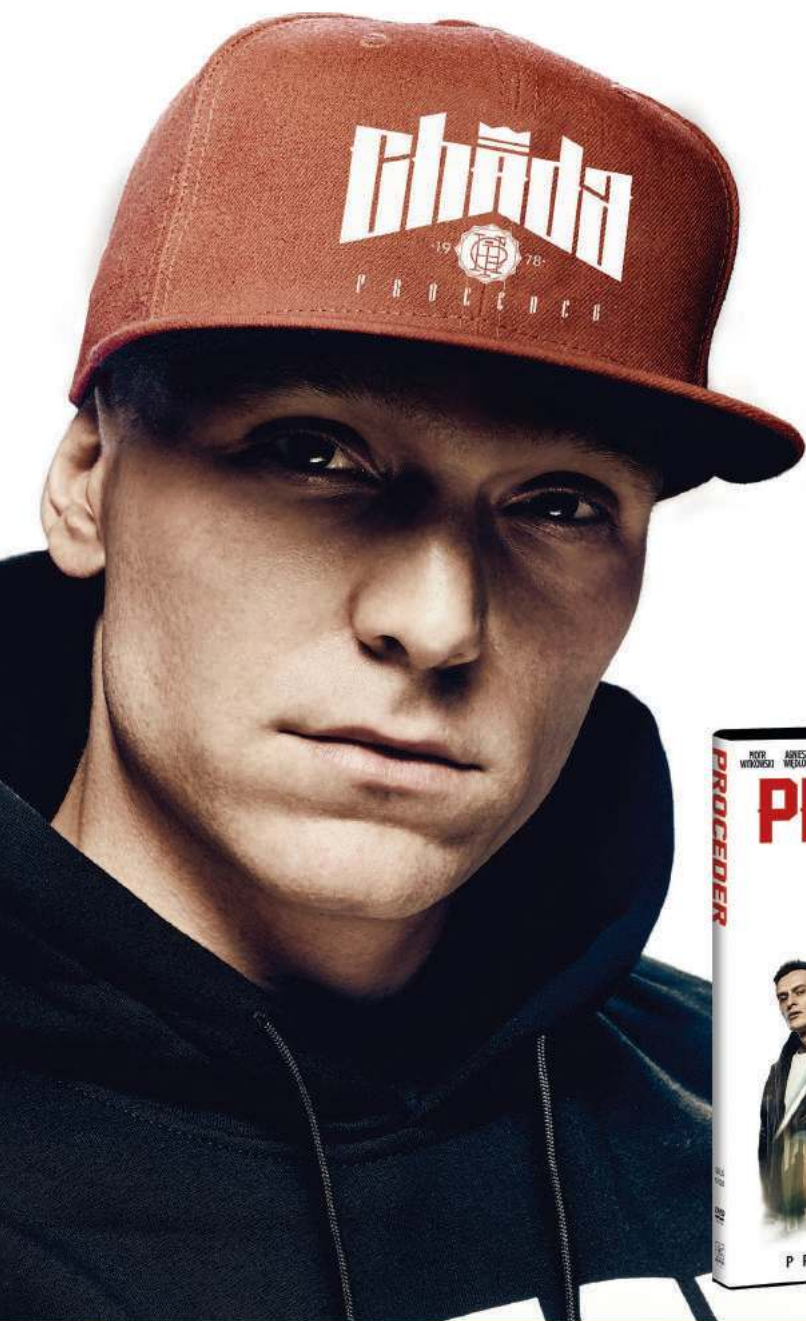
SABAN FILMS PRESENTS/PRODUCE OCCUPANT ENTERTAINMENT PRODUCTION W WSPÓŁPRACY FOUR KNIGHTS FILM I MAZE PICTURES W WYPRODUKOWANIU CUTTING EDGE, THE ELECTRIC SHADOW COMPANY LIMITED, UNIMEDIA, INGENIOUS MEDIA, WS FILM PRODUKTION, DELUSCHER FILMFÖRDERFONDS, FILM FERNSEHFONDS BAYERN WRAZ Z HYPERION MEDIA I WRAZ THE NEW ZEALAND FILM COMMISSION FILM JASONA LEI HOWDENA "GUNS AKIMBO" WYSTĘPIŁ DANIEL RADCLIFFE, SAMARA WEAVING, NATASHA LIU BORDOZZI, NED DENNIEHY, GRANT BOWLER, EDWIN WRIGHT I WRAZ RHYS DARBY PRODUCEREM WYPRODUKOWAŁ MICHAEL MAILLS, SIMON WILLIAMS, SYLVIA SCHMIDT, JOHN JENCKS, JOE SIMPSON, JAY TAYLOR, WILL CLARKE, ANDY MAYSON, MIKE RUNAGALL, WOLFGANG STÖRZL, CHRISTOPH MEISER, ALEXANDER BORGERS, STEFAN KAPELARI, MORITZ PETERS, ADRIAN POLITOWSKI, BASTIEN SIRODOT, WILLIAM V. BROMILEY, SHANNAN BECKER, NESS SABAN I WRAZ STEFAN CLUPER KINOWY GRAFIA NICK BASSETTI MONTAŻ LUKE HUGH, ZAZ MONTANA CHARAKTERYZACJA IEFERZYNY JANE O'KANE KOSTYUMY SARAH HOWDEN KONTAKTY ENIS RITTHOFF KOPRODUKOWAŁ PHILIPP KREUZER, JÖRG SCHULZE PRODUCENT JOE NEURAUTER, FELIPE MARINO, TOM HERN KENAROWSKI REŻYSERKA JASON LEI HOWDEN

SABAN FILMS OCCUPANT              

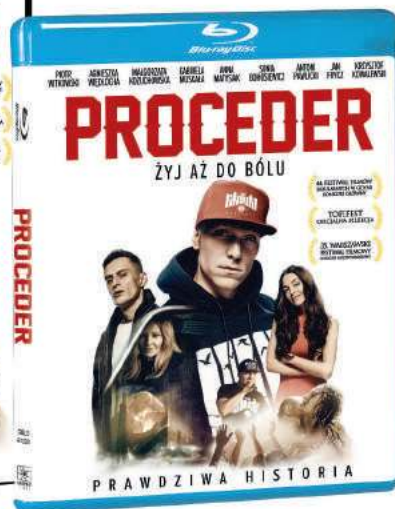
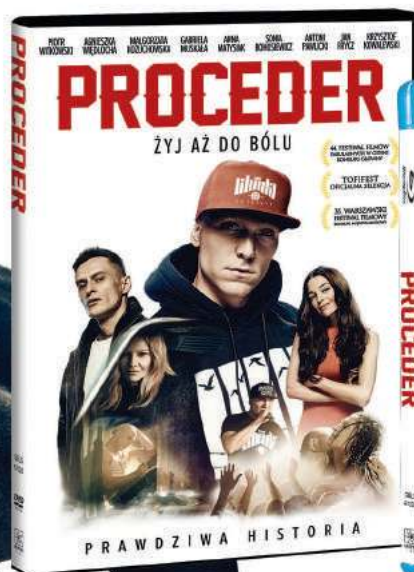
PRAWDZIWA HISTORIA

PROCEDER

ŻYJ AŻ DO BÓLU



JUŻ NA
BLU-RAY™
I DVD!



Film do kupienia na



swiatksiazki.pl

oraz w

księgarnie



Świat Książki

PARTNERZY MEDIALNI:



Men's Health



DEMOTYWATORY.PL



Multikino

RMF MAXXX